

Chodorkowski
największą gwiazdą
festiwalu w Berlinie

50 tysięcy dzieci
wychowują w Polsce
pary homoseksualne

Syn Kazika
opowiada
o tacie

Beata Kempa
śpiewa włoskie
piosenki

34

8

22

14

PRZE KROJ

Obalamy mity o zdrowiu 26

NR 8 (3426) / 22 LUTEGO 2011 / CENA 5 ZŁ
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT



ISSN 0033-2488 08



KARSIŃSKI



FORUM PRZECIW DEPRESJI V EDYCJA OGÓLNOPOLSKIEJ KAMPANII SPOŁECZNEJ



23 LUTEGO (ŚRODA) 2011 – OGÓLNOPOLSKI DZIEŃ WALKI Z DEPRESJĄ.

DZIEŃ OTWARTY FORUM PRZECIW DEPRESJI

Przyjdź, dowiedz się więcej na temat choroby i przekonaj się,
że z depresją można wygrać!

23 lutego, w Kinotece (Plac Defilad 1, Warszawa), w godzinach od 11:00 do 18:00
[WSTĘP WOLNY]

W programie:

Bezpłatne konsultacje ze specjalistami*, otwarte wykłady, happening oraz projekcja filmu prof. Bartosza Łozy pt. „Dzień, noc, dzień”.

Chat z lekarzem psychiatrą na stronie www.forumprzeciwdepresji.pl w godzinach 14:00 – 17:00 (23 lutego)
oraz 10:00 – 13:00 (25 lutego).

Dodatkowo, w ramach kampanii, działa Antydepresyjny Telefon Zaufania Fundacji ITAKA 22 654 40 41
czynny cały rok w poniedziałki i czwartki w godzinach 17:00 – 20:00, a 23 lutego, w środę, w godzinach 12:00 – 22:00.

PRZEKROJ

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Eile

„Przekrój” w sieci:

Szanowni Czytelnicy! Są w życiu człowieka takie chwile, kiedy ogarnia go smutek i rezygnacja. Momenty, gdy kanciastej i koślawej rzeczywistości udaje się poobijać nawet najbardziej gruboskórnych. Gdy poczucie, że robimy coś ważnego, a przynajmniej ciekawego, rozmywa się zalane powodzią faktów dobitnie pokazujących, że mimo wszelkich wysiłków entropia i tak zawsze rośnie. W takich momentach można popaść w odrętwienie, uciec od wszystkiego i udawać, że świat nas nie dotyczy. Można też walczyć dziko o odzyskanie równowagi, co, jak pokazuje druga zasada termodynamiki, i tak ostatecznie przyniesie skutek odwrotny do zamierzonego. Można też, co szczególnie polecamy, udać się na stronę www.przekroj.pl i zagłębić się w lekturze tekstów pełnych pozytywnej energii, optymizmu, a przynajmniej odświeżającej dawki realizmu. Polecamy więc szczególnie koncepcję szczęścia jako choroby roznoszonej drogą towarzyską (<http://goo.gl/Kr4co>), śmichy-chichy w tonacji neurologicznej (<http://goo.gl/foOJW>) oraz, dla wciąż nieprzekonanych, sztukę przekuwania klęski w sukces (<http://goo.gl/U3jYg>).



Facebook, jak wiadomo, kontaktami międzyludzkimi stoi. A te, jak wiadomo, to radość życia naszego. Przynajmniej w teorii



Twitter to taka kołomyja, że człowiek nie ma nawet czasu na popadanie w melancholię twitter.com/przekroj_pl



Blip? Czysta żywa informacja. Zero uczuć. przekroj.blip.pl

Kącik złamanych serc:
redakcja@przekroj.pl

WIRUJĄC NA JEDNEJ NODZE, NIE PISZEMY...

...że odkąd wiemy, iż przedmiotem złożonego przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych zamówienia jest „wytworzenie i dostarczenie bączków – upominków artystycznych promujących Polskę podczas Przewodnictwa Polski w Radzie UE w II połowie 2011 roku w ilości 6200 zestawów bączków (3100 zestawów nr 1 i 3100 zestawów nr 2). Jeden zestaw składa się z dwóch drewnianych, ręcznie malowanych bączków”, wirujemy radośnie, nie mając pewności, czy to jawa, czy sen.

...że upewnieni przez „uzasadnienie udzielenia przedmiotowego zamówienia”, iż nasz polskoprezydencyjny bączek nie trafi w niegodne ręce, albowiem bąki „będą (...) kierowane tylko do wybranych gości”, wirujemy w tym większej ekstazie.

...że humor psuje nam to tylko, że w medialnej debacie na ten temat nikt bodaj nie skojarzył narodowego bączka (czyż „narodowa fryga” nie byłaby strawniejsza?) ze „zbijaniem bąków”

lub „opiciem się jak bąki”, poprzestając na najbardziej trywialnej asocjacji.

...że zgola nietrywialna zdaje się natomiast antyplatformerska kruczata Marcina Mellera, skoro sam minister Sławomir Nowak wyznał, iż „marzyłby o możliwości wytłumaczenia” Mellerowi, dlaczego się myli, i na dobry początek powiada, iż jest tenże „kwintesencją elity. To lider opinii, bardzo elitarny”. I marzy nam się, że któraś telewizja

fundnie sobie program, w którym minister Nowak będzie wszystko tłumaczyć, bo się nam nudzi ostatnio, a czytać książek przecież nie wypada.

...że wypada za to wsłuchiwać się w zgłęk oręza. Słyszając jednak zewsząd, jak to Edyta Herbuś walczy o Hollywood, Andrzej Lepper o Białoruś, a mąż Marty Kaczyńskiej nie wiadomo o co – zasypiamy z głową na bączku. A bączek kręci się aż miło.

MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PLYTA

Czytelnictwo: Ostatnie badania wykazały, że zbyt wielu ma książki w literach. Czterech

W TYM TYGODNIU

- 5 Świat według „Przekroju” Katarzyny Janowskiej i Orbita „Przekroju” Jana Hartmana
- 6 Tydzień z „Przekrojem”

PRZED WSZYSTKIM

- 8 **Homorodziny są wśród nas.** Jak żyją? Jak przyjmują ich bliscy i jak radzą sobie z wrogocią sąsiadów i państwa? O tym wszystkim w tekście Małgorzaty Święchowicz i Marceliny Szumer
- 12 **Banki szwajcarskie wolą kasę** niż etykę. Dlatego uciekają z Europy. Dokąd i czy im się to uda, zastanawia się Łukasz Wójcik
- 14 **Beata Kempa, czyli pisowski doktor Jekyll i pan Hyde.** Dwa oblicza posłanki przedstawia Donat Szyller
- 16 **Dick Marty z pasją ściga polityków** uwikłanych w przestępczą działalność. To on ujawnił istnienie więzień CIA w Polsce, teraz zajął się mafią przeszłości premiera Kosowa. O nieustraszonego prokuratorze pisze Rafał Kostrzyński
- 18 **Prawdziwi złodzieje wirtualnego świata** okradają graczy komputerowych. I to na gigantyczne pieniądze. Policja weszła do gry. Jak jej idzie? Śledzi Donat Szyller
- 20 **Porwane dziecko odnalazło się po 23 latach.** I nikt się z tego nie cieszy. Dramatyczną historię opisuje Joanna Woźniczko-Czczcott
- 21 **Krótko**

ROZMOWA PRZEKROJU

- 22 **Wnuk Stanisława. Syn Kazimierza.** Jan wkracza na scenę. Z reprezentantem trzeciego pokolenia muzyków w rodzinie Staszewskich rozmawia Robert Mazurek

OD AUTORÓW



Małgorzata Święchowicz

W Polsce straszy się wizją lesbijek i gejów wychowujących dzieci. Z Marceliną Szumer próbowałyśmy odkryć to, co niby jest takie straszne, a nazywa się tęczą rodzinną. Nie miałyśmy łatwego zadania – z obawy przed napiętnowaniem ukrywają się, nie dają sfotografować, nie obnoszą się ani ze swoim szczęściem, ani z problemami. Mimo wszystko dały nam się poznać. I Wam też – na s. 8.

Małgorzata Sadowska

Na własne oczy przekonałam się, że bohaterami ostatniego festiwalu w Berlinie nie byli ani bracia Coenowie, ani Ralph Fiennes. Bohaterem Berlinalle okazał się Iran. W konkursie faworytem był irański film, a każdy, kto mógł, deklarował poparcie dla uwiezionego reżysera Jafara Panahiego, na którego do końca czekało puste krzesło jurora. Oburzeni teherańscy urzędnicy opuścili festiwal. Po raz pierwszy od dawna Berlinalle pokazało, że jego zaangażowanie to nie tylko puste hasło (czytaj na s. 34).

Piotr Stanisławski

Fakt, podkladam się na s. 24. Nie ma co liczyć na to, że Danone i Biron nie zauważą mojego pastwienia się nad ich produktami – monitoring prasy zrobi swoje. Ale muszę przyznać, że z przyjemnością przeczytam rzeczowe argumenty, którymi z pewnością zarzucą redakcję ich działu PR. Może zdołają mnie przekonać do cudownego jogurtu? Bo z pewnością nie uda się to w przypadku wyciągu z kaczki.

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 26 **Mity, przesady i zwykle kłamstwa o zdrowiu.** Obala je Piotr Stanisławski. Uwaga! Jest bezwzględny
- 30 **Masz pomysły na biznes?** A może chcesz napisać powieść? Jeżeli brakuje ci tylko pieniędzy, by zrealizować swoje marzenia, Małgorzata Tomkiewicz pokazuje, jak łatwo znaleźć kasę w sieci
- 32 **Też pytanie!**

KONIEC Z KULTURĄ

- 34 **Festiwal filmowy w Berlinie** to miejsce, gdzie polityka i glamour z różnym efektem próbują chodzić w parze. Relacja Małgorzaty Sadowskiej
- 37 **Serial „Glee” już w Polsce.** Dłaczego musisz go obejrzeć, przekonuje Ola Salwa
- 38 **The National to przykład, jak niezależna muzyka przenika do mainstreamu.** Z muzykami rozmawia Mariusz Herma
- 40 **Adam Macedoński, słynny rysownik „Przekroju”,** skończył 80 lat. Życząc mu wszystkiego najlepszego, przypominamy jego barwną biografię. Z artystką spotkała się Anna Szulc
- 42 **Lektura:** Marek Zajac pyta Stanisława Obirka, dlaczego wciąż pisze o polskim katolicyzmie

OTWÓRZ OCZY

- 46 **Tomasz Kowalski:** staromodny młody malarz

RECENZJE

- 52 **Film:** Kałużyński o kompromisach we „Wszystko w porządku”
- 55 **Komiks:** Frąckiewicz zazdrości mangi Japończykom
- 56 **Książki:** Sendecki daje tróję Littellowi
- 57 **Muzyka:** Szubrycht słucha Krajewskiego
- 58 **Teatr:** Sieradzki przymrożony „Podróż zimową”

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 7 **Kroniki popkultury** Orbitowskiego
- 60 **Rozmaitości** z krzyżówką i jolką, Obyczajówką Witkowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
- 64 **Dziennik** Jerzego Piłcha
- 3, 21, 65 **Raczkowski**



Ilustracja na okładce: Tomasz Karelus, studiouiustracji.com

PRENUMERATA
PRZYZYĆ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 a, 00-695 Warszawa, Alifor Bank SA **80 2490 0005 0000 4600 1542 1792** i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – 218,40 zł, półrocznej – 109,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI:
ul. Nowogrodzka 47 a,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 33, faks 22 525 99 88,
www.przekroj.pl
e-mail: redakcja@przekroj.pl
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA:
Katarzyna Janowska
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ:
Marek Zajac
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski
SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziorowska, Piotr Witek
SEKRETARIAT:
Karolina Lajkowska, tel. 22 525 99 33
PRZEDRZĘCZNIKI:
wydarzenia@przekroj.pl,
Paweł Wiczorek (szef),
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),
Agnieszka Fiedorowicz,
Maciej Jarkowicz, Rafał Kostrzyński,
Anna Szulc, Donat Szyller,
Małgorzata Święchowicz,
Joanna Woźniczko-Czczcott;
stałe współpracują: Agata Jankowska,
Marcelina Szumer

CYWILIZACJA OD ŚRODKA:
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski (szef), Milena Rachid Chehab,
Olaf Szweczyk; stałe współpracują:
Irena Cieślinska, Urszula Dąbrowska,
Piotr Kossobudzki
KONIEC Z KULTURĄ:
kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef),
Marcin Sendecki (zastępca szefa),
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski,
Łukasz Drewniak, Sebastian
Frąckiewicz, Mariusz Herma, Anna
Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki,
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA:
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pięszczyk;
stałe współpracuje Kaliber 45
PRACOWNIA GRAFICZNA:
Władysław Buchner (wicedyr. art.),
Agnieszka Kwiatkowska,
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski
FOTORECYZIA:
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef),
Marek Szczepański; stałe współpracuje
Anna Bajorek
KOREKTA:
Dorota Dul, Tatiana Hardej
PROJEKT GRAFICZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski
STRONA INTERNETOWA:
Marcin Cichoński
ARCHIWUM: Dominika Bok
OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE
DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski

GREMI GRUPA

Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,
ul. Nowogrodzka 47 a,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:
Grzegorz Hajdarowicz
PRZYZYĆ WYDAWNICTWA:
Jan Godłowski
DYREKTOR WYDAWNICTWA:
Sławomir Mokrzycki
DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:
Artur Rumanek
PROMOCJA I MARKETING:
promocja@przekroj.pl,
Agata Stremiecka (szef),
Jakub Maszkowski
BIURO REKLAMY:
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek
– dyrektor, tel. 22 525 99 17,
Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 16,
Agnieszka Pawelec tel. 22 525 99 15,
Małgorzata Skorupa tel. 22 525 99 18
DYREKTOR DYSTRYBUCJI:
Elżbieta Maciążek
DRUK: RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.



ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

KATARZYNA JANOWSKA
REDAKTOR NACZELNA

Kraj, który lubię

Ciężki cień ojczyzny zostaje z tyłu. Potem można mu się przyglądać z oddali. To podstawa patriotyzmu: żeby można było wyjechać w każdej chwili i z oddali patrzeć na cień ojczyzny. Jak się wznosi nad krajem i rozpościera niczym atomowy grzyb – Andrzej Stasiuk w świetnym „Dzienniku pisanym później” subtelnie oddziela kraj od ojczyzny.

Próbuję przyrzeć się cieniowi ojczyzny z punktu widzenia młodych ludzi studiujących na zagranicznych uczelniach, brylujących na prestiżowych stypendiach. Roman Graczyk w książce „Cena przetrwania”, która lada chwila się ukáže, opisuje dzieje inwigilacji środowiska „Tygodnika Powszechnego”. Fakt, że ludzie stojący w komunistycznym kraju na straży wartości, mocno związani z Kościołem i opozycjoni wobec władzy byli na celowniku wiadomych służb, nie jest dla nikogo zaskoczeniem. Ale w wywiadzie z autorem opublikowanym w „Rzeczpospolitej” padają nazwiska czołowych redaktorów „Tygodnika...”, którzy kształtowali linię ideową pisma i jednocześnie mieli być TW. Uproszczony wniosek brzmi: SB, a co za tym idzie – władza ludowa, sterowała „Tygodnikiem...”. I pewnie wielu z tym wnioskiem zostanie. Nie będą mieli nawet potrzeby zaglądać do książki. Kamień historii ciąży u szczytu, pytanie tylko komu? Dla kogo ta burza – oprócz samych zainteresowanych – ma jeszcze dziś znaczenie? Może 10-15 lat temu taka książka wywołałaby trzęsienie ziemi. Dziś jest duże prawdopodobieństwo, że ulewa przejdzie bokiem, omijając 20- i 30-latków, którzy za jakiś czas będą mieli realny wpływ na losy kraju. Trupy przeszłości ukryte w szafie to bagaż zniewalający ojczyznę, ale czy także kraj?

Czy dla młodych ludzi oplecionych siecią przyjaciół na całym świecie cień zanurzonej w historii ojczyzny ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? Czy poruszy ich już dziś rozkręcana debata, gdzie który polityk spędzi pierwszą rocznicę katastrofy smoleńskiej? Śmiem wątpić. Jeśli coś ich zainteresuje, to informacja, że w styczniu nastąpił rekordowy wzrost zatrudnienia, że płace rosną, że małe przedsiębiorstwa mają szansę funkcjonować, czyli jest po co wracać do kraju. Jest szansa na dobre życie tutaj. To jest nowoczesny patriotyzm i widok kraju, który lubię.



ORBITA PRZEKROJU

JAN HARTMAN

Gej straszy we mnie

Prawie wszyscy wychowaliśmy się w kulturze wstrętu. Tylko najbardziej wyzwoleni spośród nas brzydzą się wyłącznie brudu – inni cierpią na liczne awersje kulturowe. Jedną z nich jest wyuczony wstręt do homoseksualizmu. Wyuczony, bo jest cechą naszej kultury, echem archaicznego systemu „grzechów” podbudowującego porządek społeczny pustynnych plemion, które przekazały nam swe idee religijne i moralne. Wstręt jest uczuciem pospolitym, przez co tym łatwiej kłamać, że odczuwa go wobec homoseksualistów każdy, a dalej, że homoseksualizm jest „sprzeczny z naturą”. I nie wystarczy, że to „wynaturzenie” spotykane jest wszędzie, a tylko w niektórych kulturach jest potępiane. Nie wystarczy, że znane jest powszechnie w świecie zwierzęcym – zwolenników „prawa naturalnego”, które zawsze układa im się w zestaw stereotypów i uprzedzeń o nader partykularnym i ściśle kulturowym charakterze, nigdy nie interesuje prawda. Bo coż to jest prawda, kiedy trzeba bronić narodu przed trucizną liberalizmu, ateizmu i pederastii? Większość z nas znajduje się w takiej czy innej fazie rekonwalescencji po nabytej jeszcze w dzieciństwie homofobii. Już niby jesteśmy wyleczeni, a przecież nie do końca. Nie śmielibyśmy popierać dyskryminacji homoseksualistów, ale parad równości nie lubimy. Argumentujemy, że „nie należy eksponować publicznie seksualności, bez względu na orientację”. Udajemy przy tym głupszych, niż jesteśmy, bo przecież wiemy, że imprezy te mają charakter polityczny, a wyzywające zachowania mają być testem naszego rzeczywistego poszanowania równych praw gejów i lesbijek. Na nieco dalszym etapie reedukacji etycznej z odrażającego narowu homofobii znajdują się ci, którzy łaskawie pozwoliliby na małżeństwa homoseksualne, ale, broń Boże, bez prawa wychowywania dzieci! Niech sobie robią, co chcą, w łóżku, niech tam dziedziczą po sobie i tak dalej, ale od puszczenia dzieci wara! I ja tak myślałem, ale musiałem zmienić zdanie. Lepiej późno niż wcale. Założymy, że generalnie lepiej jest, żeby dziecko miało mamę i tatę, a nie dwie mamy lub dwóch tatusiów. Czy znaczy to jednak, że w każdym przypadku dziecku będzie lepiej w domu dziecka niż u pary gejów i lesbijek? Czy znaczy to, że każda para homoseksualna, na przykład para miłych i mądrych ludzi, jest gorszą rodziną dla dziecka niż każda para złożona z mężczyzny i kobiety, na przykład pijaków i złodziei? Chyba nikt nie śmiałyby bronić takiej tezy. A skoro możliwy jest przypadek, że adopcja dziecka przez parę homoseksualną będzie dla niego lepsza niż pozostawienie w domu dziecka, to dlaczego prawo miało ją wykluczać? Czyżby restrykcja taka była w tym wypadku poddyktowana dobrem dziecka? Oczywiście nie. A więc czym? Wstrętem do homoseksualizmu, bo czymże by innym? I tak koło się zamyka. Dla tych, którzy nie wyleczyli się jeszcze do końca, mam wspaniałą propozycję. Przypomnijcie sobie wszystkie przeżycia i emocje homoseksualne z własnego dzieciństwa i młodości i postarajcie się je polubić. Bojąc się gejów i lesbijek, boimy się „geja” czy „lesbijki” w nas samych. Gdy dojdziemy do ładu z własną homoseksualnością, kurację będziemy mogli uznać za zakończoną.

Autor jest profesorem filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego

Kulturalnie polecamy

WTOREK
22 LUTEGO

W Łodzi starsi i młodsi

Czterej artyści i dwa pokolenia będą bohaterami wystawy „Bodziański, Konieczny, Ukłański, Warpechowski”. Zobaczcie, jak kształtowała się polska awangarda od lat 70. do współczesności. Staną naprzeciw sobie pionierzy polskiego performance'u (współzałożyciel grupy The Black Market Zbigniew Warpechowski oraz autor idei „Think Crazy” Marek Konieczny) i ich młodzi kontynuatorzy (autor głośnych „Nazistów” Piotr Ukłański oraz słynący z zabaw w „Ciuciubabkę” z odbiorcami Cezary Bodziański). To wystawa dla starszych i młodych!

Łódź, do 3 maja, ms

Bernhard urodzinowo

W 80. rocznicę urodzin Thomasa Bernharda ukazuje się wznowienie jego „Autobiografii”. O dziele jednego z najznakomitszych austriackich pisarzy, autora słynnego „Wymazywania”, Krzysztof Varga pisze: „To proza trudna, zapętlona w swoich obsesjach, drażniąca, jest jednak wielką odtrutką na bezmyślną i toksyczną kulturę masową”. Jasne więc, że nie można przeoczyć tych wyjątkowych urodzin, które świętować będziemy w Łodzi z Markiem Kędziarskim i tłumaczką Sławą Lisiecką. Dwa dni później obchody w Warszawie: na początek otwarcie wystawy „Thomas Bernhard – Fotografie ze spuścizny”, potem wieczór literacki, który poprowadzą Adam Lipszyc i Karolina Wigura.

Łódź, 22 lutego, Teatr Nowy, godzina 10
Warszawa, 24 lutego, BUW, godzina 10 (otwarcie wystawy); Austriackie Forum Kultury, godzina 18 (wieczór literacki)

ŚRODA
23 LUTEGO

Projekt tango

Jeśli w co trzeciej reklamie słyszymy tango argentyńskie, to wypada wiedzieć, czyja to zasługa. Dokładnie 10 lat temu debiutancki album Gotan Project „La Revancha del Tango” wprowadził tango argentyńskie tam, gdzie sam Astor Piazzolla nie zdołał dotrzeć. Trio podbiło jednocześnie serca amatorów muzyki house, techno i chilloutu oraz bywalców milong. Na żywo ich eklektyzm robi jeszcze większe wrażenie: wirtuozi tradycyjnych instrumentów, za ich plecami didżeje, a wszystko w świetle nastrojowych wizualizacji.

Warszawa, 22 lutego, Sala Kongresowa, godzina 20
Zabrze, 23 lutego, Dom Muzyki i Tańca, godzina 20
Wrocław, 24 lutego, Hala Orbita, godzina 20

Para buch

Tak, to nimi inspirowały się takie tuzy muzyki popularnej jak David Bowie i znany z Faith No More, ostatnio występujący solo Mike Patton. Tak, to właśnie to szwajcarskie trio wydało „pierwszy gitarowy album zarejestrowany bez użycia gitar” – do nagrania debiutu wystarczyły im same sample. The Young Gods to już marka, grają od ponad ćwierćwiecza. A brzmią tak, jakby industrial był muzyką przyszłości, a nie wynalazkiem dawno minionej epoki. Na trzech koncertach w Polsce będą tego dowodzić za pomocą materiału z najnowszej płyty „Everybody Knows”.

Warszawa, 22 lutego, Progresja, godzina 20.30
Wrocław, 23 lutego, Firlaj, godzina 20
Kraków, 27 lutego, Kwadrat, godzina 20

CZWARTEK
24 LUTEGO

Architektura mówi...

...a jej język tworzą światowej sławy architektki, tacy jak Daniel Libeskind. Autor gmachu Muzeum Żydowskiego w Berlinie oraz zagospodarowania pustki po World Trade Center w Nowym Jorku (między innymi projekt Wieży Wolności) zaprojektował w Warszawie wieżowiec Złota 44 obok Złotych Tarasów. Na wystawie „Architektura jako język” zobaczycie fotografie zrealizowanych już planów, wizualizacje projektów w trakcie realizacji, rysunki, szkice oraz liczne niespodzianki!

Wrocław, do 6 maja, Muzeum Architektury

Póki żyją

Wishbone Ash rozpoczęli karierę... w 1969 roku. Rozwijali ją w tym samym czasie co giganci rocka progresywnego: King Crimson, Pink Floyd, Genesis. I spójrzcie – to oni wciąż stoją na scenie! A raczej stoi, bo w składzie Wishbone Ash występuje już tylko jeden muzyk z oryginalnego składu, za to nadrabia wydajnością: grupa daje około 200 koncertów rocznie. Na koncertach w Warszawie i Gdańsku będzie ją supportować kanadyjski bluesman Shawn Kellerman.

Wrocław, 24 lutego, Kultowa, godzina 20
Kraków, 25 lutego, Kwadrat, godzina 20
Warszawa, 26 lutego, Proxima, godzina 18
Gdańsk, 27 lutego, Parlament, godzina 20
Toruń, 28 lutego, Od Nowa, godzina 19

PIĄTEK
25 LUTEGO

Poćwiczmy zmianę rol

„Zróbmy to razem!” W tej interaktywnej akcji odbiorca zamienia się miejscem z artystą, artysta staje się odbiorcą. Dzięki temu jeden może dowiedzieć się czegoś o drugim,

a obaj mogą dowiedzieć się wiele o sztuce. Efekty (prezentację multimedialną, którą współtworzyacie, wypełniając kwestionariusz) można zobaczyć w galerii i Internecie. Zróbmy to razem!

Kraków, do 11 marca, Galeria Zderzak oraz na www.zrobmytorazem.org

SOBOTA
26 LUTEGO

Szalone miłość do mody...

...i pewnego mężczyzny jest tematem filmu „Szalona miłość – Yves Saint Laurent” (reżyseria Pierre Thoretton). Dzieło o jednym z najwybitniejszych kreatorów mody i jego wieloletnim związku (zawodowym i prywatnym) z Pierre'em Bergé zostanie pokazane w maju na festiwalu Planete Doc. Możecie jednak zobaczyć je już w tę sobotę w ramach cyklu „1/100”. Po pokazie z widzami spotka się projektantka mody Joanna Klimas. Z miłości do dokumentu i festiwalu Planete Doc – zapraszamy!

Warszawa, godzina 13, kino Atlantic

NIEDZIELA
27 LUTEGO

Z fiordów północy

Przyjeżdża do nas Halla Nordfjörd. 24-letnia islandzka piosenkarka i songwritarka wiosną wyda debiutancki album i pojedzie w trasę po Niemczech. Wcześniej jednak swoim pięknym głosem zaczerpuje 11 polskich miast! Zaśpiewa autorskie utwory po angielsku i islandzku. Nie przegapcie tej okazji, Halla wkrótce będzie gwiazdą – wtedy będziecie mogli się pochwalić, że byliście na jej koncercie... na przykład w Piotrkowie Trybunalskim!

Kraków, 22 lutego, Żaczek
Tarnowskie Góry, 23 lutego, Kałamarz
Sopot, 24 lutego, Sfinks700
Radom, 25 lutego, Czytelnia Kawy
Zgierz, 26 lutego, Agrafta
Piotrków Trybunalski, 27 lutego, Spirala, więcej na www.myspace.com/hallaboa

PONIEDZIAŁEK
28 LUTEGO

Kręćcie i wygrywajcie...

...ale wcześniej „Bierzcie i kręćcie” w ramach konkursu pod patronatem krakowskiego festiwalu Off Plus Camera. 24 dni zostało na zgłaszanie projektów w trzech kategoriach: Allegro Short Film, Relacja z wydarzenia oraz Ty Plus festiwal (filmy nakręcone telefonem komórkowym). Nie dość, że do wygrania są trzy tysiące dolarów, to jeszcze możecie stanąć w szranki z celebrytami, między innymi z Anną Muchą, która nakręciła etiudę w kategorii Allegro. Zatem „Bierzcie i kręćcie”!

więcej na www.konkurs.offpluscamera.com

Ludzie i potwory

Bo zważmy, że by łągać, trzeba najpierw istnieć



LUKASZ ORBITOWSKI

Rozważam pojęcie kłęski, niekoniernie własnej czy konkretnych bliźnich, którym jako jednostka słaba i zmasakrowana sama przez się muszę wszak życzyć dobrze. Interesuje mnie kłęska w najróżniejszych przejawach, platońska idea kłęski wyrażona najpełniej w sylwetce kojota spadającego na dno kanionu. Bip-bip! Kiedy upadek jest najstraszliwszy? Zapewne wówczas, gdy realizacja jakiegoś wielkiego zamierzenia się udaje, ale nie do końca, „prawie” oznacza gorzej niż wcale – wie o tym każdy, kto choć raz był drugi na mecie.

Britney Spears wróciła ponownie z nową piosenką. A miała z czego się zbierać. Jeszcze parę lat temu wielce popularna była strona, na której typowano datę jej śmierci. Nagroda do wzięcia przednia, bo PlayStation 3. Britney zdradzała objawy niezłej szajby, ogoliła się na lyso i organizowała orgie, nad śnieg bielszą się stając od nadmiaru kokainy. Piła już jako 13-latką za pełnym przyzwoleniem rodziców, dziś zainteresowanych głównie dolarami córki. Tatuś doi ją, ile wlezie, biografia napisana przez matkę nadawałaby się na scenariusz filmu porno. Britney, szukając miłości, nurkowała w ramionach kolejnych tumanów kojarzących się ze zwyczajnym życiem – nadal utrzymuje ojca swoich dzieci.

Dziś jest znowu śliczna, choć ponoć cuchnie niemożliwie na skutek zrozumiętej niechęci do mycia się – tak

przynajmniej szepczą kręgi skupione wokół aktualnego narzeczonego. Co się teraz stanie? Wyszło, lecz prawie – nowy numer jak wleciał, tak zleciał zapewne w ten sam jar, gdzie liże rany wspomniany już kojot. Stało się tak za sprawą „Born this Way” Lady GaGi.

Świat rozrywki jest bezlitosny – to kolorowe ostrze w kształcie cynicznego uśmiechu przycina wszelkie gwiazdy do określonego formatu, i to tak, że w teledyskach podskakują wesolutko skrawki po człowieku. Te dwie dziewczyny uciekły spod noża, każda w cudowny sposób i każda z innego powodu. Britney – dziewczę skromnego talentu, inteligencji nienachalnej, lecz przesympatyczne – omal nie przyplaciła życiem tej zabawy w sławę. Jej rozpaczliwe ruchy, łącznie z ogoloną głową, wioną wczorajszego fatalaszka i kocharaniem kolejnych tancerzy, odbieram jako niezdarną próbę ocalenia siebie. Ten brak zgody na nieprawdę wyrażony został z gracją pijanego nosorożca i jest jak pijak szczery, a mimo obłędu, niepowodzeń i zgrai pasożytów dziewczyna podnosi się nieustannie i tłucze świetne kawałki. GaGa inaczej – miast łeb ogolić w noc ciemną, zakłada kolejne peruki, wierzy też, że zabić ją może promieniowanie z komórki, choć to Britney spoglądała śmierci w oczodoły. Nie złości się i o to, bo GaGa niczego nie udaje, by łągać, najpierw trzeba zaistnieć, tymczasem jej zwyczajnie nie ma. To genialna maszyna bez człowieka w środku, ucieleśniona popkultura i robot roztańczony: stroje są jej skórą, a piosenki jedyną mową, do której pozostaje zdolna. Nie podlega formatom, gdyż przeskoczyła wszystkie, zewnętrzność ma tak bogatą, że na wnętrzu miejsca zbrakło.

Lubię obie nowe piosenki, lecz nie wątpię, że ze starcia Britney-GaGa ta druga wyjdzie zwycięsko. Przypominają mi się filmy fantastyczne, w których ludzie muszą zmagać się z maszynami, które sami stworzyli, następnie ponoszą kłękę z nadzieją na sequel. Proszę, i jest. Nie w świecie, lecz w kulturze, co chyba ważniejsze. Stawką są przecież nasze sny.

Wybierz filmowego Wałęsę na Facebooku

Marian Dziędziel czy Krzysztof Globisz? Andrzej Chyra czy Robert Więckiewicz? Borys Szyc czy Tomasz Karolak? A może ktoś szerzej nieznan, jak Michał Majnicz lub Mariusz Ostrowski?

facebook

Wyniki przedstawimy w jednym z najbliższych numerów „Przekroju”. Miłej zabawy!

W poprzednim numerze „Przekroju” ogłosiliśmy redakcyjny casting na odtwórcę roli Lecha Wałęsy w planowanym filmie Andrzeja Wajdy. W naszej zabawie zgodzili się wziąć udział między innymi Jadwiga Staniszkis, Magdalena Środa, Agnieszka Holland, Wilhelm Sasnal i Jan Klata. Wspólnie wyłoniliśmy dziesięciu aktorów, których widzielibyśmy w roli legendy Solidarności. Wy także możecie wskazać idealnego filmowego Wałęsę! Jak? Głosując na Facebooku na profilu „Przekroju”!

Kubicy zderzenie z rzeczywistością
Janda: chodzę po ostrzu brytywy
Powrót lodowych wojowników

PRZEKROJ
Poszukiwany Lech Wałęsa
KTO GO ZAGRA U WAJDY

38



Homo? Już wiadomo

Para homoseksualna, która wychowuje dziecko? Tego większość Polaków nawet sobie nie wyobraża. Tymczasem to już nie kwestia wyobraźni – mamy w kraju 50 tysięcy dzieci wychowywanych przez gejów lub lesbijki

TEKST MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ, MARCELINA SZUMER
ILUSTRACJA KAROLINA SKOTNICZNA, STUDIOILUSTRACJI.COM

Anna z Edytą żyją razem w niedużym miasteczku pod Poznaniem. Wychowują Zuzkę, którą Ania urodziła osiem lat temu. Zamierzają powiększyć rodzinę – tym razem w ciążę ma zająć Edyta. Dawca nasienia został już wybrany.

Janek – biseksualista z Trójmiasta, student politologii – jesienią ubiegłego roku został tatusiem Natalki. Rodzice Janka ucieszyli się z wnuczki i czekają na rozwój wypadków; syn nie powiedział im ani o swojej orientacji, ani o tym, że z mamą dziecka związku żadnego mieć nie będzie, a już na pewno nie małżeńskiego.

Michał Sieczkowski, reżyser i aktor, który gra Mateusza w serialu „Plebania”, dwa lata temu wyznał na jednym wydechu, że jest gejem i ojcem. Przyznaje teraz, że to była wielka odważa, ale też specjalny gest, znak dla 12-letniego syna. – Chciałem mu pokazać, że warto być odważnym – tłumaczy „Przekroju”.

O ile łatwiej przyznać się do bycia gejem czy lesbijką, o tyle nadal trzeba mieć dużo odwagi, by nie ukrywać, że jest się równocześnie gejem i ojcem, lesbijką i matką. Jednych blokuje strach, innych troska.

– Jeśli ktoś rzuci we mnie kamieniem, zniosę to. Ale nie darowałabym, gdyby ktoś zamachnął się na syna – mówi Renia, menedżer w dużej warszawskiej firmie. Mieszka z Karoliną, tłumaczką, są w związku od siedmiu lat, mają trzyletniego synka Kajetana. Rozbrykany maluch zarówno do Reni, jak i do Karoliny mówi „mama”. Pojęcia jeszcze nie ma, że posiadanie dwóch mam to coś, co niektórym nie mieści się w głowie.

– Jeśli przyjmujemy, że istnieje gradacja lęków, to proszę mi wierzyć: lęk o dziecko jest na najwyższym z poziomów – wyjaśnia Przemysław Szczeplowski, prawnik, który swoimi porada-

mi wspiera toruńskie środowisko homoseksualistów skupione w stowarzyszeniu Pracownia Różnorodności. Widział raz próbę ujawnienia się homorodzin – w 2008 roku chciały założyć wspólną organizację. Ale jak nagle wyszły z podziemia, tak nagle zapadły się pod ziemię.

– Nie chcą się ujawniać. Jest blokada – przyznaje doktor Monika Zima, członkini Zarządu Polskiego Towarzystwa Prawa Antydyskryminacyjnego. Jest prawniczką po aplikacji sędziowskiej, pomaga osobom zgłaszającym się do stowarzyszenia Kampania przeciw Homofobii. Pod jej redakcją ukazał się właśnie obszerny raport KPH „Tęczowe rodziny w Polsce” – o prawnej i społecznej sytuacji rodzin lesbijskich i gejowskich. Choć opisuje polskie homorodziny, na zdjęciach pokazuje tylko te z zagranicy. Z polskich żadna nie chciała się ujawnić.

Dziura i normalne związki

Ponieważ tęczowe rodziny owiane są tajemnicą, trudno nawet dojść, ile jest w nich dzieci. Od 50 do 57 tysięcy – to szacunki przywoływane przez KPH. – Dokładne liczby nie są znane, nie prowadzi się badań – przyznaje Robert Biedroń, współzałożyciel KPH. – Bazujemy na informacjach od osób, które się do nas zgłaszają, na badaniach społecznych z innych krajów i statystyce dotyczącej liczby osób homoseksualnych.

A statystycznie gejów i lesbijek może być w Polsce dwa miliony, z czego połowa prawdopodobnie żyje w związkach. Przy czym dziecko lub dzieci częściej wychowują lesbijki niż geje – to norma ogólnoswiatowa. Zdarza się (także na świecie), że wychowuje się dziecko poczęte w związku heteroseksualnym. Ale bywają i dzieci poczęte już w czasie trwania

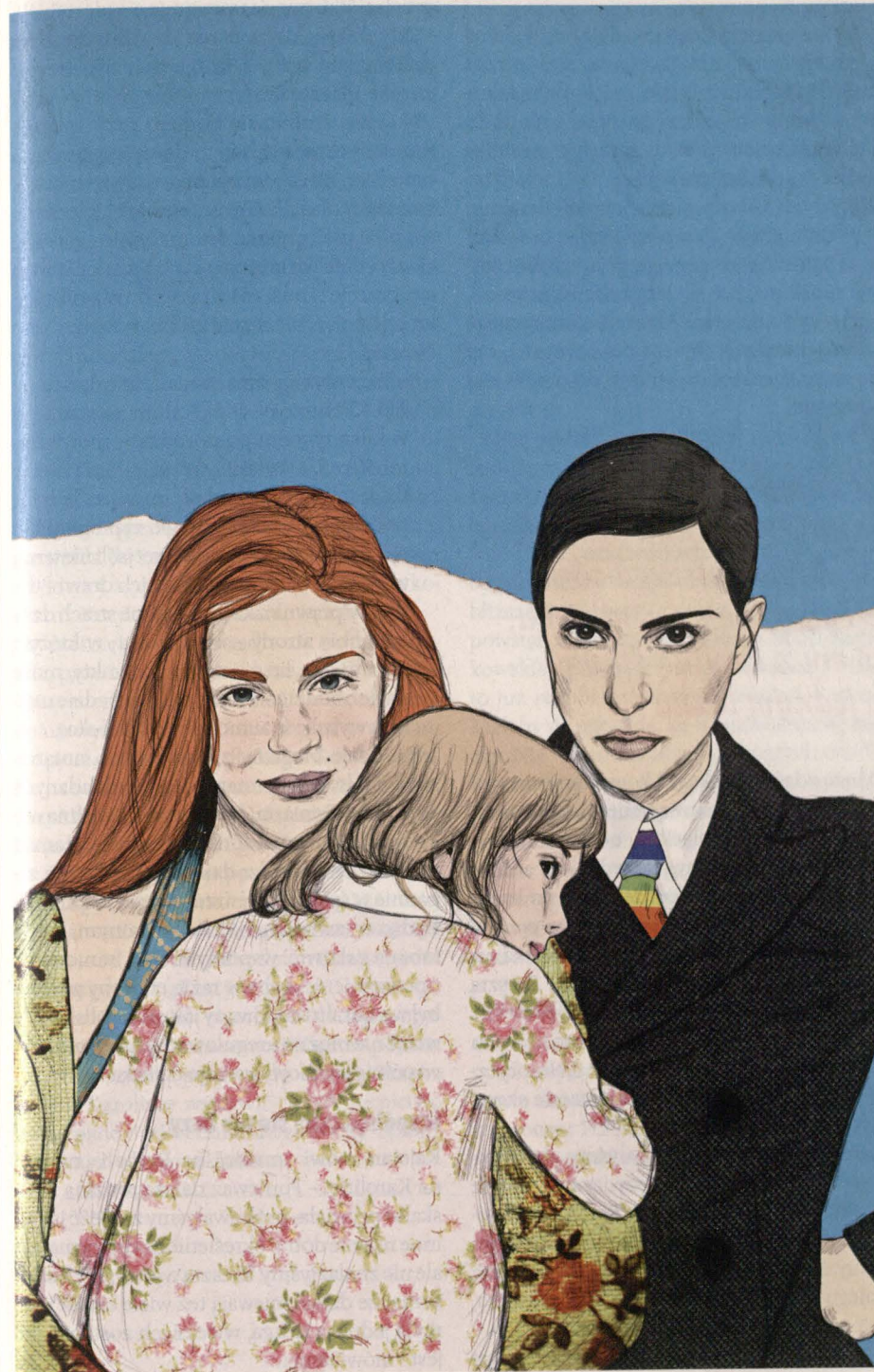
związku homoseksualnego. Być może nie byłoby tych pierwszych, gdyby nie silna społeczna presja na zakładanie rodziny, która wygląda, jak pan Bóg przykazał.

– Wdrukowano mi schemat, że trzeba mieć żonę, dzieci. Tak zrobiłem – mówi Marek (gej, ma dwóch synów). Otwarcie w rodzinie nigdy się o jego orientacji nie mówiło, ale coś zawsze wisiało w powietrzu. Gdy wychodził z domu, żona mówiła do synów: „Tatusz sobie idzie, bo woli panów niż nas”.

– Pragnęłam stworzyć tradycyjny związek – tłumaczy Anka (graficzka z małego miasteczka pod Poznaniem). Związała się z mężczyzną, urodziła córeczkę, miało być fajnie. Nie było. Nie występowała nawet o alimenty, żeby tylko eks nie zaczął przed sądem wyciągać brudów. W Polsce to reguła, że homoseksualista kryjący się w związku heteroseksualnym wydaje się do zaakceptowania przez wszystkich. Gdy się ujawni – automatycznie staje się złym rodzicem.

Do prawników ze stowarzyszenia Kampania przeciw Homofobii co roku wpływa około 240 spraw, z czego 35 procent dotyczy walk o dziecko. Normą są próby ograniczenia lub pozbawienia praw rodzicielskich, wykorzystywanie poczucia winy: „Z twojego powodu rodzina nie będzie już taka jak dawniej”, „Lecz się, masz zaburzenia psychiczne”.

– Mamy teraz taką sprawę – relacjonuje doktor Monika Zima – ojciec dostał zgodę na to, by widywać się z synem, ale pod warunkiem, że nie będą to spotkania w obecności jego partnera, ponieważ, jak podnoszono w sądzie, wśród pedofilów 80 procent to homoseksualiści. Nie mogą pojąć – dodaje doktor Zima – dlaczego takie bzdury opowiada się przed sądem i dlaczego nikt na coś takiego nie reaguje oburzeniem.



Anka, gdy powiedziała „dość” i posprzątała gruzy po swoim heteroseksualnym związku, poznała Edytę (najpierw była to znajomość internetowa – Anka po przejściach z facetem, Edyta po nieszczęśliwych związkach z kobietami). Nie myślały, że będzie z tego miłość, a jednak jak tylko się zobaczyły... Wow.

– Ze względu na dziecko długo się zastanawialiśmy, czy zamieszkać razem – przyznaje Anka. Z drugiej strony ileż można wymykać się na potajemne spotkania? Edyta spakowała się, wprowadziła cichutko i Zuza – córka Ani – kiedy wstała rano, zobaczyła, że do śniadania siada jakaś pani. „Kto to?” – spytała rezolutnie.

„Jestem Edyta” – przedstawiła się kobieta. Są ze sobą trzy lata. Oswajały się, poznały. – Mam czasami wrazenie – mówi Anna – że teraz Zuza ma lepszy kontakt z Edytą niż ze mną. Jak trzeba pogadać o chłopakach albo o tym, co w szkole, to leci do niej, nie do mnie.

Ale też często przytula się do obu równocześnie. – Wy moje kochane mamuśki – mówi. Gdy zrobiła to po raz pierwszy, rozłożyła je na łopatki. Porzuciły się ze szczęścia.

W domu podane

Dzień w homorodzinie zaczyna się jak w każdej innej: trzeba wstać.

Anna wstaje wcześniej, robi śniadanie. Zuzę odprowadzają do szkoły na zmianę – raz ona, raz Edyta. Odbiera ta, która akurat ma czas. Oczywiście, że wychowawczyni nie ma o niczym pojęcia – Anna poinformowała ją kiedyś, że czasami po Zuzę będzie przychodzić ciocia. Edyta urywa się więc z pracy, biegnie po Zuzę, wstawia obiad.

– Na ogół jeszcze zanim wrócę z pracy, Edyta zdąży wysprzątać dom – Anna nie kryje, jak bardzo ją cieszy, że to nie ona musi sprzątać. Miga się od tego, jak tylko może. – Oczywiście – wzdycha ciężko – stale słyszę, że ma być czysto, a ja się nie przykładam. Dla świętego spokoju sprzątam czasami, niech już tylko Edyta nie dźmudzia mi nad uchem, że tu trzeba coś poskladać, tam się rozsypało. Mnie samej bałagan by nie przeszkadzał, chyba że w kuchni. O, w kuchni, uważam, musi być błysk, a Edyta z kolei, kiedy gotuje, robi rewolucję, zamęt twórczy. Mamy więc w domu tak, że ona sobie w kuchni tworzy, gotuje, brudzi garnki, a ja zmywam. Lubię szorować naczynia, to dla mnie forma terapii, fantastycznie się zamyślam, zawieszam wręcz, „odmóżdżam”.

Co poza tym uwielbia? Gdy razem z Edytą i Zuzą malują ściany, przestawiają meble. Uwielbiają remonty. W wolny dzień Edyta otwiera oczy i pyta: „To co, Anka, przestawiamy?”. I przestawiają, przemalowują, kładą tapety.

Nie mają takiego wzoru rodziny wyniesionego z dzieciństwa, który by mówił, co kto powinien w domu robić, a czego nie. Żadnego zakodowania podziału na zajęcia męskie i kobiece. U Anny na przykład matka wiecznie była zmęczona, zapracowana, z całym domem na głowie, ojciec z kolei był wiecznym nieobecny. Podróżnik. Anna odrobinę posmakowała podziału ról, dopiero gdy urodziła Zuzę i była z eks. – On pochodzi z rodziny, w której mężczyzna jest od zarabiania, i był →

→ przyzwyczajony, że gdy wróci do domu, ma mieć podane – wspomina. – Ze mną tak nie miał, nie potrafiłam się dostosować.

Poza tym to jego trzaskanie drzwiami... Jak tylko coś mu się nie podobało, wkładał buty, wychodził. Żadnych rozmów, żadnego wyjaśniania, co komu leży na wątrobie.

– My oczywiście też się kłócimy – przyznają (zgodnie) Anna z Edytą. Dopada je choćby, jak wiele kobiet, PMS (premenstrual syndrome). Wtedy nie podchodź, każda jak wulkan, który zaraz eksploduje płaczem. Choć Anna stara się być twardzielem. – Gdy gramy razem w różne gry, uparcie dążę do tego, żeby było uczciwie, żadnego pobłażania Zuzie, podkładania się, żeby wygrała. Niech się uczy, że w życiu nikt nie daje taryfy ulgowej.

Z drugiej jednak strony kiedy idą na zakupy, chciałaby kupić córce wszystko. – Miękką jestem – mówi. Choć przed chwilą dawała głowę, że jest w rodzinie największym twardzielem.

Czasami zastanawiały się z Edytą, co powinna pokazać dziecku matka, a co ojciec. Czego bez ojca nie da się załatwić? Może jazda na rowerze? – kombinowała Anna. – Może to, jak się rower naprawia?

Ale ona to wszystko pokazała córce sama. Jesli by się uprzeć i szukać podziału ról w jej obecnej rodzinie, to Edyta mogłaby uchodzić za bardziej kobiecą – trochę techniki i się gubi, nie prowadzi samochodu, nie wbije gwoździa. Od wbijania jest Anna. – Dziadek był stolarzem, bez przerwy przy czymś majstrował – tłumaczy. To ją fascynowało. Lubi skręcać, wkręcać, dopasowywać, jeśli trzeba złożyć komputer – złoży. Położyć panele? Położy. Koło w samochodzie też by dała radę wymienić, ale to brudna robota, szkoda się paprać, więc wymiana koła to jeden z tych przypadków, gdy kobiecie przydaje się czynny mężczyzna.

Jest jeszcze inna sytuacja, w której lesbijki nie poradzą sobie same.

Dawca dla lesmamy

Edyta już w ubiegłym roku zaczęła przebąkiwać, że chce zająć się ciążą. Zrobiły rodzinną naradę, zapytały Zuzkę: „Co ty na to?”. Okazało się, że Zuzka bardzo chce mieć rodzeństwo. Uzgodniły, że wiosną będzie ciąża. Edyta zaczęła nawet łykać kwas foliowy na wzmocnienie. Trzeba tylko rozwiązać problem: jak to zrobić?

W 2002 roku powstał portal (www.lesmama.republika.pl) dla lesbijek, które wykluczają związek z mężczyzną, ale pragną mieć dziecko. Wystarczyło ogłosić, że szuka się dawcy nasienia (dostawy w określonym dniu, w czy-

stym pojemniczku, z dbałością, by pozostawało w temperaturze pokojowej).

– W normalnym kraju poszłoby się do kliniki i skorzystało z banku nasienia. Ale nie u nas – mówi Monika (ma 32 lata, pracuje jako sekretarka w firmie stolarskiej, prosi, żeby nie podawać, w jakim mieście). Gdy zaczęły z partnerką myśleć o dziecku, rozpoczęły też metodycznie przyglądać się potencjalnym dawcom. W portalu przeczytały ostrzeżenia, że wybierając na dawcę znajomego geja, trzeba uważać: może poczuć się tatą i chcieć uczestniczyć w życiu dziecka. Ale wybrać znajomego heteroseksualistę? Też nie ma pewności, czy nie zacznie zabiegać o prawo do opieki nad dzieckiem.

W domu Ani i Edyty panuje rodzinna atmosfera, ale Anna ostrzega córkę: – Tylko nie mów nikomu, że my z Edytą śpimy w jednym łóżku

Może zdać się na kogoś kompletnie nieznanego? Wybrały to rozwiązanie, choć teraz nikomu by go nie poleciły – od anonimowego dawcy, który znany jest jedynie z adresu e-mailowego czy numeru telefonu na kartę, trudno wyegzekwować wykonanie podstawowych badań – a to już rosyjska ruletka zamiast zaplanowanej z rozwagą ciąży. Zresztą o dawcę z internetowego portalu będzie już trudno – od stycznia nie działa forum na www.lesmama.republika.pl. Powód? „Notoryczne próby łamania regulaminu i częste skargi użytkowników”.

– My z Karoliną pojechałyśmy do kliniki w Niemczech, ale to rozwiązanie drogie i skomplikowane – przyznaje Renia. – Ja w dodatku uparłam się, że nie chcę anonimowego dawcy. Musiałam zobaczyć, kto będzie ojcem mojego dziecka. Chciałam wiedzieć nawet to, jakie ma dłonie, jaki kształt paznokci.

Miała szczęście, już po pierwszym zabiegu rozwinęła się ciąża.

Ojciec nieznanym

Rodziły razem – Renia z Karoliną. Wybrały szpital, w którym pracowała zaprzyjaźniona ginekolożka, więc nie trzeba było się tłumaczyć. Wtajemniczona była też położna, pozostały personel udawał, że nie wie, o co chodzi. – Atmosfera przyjazna – chwali Renia. – Jedna

pielęgniarka gratulowała mi siostry, druga przyjaciółki, trzecia uprzejmie nie mówiła.

Zupełnie jakby ich nie dziwiło, że jedna dziewczyna prze, a druga pomaga, trzyma za rękę, głaszcze.

Niemilo zrobiło się dopiero przy spisywaniu danych potrzebnych do zarejestrowania narodzin, rutynowe pytania: nazwisko matki, nazwisko ojca. – Mówisz, że ojciec nieznanym, ale pani pielęgniarka ostentacyjnie się dziwi: „Jak to, dziecko nie ma ojca?”. Naciska, obraża się, przecież musi coś wpisać, bo ma rubryczkę „ojciec”. Ostatecznie grozi, że wpisze „Jan Nowak”.

Renia, przymuszona, podała imię dawcy. – Do KPH przychodzą lesbijki czasami już w kilka tygodni po porodzie – mówi doktor Zima. – Pytają: „Co dalej?”. Znajomy dawca, który twierdził, że chce jedynie podarować nasienie, nagle zapragnął być ojcem. Inne się boją, że nawet jeśli nie teraz, to później ojciec zapuka do ich drzwi – tłumaczy prawniczka (oczywiście strach działa w obie strony – mężczyzna, w którym nie obudzą się ojcowskie instynkty, może nagle obudzić się w sędzie, gdy będzie ustalana wysokość alimentów na dziecko).

– Stale biegamy z Karoliną do notariusza i wiele rzeczy mamy już poukładanych – wzdycha Renia, ta, która wraz z Karoliną wychowuje Kajetana. Odkąd urodziła, zamartwia się, co będzie z dzieckiem, gdy ona zapanuje w sypialnię, umrze, potraci ją tramwaj. Będąc w związku homoseksualnym, wiele można załatwić: wspólny kredyt, samochód, upoważnienie, żeby w razie choroby partner był w szpitalu traktowany jak osoba bliska. Ale wciąż nie można uregulować sytuacji prawnej wspólnie wychowywanego dziecka

Współspaczką się nie liczy

Kajetan mówi „mama” na Renię i „mama” na Karolinę. – Ponieważ dalsza rodzina naciskała i prychała, próbowałyśmy znaleźć jakieś inne równie dobre określenie na drugą mamę, ale nie znalazłyśmy. Zresztą wyszłyśmy z założenia, że dzieci miewają też wiele ciotek i nie mylą jednej z drugą, więc niech zostanie, jak jest – mówi Renia.

Obie czują się matkami. Ponad dwa lata przygotowywały się do podjęcia decyzji o dziecku, były rozmowy o tym, która ma rodzic, i ustaliły, że najpierw starsza. – Mogę w testamencie zapisać Karolinie szafę i łóżko, ale nie ma takiego prawa, które by pozwoliło zapisać jej opiekę nad dzieckiem, które razem wychowujemy – wyjaśnia Renia. – A moja mama już zadba o to, żeby Kajetan nawet nie widywał Karoliny,

która jest mu bliska jak ja. I nic nie da się z tym zrobić.

– Gdyby, odpukać w niemalowane, mnie się coś stało – mówi Anna – Zuza trafi do ojca i obawiam się, że ten zabroni jej widywać się z Edytą.

– Sytuacja dzieci z rodzin homoseksualnych jest nieuregulowana prawnie. Zamiast coś z tym zrobić, udajemy, że te dzieci w ogóle nie istnieją – mówi Biedroń.

Udawanie to już nasza narodowa specjalność.

Na przykład w domu Ani i Edyty panuje rodzinna atmosfera, ale oczywiście na zewnątrz są... hm... Anna uczuła córkę: – Tylko nie mów nikomu, że my z Edytą śpimy w jednym łóżku.

Mowy nie ma, żeby oficjalnie było wiadomo, co i jak, zwłaszcza że to małe miasteczko. Raz tylko, w desperacji, gdy Edyta w ciężkim stanie trafiła do szpitala, Anna próbując dostać się do niej, krzyczała: „Wpuście mnie, ja ją Kocham”. Krzyk pomógł, lekarze wpuścili.

Wcześniej, zanim osiadły na podopiecznej prowincji, pomieszkiwały we Włoszech. Też w niedużym miasteczku, ale jednak kryć się nie było potrzeby. A i w szpitalu nikt tam nie pytał, kto jest kim i dla kogo. Gdy Zuza trafiła na oddział z podejrzeniem zarażenia wirusem AH1N1, dyżurowały przy niej na zmianę, raz jedna mama, raz druga.

– W Polsce Karolina poszła kiedyś do przychodni po receptę na mleko dla syna. Nie chciały wydać – mówi z kolei Renia, jedna z mam Kajetana. – Od razu miałam telefon z przychodni i czujne pytanie: „Kim jest ta pani?”.

Tej czujności, jak się obie z Karoliną spodziewają, będzie coraz więcej. Kajetan pójdzie do przedszkola, później do szkoły. Trzeba będzie Karolinie wystawić pełnomocnictwo na wypadek odbierania dziecka czy zastępstwa na szkolnym zebraniu.

REKLAMA

– Wszyscy się domyślają, że jesteśmy parą kobiet z dzieckiem – mówi Renia – ale temat się omija, nie zadaje pytań. Klasyka.

Kajetan nie ma problemu z tym, że zajmują się nim dwie mamy. Ale inni mają: jak określić to, kim jest Karolina dla Kajetana? I kim jest Renia dla Karoliny?

– Pytają: „Jak tam twoja koleżanka? Co u twojej przyjaciółki? Jak ci się układa ze współlokatorką?”. Raz usłyszałam, że Karolina to moja „współspaczką” – śmieje się Renia. – No, to naprawdę było urocze...

Ale nie może takie pozostać. Brak odwagi w nazywaniu rzeczy po imieniu prowadzi do braku odwagi we wprowadzaniu regulacji prawnych.

Mija siódmy rok, odkąd w polskim parlamencie zaczęto mówić o ustawie regulującej związki osób tej samej płci (początkowo nikt ich formalnie nie nazywał partnerskimi – mówiło się o „uczestnikach związku” i o tym, by „uczestnicy” mogli mieć status „osoby najbliższej”). Niestety projekt z 2004 roku, który powstał z inicjatywy profesor Marii Szyszkowskiej, przepadł bez głosowania. I odtąd to już reguła: mówi się, że ustawa o związkach by się przydała, ale na mówieniu się kończy. Nie ma przepisów regulujących choćby kwestie odbioru korespondencji, wynagrodzenia za pracę, dziedziczenia, zmian w prawie ubezpieczeniowym, odszkodowawczym, prawa do wspólnego opodatkowania czy do renty po zmarłym partnerze. Nie ma też nic, co by pozwalało powierzyć partnerowi opiekę nad wspólnie wychowywanym dzieckiem.

Ładną ma pani córeczkę

Gdy w ubiegłym roku ankieterzy CBOS zapytali, czy osoby tej samej płci powinny mieć prawo do zawierania związków, na „tak” było 45 procent Polaków. Większość ze strachem myśli o tym, że w związku mogłoby się poja-

wić dziecko. Choć już w 2002 roku Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne zajęło uspokajające stanowisko: dzieci gejów i lesbijek „wykazują ten sam poziom emocjonalnego, poznawczego, społecznego i seksualnego funkcjonowania co dzieci wychowywane przez rodziców o orientacji heteroseksualnej”. W tym samym roku identyczne stanowisko zajęło Amerykańskie Towarzystwo Psychoanalityczne, a dwa lata później Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne.

Od ponad 20 lat prowadzone są badania, które porównują rozwój dzieci wychowywanych w rodzinach homoseksualnych i heteroseksualnych. Udało się prześledzić długoterminowe konsekwencje dorastania w rodzinach jednych i drugich – nie tylko w USA, ale i w Europie. Większość badań wykazała, że orientacja seksualna rodzica czy rodziców sama w sobie nie wpływa negatywnie na rozwój dziecka. W różnych krajach przeprowadzono też ponad 20 badań obalających mit, że dziecko wychowujące się w rodzinie homoseksualnej na mur-beton będzie homoseksualistą.

– Jesteśmy jedynym krajem w Europie, w którym nie podejmuje się nawet próby wprowadzenia jakichkolwiek regulacji – wzdycha doktor Zima. – W kółko straszy się tym, że geje i lesbijki będą adoptować dzieci. Zapomina się, że dzieci w rodzinach homoseksualnych już są. I trzeba się z tym w końcu zmierzyć.

– Patrę na Zuzę – mówi Anna – i zadaję sobie pytanie, ile jest w niej ze mnie. Czy zachowuje się tak jak ja, gdy byłam w jej wieku? Ona opowiada o chłopcach z klasy, ja w tym czasie przerysowywałam z atlasów anatomicznych nagie kobiety.

Zuza jest więc inna niż Anna. Nie jest też kopia Edyty.

– Choć ma oczy takie jak moje, zielone – mówi Edyta. – Kto widzi nas pierwszy raz, mówi: „Ładną ma pani córeczkę”.

www.mieszkaniowy.as

Koniec szwajcarskich sejfów

Kraj wśród Alp, choć neutralny, zмага się z największą napaścią w swojej historii. Reszta świata chce odebrać helweckim bankierom swoje pieniądze. A co oni robią? Uciekają do Azji

LUKASZ WÓJCİK

Pierwszą międzynarodową reakcją na ustąpienie Hosniego Mubara - ka nie były wcale gratulacje przesłane wiwatującym Egipcjanom przez Baracka Obamę. Nie było też nią suche stanowisko Brukseli o „zwycięskiej woli egipskiego ludu”. Pierwszy zabrał głos André Simonazzi. Niepozorny rzecznik szwajcarskiego rządu już dwie godziny po decyzji Mubara oświadczył: „Zamroziliśmy wszystkie konta związane z byłym już liderem Egiptu, jego rodziną i bliskimi współpracownikami”.

Mubarak i kilku innych despotów, którzy w ostatnich miesiącach stracili władzę, mieli podwójnego pecha - ich fortuny trzymane w szwajcarskich bankach nagle przestały być dla nich dostępne, tajne i bezpieczne. Zostały natomiast zamrożone i poddane kontroli, aby wkrótce wrócić do prawowitych właścicieli, czyli okradzionych obywateli. Zdemontowani despoci stali się też ofiarami demontażu największego sejfu świata, czyli szwajcarskiej tajemnicy bankowej. - To tak, jakby jednocześnie stopniały szwajcarskie lodowce, szwajcarskie zegarki zaczęły się spóźniać, a tamtejsza czekolada zjełczała - opisuje obecnie zmiany w szwajcarskiej bankowości Youssef Cassis, historyk finansów z London School of Economics.

Konto pana Bonda

W Szwajcarii, tej z filmów o Jamesie Bondzie i Henryku Kwinto, można było z walizką pieniędzy wejść do pierwszego lepszego banku i założyć konto na nazwisko Bond, Dalajlama lub Wołodyjowski - to bez znaczenia, bo obowiązywała pełna dyskrecja, a szwajcarscy bankierzy nie zadawali pytań. Zdeponowane pieniądze były bezpieczniejsze niż dusza deponenta i żaden urząd skarbowy, a tym bardziej żona lub mąż, nie miał szans na ich wycofanie, nawet po śmierci pana „Bonda”.

Ten raj dla oszustów, złodziei i byłych polityków zaczął się sypać już w latach 70., gdy Szwajcaria pod naciskiem Interpolu wprowadziła w swoich bankach wymóg łączenia konta

z konkretną osobą. To był początek końca. Sam koniec obserwujemy dziś.

Jednym z jego przejawów jest prawo, które weszło w życie na początku lutego - teraz ciężar udowodnienia, że zdeponowane pieniądze pochodzą z legalnego źródła, nie spoczywa już na poszkodowanych okradzionych obywatelach kraju, z którego uciekł dany dyktator. Teraz on sam musi dowieść, jak mu się udało ze skromnej prezydenckiej pensji odłożyć fortunę - do tego czasu jego pieniądze na szwajcarskim koncie są dla niego równie niedostępne jak dla jego żony. A jeśli mu się nie uda, kasa wraca do okradzionych obywateli.

W toku jest już sprawa „Baby Doc’a” Duvaliera, byłego haitańskiego przywódcy i kleptomana. Wkrótce odda Haitańczykom co najmniej 5,8 miliona dolarów. Szwajcarzy zamrozili też konta byłego prezydenta Tunezji Ben Alego oraz Laurenta Gbagby, byłego/obecnego prezydenta Wybrzeża Kości Słoniowej, który nie chce ustąpić ze stanowiska, mimo że w listopadzie przegrał wybory. Na szwajcarskiej liście są też między innymi konta byłego prezydenta Filipin Ferdinanda Marcosa i Saniego Abacha, przywódcy junty wojskowej, która w latach 1993-1998 rządziła w Nigerii. Wszyscy oni myśleli, że ich pieniądze są bezpieczne - jak na szwajcarski bank przystało. Ale się pomylili.

- Te brudne miliony byłych dyktatorów to dziś dla Szwajcarii sprawa prestiżowa - tłumaczy Cassis. - Kiedyś dzięki neutralności nie przejmowali się międzynarodową opinią. Jeśli ktoś chciał uciec z pieniędzmi, nie miał wielkiego wyboru, bo tylko Szwajcarzy zapewniali anonimowość. Dziś Alpy już nie chronią Szwajcarów przed globalizacją, dlatego zaczęli się przejmować tym, co mówią o nich inni.

Gnomy z Zurychu

Gdyby jednak w szwajcarskich sejfach zalegały jedynie brudne miliony dyktatorów, skończyłoby się na międzynarodowym narzekaniu na „gnomy z Zurychu” - jak o szwajcarskich ko-

legach mówią inni europejscy bankierzy (bo żyją w górach i opiekują się podziemnymi skarbcami). Prawdziwy problem Szwajcarzy mają jednak z miliardami dolarów i euro, które „przybyły” do nich, uciekając przed podatkami.

Jeszcze 40 lat temu unikanie wysokich podatków we własnym państwie przy użyciu szwajcarskich kont było „sportem nielicznych dżentelmenów”. Żeby zasłużyć tam na konto, trzeba było rzeczywiście przysiąc z walizką pieniędzy, bo Szwajcarzy są ekspertami od bankowości prywatnej, czyli od kompleksowej obsługi krezusów. W latach 90. w tej walizce musiał być co najmniej milion dolarów. Dziś jednak w niektórych szwajcarskich bankach wystarczy „tylko” 250 tysięcy euro. Eksperti mówią o tym: „pauperyzacja bankowości” - Szwajcarzy zakładają teraz konta umiarkowanie bogatym lekarzom i prawnikom, a unikanie podatków, ku przerażeniu obcych rządów, stało się tam sportem masowym.

Obok głębokich skarbców i bankierów, którzy nie zadają zbędnych pytań, o atrakcyjności Szwajcarii decydował dotychczas niepozorny przepis prawny. To jedno z zaledwie kilku państw na świecie, w których unikanie podatków (niedeklarowanie przychodów) nie jest przestępstwem kryminalnym. Bank natomiast łamie prawo, jeśli bez wyroku sądu dzieli się informacjami o kliencie z jakkolwiek stroną trzecią, również z urzędem skarbowym.

Global Financial Integrity, niezależna organizacja monitorująca sektor finansowy, i Jack Blum, znany ekspert od rajów podatkowych, oceniają, że na 2 biliony dolarów zagranicznych depozytów w Szwajcarii co najmniej 600 miliardów to pieniądze niezadeklarowane w urzędzie skarbowym w kraju pochodzenia. Nic więc dziwnego, że ministrom finansów państw pogrążonych w kryzysie zapewne skoczyło ciśnienie przy lekturze tych danych. Amerykański rząd traci w ten sposób około stu miliardów dolarów rocznie. Dotychczas jednak Szwajcarzy skutecznie zasłaniaли się tajemnicą bankową i nie chcieli współpracować.



Największy szwajcarski bank UBS przetrwał kryzys głównie dzięki swoim azjatyckim oddziałom

Trwałoby to dłużej, gdyby Bradley Birkenfeld trzy lata temu nie zapukał do drzwi gmachu amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości. Ten był pracownik największego szwajcarskiego banku UBS przyniósł Amerykanom 19 tysięcy nazwisk obywateli USA ukrywających swoje pieniądze w Szwajcarii. Ale Amerykanie dostali coś jeszcze cenniejszego - Birkenfeld opowiedział, jak to wszystko działa.

Góra do Mahometa

Krezusi nie mogą skontrolować stanu swojego szwajcarskiego konta przez Internet. Nie mogą też zadzwonić do Szwajcarii i zapytać o bilans na rachunku. Jedynym oficjalnym sposobem uzyskania takich informacji jest wizyta w Szwajcarii, w budynku swojego banku. Według Birkenfelda bank UBS wpadł jednak na pomysł, że w końcu góra może przyjść do Mahometa - szwajcarscy bankierzy zaczęli latać do USA na „konsultacje” z klientami ich banku. Dane o koncie zabierali ze sobą zadowolone w laptopach. A jeśli klient życzył sobie wypłacić pieniądze, wyciągali je z banku i kupowali za nie najczęściej diamenty - jeśli nie były warte ponad 10 tysięcy dolarów za sztukę, nie trzeba było deklorować ich w strefie celnej w USA.

śkiej finansjści porównują Szwajcarię do Islandii, która w 2010 roku w wyniku załamania się systemu bankowego poniosła straty o równowartości 75 procent rocznego PKB. Skala i tradycja bankowości nie ta, ale oba państwa są skazane na łaskę globalnego kryzysu.

Aktywa islandzkich banków były w pewnym momencie 11 razy większe od islandzkiego produktu krajowego brutto. Gdy system zaczął się łamać, rząd Islandii nie był w stanie ratować krajowych banków. Szwajcarskie banki co prawda razem są warte „tylko” osiem razy więcej niż szwajcarski PKB, ale jeden z nich - UBS - jest wart cztery razy więcej niż cała szwajcarska gospodarka. Dla porównania - wartość wszystkich amerykańskich banków, nie licząc Banku Rezerw Federalnych, nie przekracza 70 procent amerykańskiego PKB.

Ucieczka do Azji

Szwajcarzy są w rozkroku. Z jednej strony próbują bronić szwajcarskiej tajemnicy bankowej, która przyniosła temu rolniczemu kiedyś krajowi zamożność, z drugiej starają się nie ściągać na siebie międzynarodowego gniewu, współpracując z innymi rządami w sprawie unikania podatków i zamrażając konta kolejnych dyktatorów.

Na krótką metę już znaleźli rozwiązanie. W październiku podpisali dość oryginalne umowy z Wielką Brytanią i Niemcami - zobowiązali się, że na własną rękę będą pobierać adekwatne podatki od Brytyjczyków i Niemców mających konta w Szwajcarii i przekazywać te sumy Londynowi i Berlinowi. Oczywiście bez podawania nazwisk podatników.

Na długą metę niektórzy szwajcarscy bankowcy już się pakują i wyjeżdżają do nowych „szwajcarii”, głównie do Singapuru i Hongkongu, gdzie oryginalne helweckie banki powoli stają się rozgrywanymi. Od 2009 roku UBS stracił już 200 miliardów dolarów zagranicznych depozytów w szwajcarskich oddziałach. Ale w Azji ma już prawie osiem tysięcy pracowników, a wkrótce zatrudni tysiąc kolejnych. Obroty azjatyckiego oddziału Credit Suisse, drugiego największego szwajcarskiego banku, rosły w tempie 20 procent rocznie, a sam bank przeniósł już siedzibę główną do Singapuru.

Jeśli tam właśnie, a nie w Szwajcarii, Hosni Mubarak złożył większość ze swoich domniemanych 80 miliardów dolarów, Egipcjanie dostaną figę z makiem. Prawo bankowe Singapuru i Hongkongu jest wzorowane na szwajcarskim z okresu jego świetności. Były prezydent Egiptu mógł więc zarejestrować konto na nazwisko Henryk Kwinto. Szwajcarzy zapewne nawet w Azji będą dyskretni. ●

Dwie twarze baronowej PiS

Posłanka PiS **BEATA KEMPA** silną ręką ma przywrócić mocną pozycję partii w Świętokrzyskiem. Na razie wywołała bunt miejscowych działaczy

DONAT SZYLLER

Festyn z okazji Dni Sycowa, niewielkiego miasta na wschodnich rubieżach Dolnego Śląska. Na scenie w strugach deszczu występuje zespół VOX, przy mikrofonie wokalista Witold Paszt. – Jest z nami ktoś, kto niedługo opuści Syców i zawiąta do ministerstwa – zapowiada. Na scenę wchodzi pewna brunetka. Zespół gra melodię piosenki „Zabiorę cię, Magdaleno”. „Zamykasz wciąż swoją twarz, swoją rolę. Dopóki jesteś pośród nas” – śpiewa Beata Kempa, świeżo upieczona zastępczyni ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry.

Był maj 2006 roku, ale do dziś jest tak jak w piosence – Kempa swoją twarz i swoją rolę dobiera zgodnie z otoczeniem.

– Dwóch sfrustrowanych panów – mówi. Jest luty 2011 roku, a 45-letnia posłanka frustratami nazywa buntowników w świętokrzyskim regionie partii. Jarosław Kaczyński właśnie tam mianował ją swoim pełnomocnikiem (mimo że Kempa wciąż, choć teraz głównie w weekendy, mieszka w dolnośląskim Sycowie, niezmiennie w tym samym 150-metrowym domu). Świętokrzyskie to ważny region, w którym PiS wygrywał od lat. W 2007 roku – 39 procent w okręgu kieleckim. Tamże w 2010 roku w wyborach prezydenckich – 59,5 procent poparcia dla Kaczyńskiego. Aż do wyborów samorządowych, w których kandydat PiS na prezydenta Kielc, senator Grzegorz Banaś, uzyskał marne 11 procent. Kempa ma odzyskać region i wchodzi w rolę ostro niczym *capo di tutti capi* (posłanka wszak uwielbia wszystko, co włoskie: język, muzykę, Rzym...).

W proteście Banaś cisnął partyjną legitymacją. Zbuntował się również europoseł PiS Jacek Włosowicz, choć świadom swej straceńczej misji: – Gdyby przysłali nam tu Koziołka Matołka czy Misia Colargola, to i tak musielibyśmy to zaakceptować – powiedział.

Dlaczego Kempa budzi takie emocje?

– Ciepła, przesympatyczna, pełna poczucia humoru – mówi poseł PiS Andrzej Dera.

– Energiczna, z wielkim doświadczeniem politycznym – szef klubu PiS Mariusz Błaszczak.



W polityce Beata Kempa słynie z ostrych utarczek słownych.

A w weekendy wyłącza telefon, pierze, prasuje i piecze ciasta

– Szkodliwa. Agresywna. Niski poziom intelektualny. To, że znalazła się w parlamencie, obnaża słabość demokracji – kto inny, jeśli nie wicemarszałek Sejmu Stefan Niesiołowski.

Choć wydaje się, że podział opinii o Beacie Kempie biegnie wzdłuż linii partyjnej, tak naprawdę (jak w piosence) chodzi o rozdział ról. Dla PO Kempa jest bezwzględny fighterem atakującym premiera. Gdy na kamerze gaśnie czerwona kontrolka nagrywania, posłanka staje się uśmiechnięta, sympatyczna, kobieca.

Zatrzaśnięte drzwi

Rok 1990. 24-letnia magister administracji puka do drzwi ratusza w Sycowie. Właśnie skończyła studia na Uniwersytecie Wrocławskim i porzuciła ciężkie, malowane w białoczarne pasy buty na rzecz eleganckich pantofli. Ale burmistrz Stanisław Czajka z PSL nie widzi dla Kempy miejsca w urzędzie. Ta nie zapomni tego Czajce. Burmistrz staje się dla niej uosobieniem szarej sieci układów w mieście.

– Rok 1990 to było ożywienie, nadzieja na lepszą Polskę – mówi „Przekroju” Beata Kempa.

– Ale gdy zamknięto przede mną drzwi, zrozumiałam, że w mieście nic się nie zmieniło. Wciąż jest PRL i nie ma miejsca dla młodych.

Kempa zatrudniła się w sądzie w pobliskim Ostrzeszowie. Przez 15 lat była kuratorem dla dorosłych. Mówi, że uwrażliwiło ją to na ludzką biedę. Ale i w tej pracy widać było jej dwa oblicza. Jej znajomy opowiada, że niektórym podopiecznym załatwiała pracę w zagłębiu meblowym, choć nie należało to do jej obowiązków. Innych posyłała z powrotem za kraty.

– Ja nie mam dwóch twarzy. Po prostu w niektórych sytuacjach, w pracy kuratora i w polityce, muszę być bezwzględna. To kwestia przetrwania. Jako kurator nie miałam skrupułów, gdy chodziło o krzywdę dzieci. Ale gdy widziałam w podopiecznym coś dobrego, jakiś potencjał, pomagałam – opowiada Beata Kempa.

Różowi lecą w kosmos

W 1998 roku – wciąż jako kurator – dostała się do rady miasta. I już na pierwszej sesji zaczęła atakować burmistrza Czajkę. – Zanim weszła do rady, w Sycowie właściwie nie było opozycji. Wszyscy współpracowali. Ona postawiła na atak i szybko stała się rozpoznawalna – mówi radny proszący o anonimowość.

– Ale nie była tak ostra, jak dziś widać to w telewizji. Dopiero uczyła się polityki – uściśla radny Sycowa Kazimierz Cichoń.

Uczyła się pilnie. Na radnych wymogła utworzenie swego rodzaju komisji śledczej, która zajęła się miejscowym domem kultury. – Będąc w opozycji, zwracałam uwagę na nieprawidłowości – mówi posłanka. Robiła to dobitnie. Gdy w regionie powstało ponadpartyjne Porozumienie Samorządowe 2002, stało się celem Kempy. Uważała, że samorządowcy rozdzielali

Sierpień 2006 roku. Brzeziny niedaleko Sycowa, dożynki, na scenie kabaret Klika żartuje z IV RP, Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry. – Nie pamiętam skeczu dokładnie, ale mogła pojawić się w nim delikatna sugestia związku gejowskiego tych panów – wspomina „Przekroju” Marek Sobczak z Kliki.

Beata Kempa bierze bezprzewodowy mikrofon: „Jeszcze dziś możecie się śmiać, bo gminą rządzą przeciwnicy PiS, ale władzę przejmą inni, a wtedy nie będzie do śmiechu” – grozi.

– To był żart, moje zachowanie było sympatyczne – zapewnia nas Beata Kempa.

– Przez całą komunę nikt nam nie groził, dopiero w wolnej Polsce – denerwuje się Sobczak.

Ostrego języka Kempa używa też w Sejmie, choć skrzydła rozwinie dopiero w następnej kadencji, gdy PiS przejdzie do opozycji.

W maju 2008 roku, gdy premier Donald Tusk przyznał się do popalania trawki w młodości, Kempa uznała, że marihuana zniszczyła mu mózg. „Chcę mieć trzeźwego i wolnego od narkotyków premiera” – mówiła.

– Panie premierze! Szczerze? Nigdy pana nie słucham. Czy pan wie, na jakiej jest pan ścieżce i na jakim jest pan kursie? – woła w styczniu 2011 roku podczas sejmowej debaty o raporcie MAK dotyczącym katastrofy smoleńskiej. Do historii przeszły pyskówki, jakie prowadziła w komisji hazardowej z jej przewodniczącym Mirosławem Sekułą z PO. W lipcu 2010 roku kłótnie doprowadziły do wybuchu płaczu posłanki. – To chamskie traktowanie kobiet – skarżyła się dziennikarzom. – Jestem pewien, że pani poseł płakała z powodu sytuacji w PiS, a nie naszej rozmowy – wyjaśnia Sekuła „Przekroju”.

– To znów tylko medialny obraz Beaty – przekonuje zaprzyjaźniony z nią poseł Andrzej Dera. Opisuje wspólne wyjazdy, na które oboje zabierają rodziny – ze strony Beaty Kempy są to mąż Waldemar, elektronik, córka Nina (21 lat)

i syn Cezary (14 lat). Jadą na ryby nad Jezioro Kamińskie, do Chorwacji, w Bieszczady, sylwestra spędzają przy góralskiej muzyce w Zakopanem. – Nie rozmawiamy o polityce i Beata jest zupełnie inną osobą. Gdy prowadzi samochód, śmieje się i przez całą drogę śpiewa włoskie piosenki – opowiada poseł.

Zakaz rozmów o polityce to pomysł męża posłanki. – Słucham się go. Preferuje tradycyjny model rodziny i on rządzi w domu – przyznaje Kempa. Dodaje, że mąż zabiera jej w weekendy telefon komórkowy, by odciąć ją od polityki. Sobota i niedziela w rodzinnym Sycowie to dni prania i prasowania. – To wyłącznie mój obowiązek. Waldek za to gotuje. Ja piekę ciasta – dodaje.

Bez zdrady

Na razie poza domem skutecznie spacyfikowała bunt w Świętokrzyskiem. Przedstawiciele komitetów powiatowych i gminnych poparli decyzję Kaczyńskiego. Co dalej? – Planów nie robię – tłumaczy Kempa. – Przecież równie dobrze za rok może mnie nie być.

Te słowa to aluzja do katastrofy smoleńskiej. Kempa panicznie boi się latać. Do Smoleńska wybierała się 9 kwietnia pociągiem, wraz z rodzinami katyńskimi i harcerzami. Tego dnia wypadało jednak ważne przesłuchanie przed komisją hazardową. Musiał być na nim obecny przedstawiciel PiS – ona lub Zbigniew Wassermann. Było jedno wolne miejsce w pociągu i jedno w prezydenckim Tu-154, dzień później. – Zbigniew wiedział, że nie lubię latać. Został i dzień później wsiadł na pokład samolotu – opowiada Kempa.

Mimo że nie odpowie na pytanie, co będzie robić podczas następnej kadencji Sejmu, jest pewna jednego: – Nie opuszczę Jarosława Kaczyńskiego. To człowiek ideał. Marzy mi się Polska pod jego rządami. Nie zdradzę go nigdy. Bo zdrajców powinno się topić za burtą. ●

REKLAMA

www.mieszkaniowy.as



Marty pochodzi z Ticino, włoskiego kantonu Szwajcarii, w którym urodziła się też prokurator Carla Del Ponte

Uparty Dick Marty

Kiedyś twierdził, że CIA miała w Polsce swoje tajne więzienia. Na początku uważano go za wariata, ale już wiadomo, że przynajmniej część jego zarzutów się potwierdziła.

Teraz oskarża premiera Kosowa o kryminalną przeszłość – i znów reakcje są podobne.

Pytanie, czy tym razem jednak nie przeholował

RAFAL KOSTRZYŃSKI

Oskarżenia te – i tak mocne – właśnie zostały wzmocnione jeszcze bardziej. Dick Marty, szwajcarski sprawozdawca Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, twierdzi od grudnia, że Armia Wyzwolenia Kosowa (UCK) mordowała Serbów i wycinała im organy na handel. Teraz w wywiadzie dla słoweńskiego dziennika „Delo” uzupełnia: cały ten proceder miał się odbywać za wiedzą i przyzwoleniem nie

tylko obecnego premiera Kosowa Haszima Thaçiego, ale także USA i UE. W ten sposób za pomocą wywiadu i zaledwie 27-stronicowego raportu Marty burzy utrwalany na Zachodzie wizerunek ostatniej wojny na obszarze byłej Jugosławii. Albańczycy i Serbowie byli siebie warci, ale Zachód w imię własnych interesów, to jest w imię przekształcenia Bałkanów w strefę swoich wpływów, na zbrodnie Albańczyków przymknął oko.

Wywiad czyta się tak dobrze jak raport dla RE. Jakby oba demaskowały teorię spiskową.

Thaçi razy 27

Jest 1999 rok, trwa wojna domowa w serbskim wówczas Kosowie. Media huczą od doniesień o czystkach dokonywanych przez siepaczy Slobodana Miloševića na Albańczykach. USA i NATO szykują się do interwencji. W tle – jak twierdzi Marty – rozgrywa się inny dramat. Armia Wyzwolenia Kosowa pod przywództwem Haszima Thaçiego oprócz realizacji zadań zapisanych w jej nazwie zajmuje się też chwytaniem serbskich cywilów i wywożeniem ich do tajnych więzień w Albanii. Tam pojmani, którzy przejdą pozytywnie badania, są przewożeni do tajnych „klinik”, gdzie albańscy „chirurdzy” wycinają im narządy, które trafiają potem na eksport – najczęściej do Stambułu. W niektórych przypadkach dawca traci najpierw jedną nerkę, po czym zostaje zasztyt i czeka na kolejne „zamówienie”. Tacy cierpieli największe katusze – Marty twierdzi, że błagali o szybką śmierć.

Operacje miały się odbywać w dwóch „klinikach” wziętych żywcem z filmów grozy, obskurnych ruderach zwanych „żółty budynek” i „Budynek/więzienie nr 320”. Pierwszy był zwykłym domem jednorodzinny, drugi – szpitalem psychiatrycznym i jednocześnie siedzibą UCK. Oba znajdowały się niedaleko miasta Burrel. W 2004 roku odwiedzili je przedstawiciele UNMIK (misji ONZ w Kosowie) i haskiego trybunału do spraw zbrodni wojennych w byłej Jugosławii. Znaleźli ślady krwi, zużyte igły i opakowania po lekach zwiotczających mięśnie. Ponieważ nie udało się określić, czy krew była ludzka, czy zwierzęca, śledczy zniszczyli materiał, twierdząc, że nie zawiera on żadnych dowodów prowadzących do konkluzji. Zdaniem Marty'ego popełnili błąd. – Nie zarzucam im, że chcieli ukryć winnych – zapewniał szwajcarski senator w rozmowie z amerykańskim dziennikarzem śledczym Michaeliem Montgomerym. – Ale tak nie postępuje żaden sąd na świecie. Jeśli masz materiał śledczy, którego nie jesteś w stanie ocenić, zatrzymujesz go, bo może się okazać ważny na dalszym etapie dochodzenia.

W swoim raporcie Marty 27 razy wymienia nazwisko Haszima Thaçiego. Nie zarzuca mu bezpośredniego udziału w mordowaniu czy choćby porywaniu ludzi. Twierdzi jednak, że z uwagi na swoją rolę w UCK premier Kosowa musiał o wszystkim wiedzieć.

Nie ma takiego numeru

– Oskarżenia wysuwane przez Dicka Marty'ego to oszczerstwa – zaperza się w rozmowie z „Przekrojem” rzecznik Thaçiego Memli Krasniqi. – Mam wrażenie, że ich jedynym celem jest szkalowanie władz i obywateli naszego kraju. Wszystkie były już objęte międzynarodowym śledztwem i nic z tego nie wynikło. Nie mają oparcia w faktach. Mimo to nasz rząd zgodził się, by EULEX [policyjno-prawna misja UE w Kosowie – przyp. red.] przeprowadził kolejne dochodzenie w tej sprawie. Wezwaliśmy również autora raportu do ujawnienia dowodów, jeśli nimi dysponuje.

Marty niczego nie zamierza ujawniać. Twierdzi, że to naraziłoby jego informatorów na niebezpieczeństwo, bo w Kosowie nie ma programu ochrony świadków. O swoich źródłach mówi tylko tyle, że to ludzie z wewnętrznych kręgów albańskiej mafii, bojownicy i członkowie rozmaitych organizacji zbrojnych, wreszcie – ofiary zbrodni. – Będą zeznawać wyłącznie wtedy, gdy zapewni się im bezpieczeństwo nie tylko w czasie procesu, ale także po jego zakończeniu – mówi. – Przypomnę jedynie, że o opisanych przeze mnie zbrodniach donosiły

wcześniej amerykańskie FBI, brytyjskie MI6, włoskie SISMI czy niemieckie BND.

Donosiła również była prokurator haskiego trybunału Carla Del Ponte (rodaczka Marty'ego). W swojej wydanej prawie trzy lata temu książce „Polowanie. Ja i zbrodniarze wojenni” napisała, że Albańczycy z Kosowa handlowali organami Serbów po zakończeniu wojny. Ale nikomu nie udało się tego potwierdzić, nawet samej autorce, choć przecież zajmowała się ściganiem zbrodniarzy z byłej Jugosławii.

Sir Geoffrey Nice, były zastępca Carli Del Ponte, nie daje wiary tym oskarżeniom. Ani tym wysuwanych przez swoją dawną zwierzchniczkę, ani tym wzbogaconym przez Marty'ego. „W książce Carli Del Ponte są tylko insynuacje. A raport Marty'ego to jedynie przegląd związków albańskich klanów z przestępczością sugerujący, że wojna w Kosowie była tylko walką o wpływy w półświatku” – napisał Nice w portalu London Review of Books.

Równie krytyczny jest Denis MacShane, brytyjski przedstawiciel w Radzie Europy i były

Marty nie zarzuca premierowi Kosowa udziału w mordowaniu. Ale twierdzi, że Haszim Thaçi musiał o wszystkim wiedzieć

podsekretarz stanu do spraw Bałkanów w rządzie Tony'ego Blaira. – Handel organami pewnie miał miejsce w Albanii, tak jak w wielu innych krajach. To jasne. Ale Marty zaserwował nam motywowaną politycznie fikcją, a nie fakty – mówi nam. – Przede wszystkim nie ma w tym raporcie żadnych dowodów przeciwko Thaçiemu, nie ma żadnych nazwisk ofiar, jest za to nieistniejący świadek.

„Nieistniejący świadek” to niekoniecznie robota Marty'ego. Dziennikarze serbskiego radia B92 podali, że jednym z informatorów senatora była osoba oznaczona kryptonimem K144. Taki kryptonim sugeruje, że ukrywający się pod nim człowiek zeznawał jako świadek przed haskim trybunałem. W celu zapewnienia anonimowości niektórym świadkom oznaczano ich literą K i trzycyfrowym numerem. Problem w tym, że ostatni świadek miał numer 116.

Zamykanie koła

Marty był już oskarżany o to, że wykorzystuje prokuratorskie umiejętności do uprawiania polityki. Fakt, że gdy ściga, robi to z pasją.

Dzięki temu w 1975 roku jako zaledwie 30-latek został głównym prokuratorem kantonu Ticino i dał się poznać jako bezlitosny tępiciele przestępczości zorganizowanej. Za osiągnięcia w zwalczaniu narkobiznesu dostał nawet medal od Departamentu Sprawiedliwości USA. Gdy w 1998 roku został delegatem do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, zaraz zasłynął jako jeden z jego bardziej aktywnych członków. 4 listopada 2005 roku to jemu powierzono zadanie sprawozdania doniesień dziennika „Washington Post” na temat domniemyanych tajnych więzień CIA w Polsce i Rumunii. I sprawdził. Jego raport okazał się nie do przełknięcia dla polskich władz; wynikało z niego, że w latach 2002–2005 Amerykanie torturowali w Polsce islamskich fundamentalistów podejrzanych o terroryzm (między innymi Chalida Szejka Mohammeda oskarżanego o przygotowanie zamachów na Nowy Jork i Waszyngton). Reakcja naszych oficjeli przypominała wtedy reakcję otoczenia Haszima Thaçiego: nie było żadnych lądowań amerykańskich samolotów, nie było żadnych więzień, nie było żadnych tortur. Ale z czasem coraz więcej ustaleń Marty'ego zaczęło pokrywać się z rzeczywistością. Dziś już wiadomo, że tylko w latach 2002–2003 CIA lądowała w Szymanach co najmniej siedmiokrotnie i że agenci przesłuchiwali podejrzanych w tajnym ośrodku w Starych Kiejkutach, stosując tortury. Nikt już Marty'emu, przynajmniej w tej sprawie, nie zarzuca uprawiania politycznej propagandy.

Czy podobnie będzie w sprawie Armii Wyzwolenia Kosowa? Niekoniecznie. Rada Europy wprawdzie zobowiązała EULEX do wyjaśnienia zarzutów sformułowanych w raporcie, ale były one już wyjaśniane – bez rezultatów. Szef wydziału zbrodni wojennych EULEX Matti Raatikainen twierdzi, że nie udało się zgromadzić dowodów na potwierdzenie tez Carli Del Ponte i Dicka Marty'ego. Może udałoby się je znaleźć, gdyby senator ujawnił swoich informatorów, ale przecież zapowiedział, że tego nie zrobi, bo to naraziłoby ich na niebezpieczeństwo. I tak koło się zamyka. Krytycy senatora mogą utrzymywać, że jego raport składa się wyłącznie z insynuacji. Oskarżany Haszim Thaçi może powiedzieć, że niecierpliwie czeka na ujawnienie dowodów przeciwko niemu. A sam Marty – że dzieje się dokładnie to, co opisał w swoim dokumencie: w imię wyższych racji proalbańskie lobby w Unii Europejskiej i Stanach Zjednoczonych nie jest zainteresowane grzebaniem w życiorysach najwyższych władz Kosowa. Ale to już nie brzmi jak zarzut. Brzmi jak teoria spiskowa.

Kradzież w krainie demonów

Polska policja tropi złodziei z krain fantasy. Kradzież magicznych butów lub wykutego w smoczej krwi miecza kończy się w sądzie wyrokiem w imieniu całkowicie realnej Rzeczypospolitej Polskiej

DONAT SZYLLER

Słońce na równinach krainy Shinsoo przypiekało mimo wczesnej pory. Potężny rycerz wyszedł z namiotu (w którym spędził noc) i, przeciągając się, patrzył na falujący w gorącym powietrzu horyzont. Za nim, na dalekiej północy leżał cel wędrówki: Wieża Demonów opanowana przez duchy chaosu i piekielne bestie. „Jeszcze dziś unurzam miecz w ich krwi” – pomyślał wojownik. Lecz zaraz... Rycerz rzucił się do końskich juków i zaczął przetrząsać swój ekwipunek. Gdzie miecz? Gdzie tarcza? Gdzie magiczna zbroja? – Okradli mnie! – niesiony wiatrem wściekły ryk wojownika zatrząsał równiną.

Krzyk dotarł też w Beskidy, konkretnie do Komendy Powiatowej Policji w Limanowej w województwie małopolskim. Kradzieżą w prowincji Shinsoo, krainie z gry komputerowej „Metin2”, zajęli się tamtejsi funkcjonariusze.

Na początku lutego do komendy w Limanowej zgłosił się mieszkaniec wsi Dobra – gracz, który kierował okradzionym z ekwipunku rycerzem. Mimo że wyposażenie było wirtual-

ne, oprócz wartości odmierzanej w walucie gry – smoczycy monetach – miało realną cenę w polskich złotych. – Konkretnie 1500 złotych – uściślał młodszy aspirant Stanisław Piegza z limanowskiej policji.

Gracz nie chce mówić o sprawie. Podobnie jak inni okradzeni w Internecie. – To w naszym środowisku rzecz wstydliva. Z ofiar złodziei wszyscy się śmieją, wyzywają nas od frajerów – tłumaczy jeden z graczy.

Kantor smoczycy monet

Większość z około 55 tysięcy grających w popularne gry internetowe „Metin2” czy „Tibię” płaci za wyposażenie swoich postaci – wojowników, magów i zabójców ninja – prawdziwymi pieniędzmi. W serwisie aukcji internetowych Allegro potężny Miecz Trytona zwiększający siłę wojownika można kupić za jedyne tysiąc złotych. Magiczną zbroję z czarnej stali – za 800 złotych. Niczym w kantorze wymienić można też złotówki na smocze monety umożliwiające zakup ekwipunku już w świecie gry. Przelicznik to około trzech groszy za jedną monetę (taką samą wartość ma pakistańska rupia i irański rial).

Handluje się też całymi postaciami. Władający magią leczniczą szaman na wysokim, bo 99. poziomie gry wystawiony jest na sprzedaż za 2,4 tysiąca złotych. O tysiąc mniej trzeba zapłacić za królewskiego rycerza – paladyna wyszkolonego w walce toporem.

Czy naprawdę warto pakować w grę takie pieniądze? – A czy warto wydawać pie-

niądze na kino? Na wyjście z dziewczyną do restauracji? Na książkę? Czy warto w ogóle wydawać pieniądze na rozrywkę? Można całe życie spędzić w pracy. Wynik na koncie na pewno będzie lepszy – denerwuje się pytaniem Krzysztof Pietrzak, redaktor naczelny serwisu o technologiach komputerowych Idg.pl.

– Nie sprzedaję dla zarobku – zapewnia 33-letni Łukasz, który wystawił na Allegro postać maga za 1,7 tysiąca złotych. – Przez trzy lata włożyłem w tę grę ponad cztery tysiące złotych. To prawie półroczna wartość rat mojego kredytu mieszkaniowego. Sprzedaję, bo chcę się uwolnić – mówi mężczyzna. Uwolnić od gry i od narzekań żony, która wciąż widzi męża przed monitorem. Od pretensji szefa, który ma dość oglądania w pracy niewyspanego Łukasza. – Krótka grać się nie opłaca. Siadam do komputera o godzinie 17 i gram pięć-siedem godzin. Codziennie. To rodzaj uzależnienia, gra cholernie wciąga – opowiada 33-latek. Wspomina, że gdy kolega pierwszy raz pokazał mu świat „Metin2”, zapytał: „Mam latać po komputerze jakimś ludkiem?”. Ale usiadł i wsiadł. – Postać trzeba ciągle ulepszać, rozwijać umiejętności walki, zdobywać ekwipunek. I lata leca – dodaje Łukasz.

– Każdy ma jakieś fantazje, marzenia. Gry pozwalają nam je po części spełniać. Kto z nas w młodości nie marzył, że jest wielkim wojownikiem, obrońcą uciśnionych? – pyta Leszek Wróblowski, główny administrator portalu o grach Silkroad-online.com.pl.



Możesz być bohaterem w Metin2, przed którym drżą piekielne potwory, ale i tak sprytny złodziej zostawił cię w samych majtkach

Niektórzy w dzieciństwie marzyli widocznie o karierze łotrzyka, bo zarobić na rynku graczy próbują internetowi złodzieje. Na szczęście by ich znaleźć, policjanci nie muszą z mieczem w rękę przedzierać się przez mroczny Lungsam (Las Duchów) ani owianą złą sławą Krainę Gigantów. – Poszkodowany mieszkaniec Dobrej poświęcił na rozwój swojej postaci mnóstwo czasu. Inwestował w nią też pieniądze. Takie zgłoszenia traktujemy bardzo poważnie. Nie ma znaczenia, czy sprawca ukradł realny telewizor, czy wirtualny miecz. Oba przedmioty mają swoją wartość i takie przypadki tropimy jak zwykłą kradzież – mówi młodszy aspirant Piegza z Limanowej.

– Tak samo, tyle że jest nam trudniej – wzdycha aspirant Marcin Borowski z komendy w Reszlu na Warmii. – Sprawcę zwykłej kra-

dzieży wykrywamy najczęściej po dwóch miesiącach. Z grami komputerowymi jest inaczej. Nie mogę przecież zrobić przeszukania i znaleźć magicznej tarczy u kogoś w szafie – dodaje.

Nad swoją sprawą aspirant Borowski pracuje od końca września 2010 roku, gdy 35-latek z Reszla zgłosił kradzież ekwipunku. „Po wejściu w grę stwierdziłem, że sprawca dokonał kradzieży wszystkich elementów rozwoju postaci, to jest tarczy, zbroi i mieczy” – zeznał mężczyzna.

W „elementy rozwoju” zainwestował rekordową kwotę 10 tysięcy złotych. Złodziej, który złamał hasło, włamał się na jego konto w grze „Metin2” i zostawił po sobie nagiego i bezbronnego rycerza, nadal jest na wolności. Policja ma już jednak trop. – W trakcie długiej i żmudnej pracy ustaliliśmy numery IP, z których logowano się na konto poszkodowanego – mówi aspirant Borowski. To adresy sieciowe mogące doprowadzić do konkretnego komputera. Problem w tym, że mogą, ale nie muszą. W ramach jednej sieci ten sam adres IP może obsłużyć kilka komputerów. Są też adresy dynamiczne, które stale się zmieniają.

Policjantom z Reszla udało się jednak przy pomocy administratorów sieci wytypować dwa komputery. Oba należą do mieszkańców województwa lubelskiego: 59-latka i 20-letniej kobiety. Oboje nie przyznali się do kradzieży, twarde dyski z ich komputerów badają teraz policjanci specjaliści. Gdy znajdą na nich dowody przestępstwa, sprawa skończy się zarzutami z Kodeksu karnego i procesem w sądzie.

Nożyczki i noże

Taki precedensowy wyrok zapadł sierpniu 2010 roku w Sądzie Rejonowym w Sławnie w województwie zachodniopomorskim. Przed składem sędziowskim stanął 20-letni Patryk S. oskarżony o to, że „działając w celu

wyrządzenia szkody innej osobie (...), po uzyskaniu za pomocą programu szpiegującego dostępu do konta usunął dane informacyjne w postaci wirtualnych przedmiotów”. Czyli po prostu: ukradł miecz, zbroję i tarczę w „Metin2”. Jak tłumaczy Sławomir Przykucki z Sądu Okręgowego w Koszalinie (któremu podlega Sławno), wyrok był w miarę łagodny, bo złodziej z prowincji Shinsoo dobrowolnie poddał się karze. Dostał rok więzienia w zawieszeniu, 200 złotych grzywny i dozór kuratora.

Przed sądem stanie już wkrótce pięciu grających w „Tibię” w wieku od 17 do 26 lat. Oni z kolei usunęli dane informatyczne w dużo prostszy sposób niż poprzez włamanie się do komputera. Wybrali metodę siłową.

W maju 2010 roku w Katowicach podczas piwnego spotkania miłośników gry w parku imienia Kościuszki wytypowali swoją ofiarę – 21-letniego mieszkańca Dąbrowy Górniczej. Pobili go i za pomocą przystawionych do gardła nożyczek wymusili podanie hasła do konta gry. Postać 21-latka warta była tysiąc złotych. Sposób jej pozyskania kosztować może trzy lata więzienia, bo 31 stycznia akt oskarżenia trafił do sądu w Katowicach.

Dla graczy nikłym pocieszeniem może być to, że polski świat gier jest wciąż mniej brutalny niż ten na Dalekim Wschodzie. Tam przemoc płynie z dwóch źródeł – ze strony chińskiego fiskusa, który obłożył handel magicznym ekwipunkiem 20-procentowym podatkiem, i ze strony bezwzględnych graczy. W 2005 roku jeden z chińskich wirtualnych rycerzy pożyczył drugiemu magiczny miecz. Ten zamiast oddać go właścicielowi, sprzedał broń na aukcji za 870 dolarów. Policja umorzyła sprawę. Właściciel miecza złapał za nóż. Nie magiczny, lecz zwykły, kuchenny. Złodzieja zabił w realnym świecie.

WSPÓLPRACA WOJCIECH PIESTA

REKLAMA

www.mieszkaniowy.as



Carlina z biologicznymi rodzicami na chwilę przed ponownym rozstaniem

FOT. NY POST/SPLASH/EAST NEWS

Powrót córki

Ameryka żyje historią 23-letniej dziewczyny, która odnalazła się po prawie 23 latach. Od swoich prawdziwych rodziców chce jednak kasy, nie miłości

JOANNA WOŹNICKO-CZECZOTT

W yglądają jak szczęśliwa rodzina. Jedzą razem obiad, śmieją się i przytulają. Sielankę oświetlają błyski fleszy. Te fotografie obiegają czółwki gazet. „Szczęśliwe zakończenie tragedii sprzed 23 lat” – krzyczały na początku lutego nagłówki zarówno tabloidów, jak i „New York Timesa”. W rzeczywistości nic jednak nie wygląda jak na zdjęciach. Spotkanie nie jest rodzinnym obiadem, tylko wyreżyserowanym przyjęciem w hotelu Essex House. Dziewczyna jest wprawdzie podobna do rodziców, ale tak naprawdę ich nie zna. A sielanka radosnego spotkania lada dzień ma się zamienić w koszmar.

Stróż nie da głowy

Aby zrozumieć, co poruszyło Amerykanów w historii Carliny White, trzeba się cofnąć do 1987 roku. 16-letnia wówczas Joy White zgłasza się ze swoją nowo narodzoną Carlina do szpitala Harlem Hospital Center na Manhattanie. Dziewczynka ma 39,4 stopnia gorączki. Lekarze decydują, że musi zostać w szpitalu. Podają 19-dniowemu dziecku antybiotyki.

Środek nocy. Na korytarzu szpitala jest tylko szlochająca matka, jej mąż Carl Tyson i kobieta w białym kitlu. Tłumaczy im, że jest pielęgniarzką, i podsuwa chusteczkę matce. Dwie godziny później rodzice wracają do domu, by się przespać. A o 3.30 szpital opuszcza kobieta od chusteczki. W tym samym momencie znika mała Carlina.

Kilkanaście dni później, niewielka stacja kolejowa w stanie Connecticut. Szczęśliwa Ann Pettway wysiada z pociągu z Nowego Jorku z noworodkiem. Rodzina nie posiada się z radości. Ann parę razy poroniła, tym razem się udało. Bliscy kobiety tłumaczą się dziś w prasie, że nie mieli wtedy podejrzeń. Ann przywiezioną dziewczynkę nazywa Nejdra Nance.

W tym czasie Joy i Carl stawiają policję na nogi. Ratusz zarzuca miasto ulotkami i wyznacza 10 tysięcy dolarów nagrody za odnalezienie dziewczynki. Rodzice żądają miliona dolarów odszkodowania od szpitala. Dostają 750 tysięcy. 424 tysiące odkładają na lokatę dla córki. Chcą ją trzymać do czasu, gdy Carlina skończy 21 lat. Wierzą, że do tej pory się odnaj-

dzie. Ale córka znika bez śladu. Wkrótce małżeństwo się rozwodzi.

Matka pęka

Nastoletnia już Nejdra Nance dochodzi do wniosku, że w ogóle nie jest podobna do rodziców. – Nie przypominała Ann. Po kątach się o tym szeptalo, ale nigdy głośno – mówił potem dziennikarzom kuzyn Nejdry. Będąc w ciąży, dziewczyna prosi matkę o swój akt urodzenia. Chce wystąpić o numer ubezpieczenia społecznego. To w USA najważniejsze potwierdzenie tożsamości. Ann Pettway mówi, że żadnego aktu nie ma. I wtedy pęka.

Przyznaje, że nie jest jej biologiczną matką, że akt urodzenia próbowała sfałszować, ale bez skutku. I dodaje, że Nejdre urodziła narcomanka, która oddała ją z własnej woli. Dziewczyna natychmiast zaczyna szukać prawdziwej rodziny. Trafia na stronę Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych – amerykańskiego odpowiednika polskiej Itaki. Jest tam specjalny program, który opierając się na starym zdjęciu porwanego, pokazuje, jak może on wyglądać obecnie. Nejdra trafia na dziewczynkę ze swojego rocznika, która po komputerowym „postarzeniu” wygląda identycznie jak ona dziś. Dzwoni więc do centrum.

„Nigdy nie straciłam nadziei” – twierdzi dziś biologiczna matka Carlina. Gdy po 23 latach zadzwoniła do niej córka, czuła się „odurzona szczęściem”. Skontaktowała się z policją, a ta zleciła wykonanie badań DNA, które potwierdziły, że Nejdra to Carlina White. Wkrótce połączona rodzina w blasku fleszy ucztowała w Essex House. Szczęśliwe zakończenie odtrąbiły wszystkie gazety.

Po obiedzie Carlina zaczęła żądać zapłaty za wywiady. Wróciła do Atlanty, gdzie dotychczas mieszkała. A od odzyskanej rodziny zaczęła domagać się pieniędzy – 750 tysięcy dolarów, które jej rodzice dostali od szpitala, plus równowartość wyznaczonej nagrody, która według niej należy się jej samej. – Dopiero odzyskałam córkę. Teraz czuję się, jakbym znów ją straciła – zwierzyła się w telewizji MSNBC Joy White. Twierdzi, że wydała już pieniądze. – Ja i mój były mąż mamy osobne rodziny, inne dzieci. Lokatę Carliny zlikwidowaliśmy. To, co się zdarzyło, było dla mnie cudem. Teraz boli mnie to, że ona wróciła tylko dla pieniędzy.

Ann Pettway, kobieta, do której Carlina przez 23 lata mówiła „mamo”, oddała się w ręce policji. W areszcie czeka na wyrok. Grozi jej od 20 lat więzienia. A Carlina White wróciła do dawnego imienia. Znów podpisuje się Nejdra Nance.

KRÓTKO

Na przednówku i rak ryba

Przygotowani na kastrację

Szpitaly i ambulatoria już na wiosnę będą gotowe do przyjęcia pierwszych pedofilów, których sąd nakazał chemicznie wykastrować

R uszył pierwszy kurs przeznaczony dla personelu szpitali i ambulatoriów, w których będzie przeprowadzana tak zwana chemiczna kastracja, nowy typ środka zabezpieczającego przed pedofilią. Na szkolenie zakwalifikowało się 11 specjalistów, w tym seksuologów i psychiatrów. Doksztalcenie tych, którzy będą pracować z osobami skazanymi za pedofilię, rozpoczęło się w ubiegłym tygodniu w Zakładzie

Seksuologii Medycznej i Psychoterapii warszawskiego Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. Pedofile mają być poddawani leczeniu farmakologicznemu połączonemu z psychoterapią. Już zdecydowano, że będzie się to odbywać w zakładach zamkniętych w Choroszczu, Kłodzku i Starogardzie Gdańskim. Część będzie mogła korzystać z terapii w ambulatoriach, między innymi w Warszawie, Krakowie, Warcie

i Gorzowie Wielkopolskim. Zgodnie z przepisami, które weszły w życie w czerwcu ubiegłego roku, decyzję o tym, czy pedofila poddać terapii, wydaje sąd. Dotąd taki sposób leczenia orzeczonego wobec 18 skazanych. Ponieważ kara więzienia jeszcze im się nie kończy (sądy zalecają terapię na przykład na pół roku przed przewidywanym warunkowym zwolnieniem), trudno stwierdzić, kiedy pierwszy pedofilia trafią do przygotowanych już ambulatoriów czy adaptowanych właśnie do ich potrzeb zakładów zamkniętych. Takiej wiedzy nie ma też Ministerstwo Zdrowia. Według rzecznika tego resortu Piotra Olechny pierwsi skazani rozpoczną terapię być może dopiero w drugiej połowie tego roku.

MAŁGORZATA ŚWIECZOWICZ

RACZKOWSKI PONOWNIE



CO MÓWIĄ LICZBY

36 miesięcy

TO WIĘCEJ NIŻ 3 LATA. Tak przynajmniej ocenia ludzki mózg. Jeśli więc jeden producent napisze, że gwarancja na jego pralkę wynosi 36 miesięcy, a drugi, że 3 lata, większość konsumentów zdecydowanie się na pierwsze urządzenie. Ludzie bowiem nie skupiają się na jednostkach miar, lecz na liczbach. W związku z tym nawet gdy jednostki są te same, to na pierwszy rzut oka różnica między oceną 90 i 95 na 100 wydaje się większa niż 9 i 9,5 na 10. Zjawisko opisali na łamach „Journal of Consumer Research” Mario Pandelaere, Christophe Lembregts (Ghent University w Belgii) i Barbara Briers (Tilburg University w Holandii).

WZORCE

Polska porównywana z Egiptem

U rzędnicy prezydenta USA Baracka Obamy zajmujący się bezpieczeństwem narodowym rozpoczęli badania na temat mechanizmów przechodzenia krajów na demokrację. Studiują między innymi historię Filipin po odsunięciu od władzy Ferdinanda Marcosa w 1986 roku, sprawdzają, co się działo w Chile po obaleniu Augusta Pinocheta w 1990 roku, czytają też o przemianach w Polsce po 1989 roku. Wszystko po to, żeby Egipt nie poszedł w ślady Iranu i nie stał się wrogiem Stanów Zjednoczonych. Eksperti obawiają się, że islamisci mogą przejąć władzę, gdyż liberalna opozycja jest w tym kraju bardzo słaba. Znany konserwatyw-



FOT. KRZYSZTOF PAWEŁA/FORUM

ny publicysta George Will pisze wprost: – Nie mają swojego Wałęsy ani Havla.

WOJ

OKAZJE

Im wyżej, tym taniej

R yanair, największy w Europie tani przewoźnik, oraz operator Maxroom uruchomił pierwszą sieć komórkową, w której w roamingu nie trzeba płacić za odebrane rozmowy i SMS-y. Ceny innych połączeń wynoszą 40 procent górnej granicy opłat ustalonej przez Komisję Europejską. Dzwoniąc do dowolnego kraju na naszym kontynencie, płacimy 0,29 euro (1,2 złotego), a na SMS wydamy 0,09 euro (35 groszy). Przeglądanie internetu w telefonie kosztuje 0,99 euro (prawie 4 złote) za megabajt. Aby zostać klientem sieci, trzeba za 5 euro kupić kartę SIM. Oferta może zmusić inne sieci do obniżki lub zniesienia kosztów roamingu.



Syn Kazika

Do świata muzyki wkracza właśnie trzecie pokolenie Staszewskich. Jan, syn lidera Kultu Kazimierza, wnuk barda i poety Stanisława, Robertowi Mazurkowi mówi, kto go sprowadził na złą drogę, kto mu nie przypalał pierwszego skręta i jakiego odnalazł Boga

Jan czy Janusz?

– Jan. Janusz to artystyczny pseudonim. Dlatego bawi mnie, gdy piszą: Janusz Staszewski.

Z tych Staszewskich.

– Wnuk Stanisława. I zawsze prostuję, że nie jestem synem Kazika, tylko Anny i Kazimierza Staszewskich.

Kazimierza, który jest gwiazdą rocka i liderem Kultu.

– Ale dla mnie jest tata, z którym mieszkam pod jednym dachem, który mnie wychował i którego codziennie spotykam w kuchni czy łażącego w gaciach po mieszkaniu.

Jest pan trzecim pokoleniem Staszewskich muzyków.

– Nie uciekam przed tym ani mnie to nie paraliżuje. Dziadek czy tata mają swoją historię, a ja swoją dopiero zaczynam tworzyć. I choć nigdy nie będę się wypierał swoich związków rodzinnych, to wkurzają mnie ciągle pytania, jak to jest być synem Kazika.

Przepraszam za opóźnienie, ale jeszcze nie zdążyłem o to spytać.

– OK, to fajnie.

Jak się gra reggae, to pewnie cały czas jest się na haju?

– Nie, marihuanę palę sporadycznie i nie uważam, by było to jakies wielkie zło. Trochę palę papierosy, ale rzucam. Ogólnie jestem przeciwnikiem palenia.

Rodzice pozwalają?

– Powiedziałbym, że rodzice do takich rzeczy podchodzili liberalnie. W domu panowało swobodne wychowanie. Obaj z bratem jesteśmy wegetarianami, choć rodzice jedzą mięso. Tata pozwalał na wszystko, zawsze mieliśmy drzwi otwarte na różne nowe doświadczenia.

A co to znaczy? Że przypalał wam pierwszego skręta?

– (śmiech) Nie, ale powtarzał, że marihuana jest lepsza niż woda, bo przynajmniej człowieka uspokaja. Dlatego wolał, byśmy palili skręty, niż pili na umór.

Nie jest to typowa postawa polskiego ojca.

– Nasz tata wszystko tłumaczył, mówił uczciwie o zagrożeniach, ale nie brzmiał wtedy jak odległy, obcy i surowy autorytet, lecz jak przyjaciel, kumpel.

I jak się pan do tego kumpla zwracał?

– Sir.

To ładne.

– Nie, u nas było normalnie i zwracaliśmy się do niego „tato”. Bo on też udzielał nam rad, stawiał czasami zakazy, warunki...

Ale niewiele.

– Rzeczywiście, był tolerancyjny.

I mógł pan wracać z imprezy jako ostatni?

– (śmiech) Był bardzo otwarty i pozwalał się przekonać, ale jednocześnie umiał postawić na swoim. Mimo tych wszystkich swobód, tej wolności, jaką mieliśmy, zawsze zdanie rodziców liczyło się najbardziej. Jednocześnie tata wychował nas tak, że nie trzeba było na nas krzyżeć, bo nie byliśmy jakimiś strasznymi urwisami...

Urwisami? Kto jeszcze używa takiej staropolszczyzny?!

– My. W każdym razie nawet jeśli trochę byliśmy urwisami, to nie padaliśmy w poważniejsze konflikty z rodzicami, którzy umieli utrzymać nas w ryzach.

Jest pan pierwszym muzykiem, z którym rozmawiam i który w ogóle nie przeklina.

– Jakoś nie było potrzeby. Staram się być grzeczny.

Kiedy pierwszy raz się pan skuł?

– (śmiech) Chyba w szóstej klasie podstawówki, ale to nie miało nic wspólnego z rodzicami.

Mam nadzieję, że to nie ojciec polewał!

– To starszy brat sprowadził mnie na złą drogę... (śmiech)

Dużo starszy?

FOT. RAFAŁ SIEDLECKI, WYS. BARBARA SUDOWSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA PIOTRA GĘSICKIEGO/NEWSPIX.PL

„ Nie będę udawał, że nie jestem synem swojego taty, ale jednocześnie robię całkowicie oddzielne rzeczy i nie można mnie porównywać do ojca. Nawet jeśli ktoś szuka powiązań między tym, co robimy, to ich nie znajdzie

JAN „JANUSZ” STASZEWSKI

→ – Ponad rok, ale to wystarczało, żeby zawsze pierwszy wszystkie go próbował.

Jak zareagował tata?

– Nie dowiedział się o tym.

A był pan karcony fizycznie?

– Może raz w życiu oberwałem od ojca.

To kto był złym policjantem w domu?

– Raczej mama. Taty często nie było, a ktoś musiał nad tym wszystkim panować. To na mamę spadały nasze wybryki, więc czasem musiała krzyknąć, zdenerwować się.

Wzrastanie w cieniu silnej osobowości chyba nie jest łatwe. Buntował się pan?

– Czy ja wiem? Przekłułem sobie wargę czy język...

U pana w domu to żaden bunt. W ramach buntu musiałby pan zacząć nosić ciemne garnitury.

– No właśnie, a nie nosiłem, więc wszystko było naturalne.

Jak nastolatek orientuje się, że jest synem gwiazdy rocka?

– Nigdy tego nie odczuwałem, nie dostrzegałem różnicy, naprawdę.

Sorry, ale znał pan ojców kolegów z klasy?

– Niektórych znałem.

I co, wyglądali tak samo jak pana ojciec?

– Rzeczywiście wyglądali trochę inaczej (*śmiech*). Ale czy to, że mieliśmy więcej wolności, znać, że to było jakieś szalone wychowanie? Nie sądzę, jesteśmy zwykłą rodziną.

Zwykła rodzina z Mokotowa...

– Naprawdę tak jest! Tata zajmował się nami, nie zaniedbywał swoich obowiązków, bo jest gwiazdą rocka. Był taki jak inni ojcowie, chodził na wywiady...

To skądinąd musiało być ciekawe doświadczenie dla tych wystraszonych nauczycielek.

– Ja tego w żaden sposób nie odczuwałem, nie czerpałem żadnych profitów z tego tytułu. Oczywiście wiem, że tata jest sławną osobą, ale dla mnie był tylko ojcem.

Którego nazwisko, zwłaszcza teraz, pomaga panu.

– Tak samo jak i przeszkadza.

Dzięki niemu ma pan łatwiejszy dostęp do wytwórni.

– To prawda, że w tym miejscu to było ułatwienie. Sławek Pietrzak z S.P. Records posłuchał moich nagrań, spodobały mu się i postanowił je od razu wydać, ale czy czerpię z tego jakiegokolwiek inne profity? Nie sądzę.

Ma pan publicity. Dziennikarze może i pytają o ojca, ale przy okazji coś o panu piszą.

– No dobrze, jeśli tak jest, nie będę z tym walczył. Nie będę udawał, że nie jestem synem swojego taty, ale jednocześnie robię całkowicie oddzielne rzeczy i nie można mnie porównywać do ojca. Nawet jeśli ktoś szuka powiązań między tym, co robimy, to ich nie znajdzie.

Nie rozmawiacie o muzyce?

– Rozmawiamy, tata mi pomaga, wystąpiliśmy nawet na kilku koncertach jako support Kultu, ale gramy zupełnie różną muzykę.

Od porównań chyba pan nie ucieknie.

– Nigdy się ich nie bałem, ale teraz, kiedy na rynku jest już moja płyta, każdy może posłuchać i zamiast porównywać mnie z moim tatą, po-

wiedzieć, czy to dobre, czy nie. Choć jeśli ktoś zacznie mnie słuchać tylko dlatego, że jestem synem Kazika, mnie to i tak ucieszy – przynajmniej więcej osób posłucha fajnej muzyki.

To młodzieńczy kaprys czy już pan wie, że będzie muzykiem?

– Od zawsze żyłem otoczony muzyką. Pamiętam, jak jeszcze w gimnazjum tata pokazał mi program, który mamy w domowym studiu, i zacząłem coś tam robić. Na początku samplowałem pseudohipopowe, nie do końca określone stylistycznie utwory. Dopiero z czasem zacząłem pisać własne teksty, tworzyć do nich muzykę. Tak powstało kilka piosenek, które zaczęły krążyć wśród znajomych. Zupełnie naturalnie pojawił się pomysł, by to wydać.

I przejść na zawodowstwo.

– Wykonywanie i słuchanie muzyki sprawia mi wielką przyjemność, więc mam nadzieję, że uda mi się w tym świecie zaistnieć. Jest płyta, gramy koncerty, mam nadzieję, że będę żył z grania muzyki, zarabiał na tym. Wtedy będę mógł powiedzieć, że tak jak tata jestem prawdziwym muzykiem.

A na razie z czego pan się utrzymuje? Z taty?

– Skończyłem kulturoznawstwo na SWPS i pracuję dorywczo.

Co będzie miarą pańskiego sukcesu?

– Dla mnie sukcesem jest to, że koncertujemy, że wyszedłem poza małe domowe studio i nagrałem tę płytę. Nie spodziewam się oszałamiającej sprzedaży, ale nawet jeśli kupiłaby ją jedna osoba i przyswoiłaby zawarty w niej przekaz, byłbym zadowolony.

Płytę nagrał pan sam.

– Czasami tylko zapraszałem muzy-

ków, żeby coś podgrali, ale główną bazę robiłem sam na komputerze dzięki odpowiednim programom. Drugą płytę chciałbym już nagrać z żywymi muzykami.

Gra pan z nimi na koncertach. To koledzy?

– Głównie znajomi w moim wieku, choć gra z nami też Tomek Glazik, saksofonista z zespołu taty. Chciał też z nami koncertować gitarzysta taty Wojtek Jabłoński, ale my już mieliśmy gitarzystę, więc nie wypaliło. No i gra z nami mój starszy brat.

Jeszcze jeden Staszewski?! Rodzinny interes.

– Brat gra na perkusji, ale chyba nie wiąże z tym przyszłości. Po prostu na początku grał na gitarze, ale szukaliśmy perkusisty i okazało się, że on woli perkusję i dobrze mu to wychodzi.

Synowie Wojciecha Waglewskiego też zostali muzykami.

– Nie znam ich osobiście. Zresztą kontakty mojego taty bardzo słabo się przekładają na moje znajomości, nie znam ludzi ze środowiska.

U siebie w grupie jest pan liderem.

– Tak, ale u nas panuje demokracja i na razie jest dobrze.

A u ojca?

– Tam też jest demokracja, ale to tata ma głos decydujący. To demokracja kontrolowana (*śmiech*).

Demokracja socjalistyczna: lud sobie gada, ale partia rządzi.

– Tak właśnie jest.

Gra pan reggae.

– To bardzo autentyczna muzyka, która wiele mnie nauczyła i bardzo zmieniła. Reggae wzniosło mnie na wyższy poziom mentalny i duchowy. Nauczyłem się innego podejścia do świata. Zobaczyłem,

że muzyka może nie tylko bawić słuchacza, ale i uczyć, dawać mu inspirację. Ja tę muzykę kocham, to dzięki niej można śpiewać o sprawach, o których zwykle nie mówi się w piosenkach. W reggae odnalazłem Boga.

Jakiegoś konkretnego?

– Nie określam się religijnie, mój Bóg jest uniwersalny, jest duchem, który wszystko przenika. Tam, gdzie jest Bóg, jest wolność – i taka definicja mi wystarcza. Choć nie podpisuję się pod żadnym wyznaniem, to byłem blisko rastafarianizmu, który jest najbardziej uniwersalny.

Czyżby? Religia czarnych z Jamajki i jej muzyka to kultura bardzo nam odległa.

– Pojawienie się Hajle Sellasjego było jednym z ważniejszych wydarzeń w kulturze XX wieku. To dzięki niemu wielu ludzi zaczęło szukać prawdy, która nie ma żadnego koloru skóry, nie jest zarezerwowana dla czarnych z Etiopii czy Jamajki. Rastafarianizm zerwał z kolonialnym myśleniem ludzi, a na świecie rozprzestrzenił się dzięki muzyce reggae.

Mówi pan o rastafarianizmie, o uniwersalnym przekazie, ale dla większości fanów reggae to miła melodyjka i kołysanie, stąd sukces w telewizyjnym show Kamila Bednarka.

– Moja muzyka jest inna, mocna, tam nie ma tylko ładnych melodii. Często podkłady są bardzo surowe, oparte na basie i perkusji. Moje teksty są mocne.

Hm, to ciekawe. Przekaz w stylu „kochajmy się”...

– Dobrze, taki też jest, ale dziś temat miłości porusza bardzo niewielu ludzi.

Co pan mówi? Połowa piosenek na świecie jest o samotności, a druga o miłości.

– Ale to cukierkowe, nie mówi się o tym w bezpretensjonalny sposób, a ja się staram. Chciałbym, by to nie wlatywało jednym uchem i wylatywało drugim. Nie śpiewam tylko o łatwej miłości, kwiatkach i dziewczyn-

Jan „Janusz” Staszewski

Urodzony w 1986 roku wokalista, muzyk i producent. Syn Kazika Staszewskiego, lidera Kultu, w środowisku warszawskim jest znany jako Janusz.

Jego debiutancka płyta „Piosenki o miłości”, która w styczniu trafiła do sklepów, to zbiór 14 utworów utrzymanych w stylistyce reggae i dancehall. Doświadczenie na scenie zdobywał przed wielotysięczną publicznością, supportując między innymi występy Kultu czy Buldoga.

nach, ale o tym, by człowiek się zmienił, patrzył inaczej na świat, śpiewam o miłości wymagającej.

Niech pan popyta ojca, jak muzycy rockowi czy punkowcy traktowali polskie reggae w połowie lat 80. Drwinom i zarzutom o bezmyślne małpowanie mody nie było końca.

– Nie sądzę, by to było czyste naśladownictwo. Z muzyką sprawa jest prosta: albo ona do Ciebie trafia, albo nie. I nie decyduje o tym kolor skóry. Możesz być białym rastafarianinem i to jest całkiem normalne. Jasne, że są też i tacy, którzy po prostu małpują reggae i wcale nie są w tym autentyczni.

Ale to nie pan.

– Ja staram się być autentyczny.

Bo wyrósł pan na Jamajce i popala marihuanę?

– (*śmiech*) Nie do końca.

Lubi pan Kult?

– Wielkim fanem nie jestem, ale lubię. Muzyki ojca słuchałem głównie w domu, kiedy tata odsłuchiwał ją w studiu, pracował nad nagraniem materiałem. Głównie jednak słuchałem hip-hopu. Brat był bardziej rockowy, a ja dzięki tacie poszedłem w hip-hop. Kiedy wyjeżdżaliśmy na wakacje, tata zawsze nagrywał jakąś kasetę, której słuchaliśmy, i tam było mnóstwo amerykańskiego hip-hopu. Dopiero potem odkryłem polski hip-hop i uznałem, że jest mi bliższy, bo to są opowieści z podwórka, ze świata, który znam, który mnie otacza.

A reggae to pewnie Marley?

– Marleya słucham mało. Lubię polskiego wykonawcę, który nazywa się Ras Luta.

A Matisyahu?

– Bardzo fajne, lubię to.

To dopiero total – chasyd śpiewający reggae. Pan też powinien sobie wymyślić jakiś image.

– Mam grać w piżamie?

Jako warszawiak raczej w ciuchach Kapeli Czerniakowskiej.

– O tym jeszcze nie pomyślałem (*śmiech*).

Słucha pan czasami piosenek dziadka?

– Po jego nagrania sięgnąłem z ciekawości, żeby posłuchać, jak sobie pogrywał, ale wtedy naprawdę mi się spodobały. Mają w sobie i specyficzną melancholię, i jakiś autentyzm.

Był pan w muzeum w Pabianicach na wystawie poświęconej Staszewskim?

– Akurat wtedy się rozchorowałem, ale to było poświęcone dziadkowi i tacie. Mnie to nie dotyczy, jestem jeszcze młody i dopiero piszę swoją historię.

REKLAMA

www.mieszkanieowy.as



11 kłamstw, w które wierzysz

Uwielbiamy wierzyć w proste prawdy. W końcu na co dzień mamy dość kłopotów, więc parę pewników w życiu nie zaszkodzi? Ale ostrożnie, bo w imię wygody nieraz dajemy się przy tym paskudnie oszukiwać. Aby ułatwić oddzielenie ziarna od plew, wykonaliśmy sporo pracy, wyławiając bzdury i demaskując kolekcję popularnych bujd związanych z tym, co tak bardzo cenimy – dobrym samopoczuciem

TEKST PIOTR STANISŁAWSKI ILUSTRACJE DAWID RYSKI

Pij jogurt – będziesz odporny

Nazwijmy rzecz po imieniu – chodzi przede wszystkim o Actimel, który reklamowany jest przez producenta hasłami sugerującymi, że poprawia on odporność organizmu. Telewizyjny spot mówi na przykład: „Actimel w brzuchu gości, czyli tam, gdzie 70 procent odporności”. To radosne twierdzenie opiera się na informacji, że 70 procent komórek odpornościowych organizmu działa w jelitach. Brzmi sensacyjnie, ale warto pamiętać, że łączna powierzchnia jelit to około 200 metrów kwadratowych. Na takim obszarze trzeba faktycznie osadzić liczną armię, by ochronić organizm przed atakami.

Czy jednak codzienne picie Actimela (lub innego jogurtu) sprawi, że nie zachorujesz na grype, zwykle przeziębienie czy czarna ospę? Niestety nie ma dowodów wiążących jednoznacznie działanie probiotycznych bakterii zawartych w jogurcie z ogólną odpornością organizmu. Większość z 30 badań, na które powołuje się producent na stronie www.actimel.pl, wskazuje, że działanie to dotyczy niemal wyłącznie przewodu pokarmowego – faktycznie jogurty (ale nie tylko Actimel) skracają czas trwania biegunki i pomagają odbudować florę bakteryjną jelita. Ale na liście są i takie publikacje, które wskazują na kompletny brak wpływu środka na badane choroby. Ale komu chciałoby się przekopywać przez całą masę fachowych tekstów? Nam się chciało.

Jeśli komuś takie dowody nie wystarczają, to może przemówi do niego decyzja Europej-

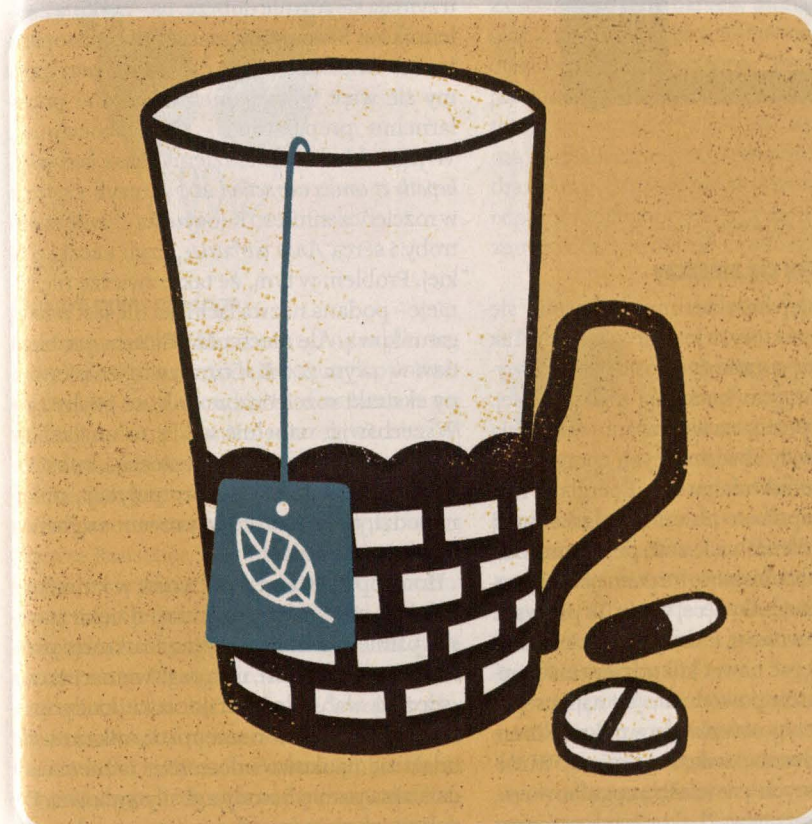
skiego Urzędu Bezpieczeństwa Żywności, który nie uznał dowodów mających potwierdzić, że Actimel zmniejsza ryzyko biegunki u osób starszych. Albo, co znacznie mocniejsze, kara nałożona w USA na producenta DanActive (amerykańska nazwa Actimela). Firma musi zapłacić 21 milionów dolarów za podawanie w reklamach fałszywych informacji – między innymi tej, że jogurt pomaga uniknąć przeziębienia.

Lepiej nie szczep dziecka!

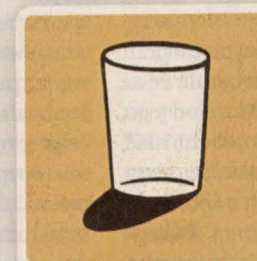
Większość opisywanych mitów to okazja do pośmiania się z ludzkiej naiwności, jednak tu sprawa jest poważna, a czasami może skończyć się tragicznie. Co więcej, łatwo wysledzić pochodzenie tego smutnego nieporozumienia. Sprawa zaczęła się w 1998 roku od publikacji w poważnym i szanowanym piśmie „Lancet”. Doktor Andrew Wakefield napisał artykuł, w którym wiązał połączone

szczepionkę na odrę, świnkę i różyczkę z występowaniem u dzieci autyzmu. Natychmiast po publikacji pojawiły się wątpliwości dotyczące rzetelności badania (mała grupa pacjentów, zbyt pochopne wnioskowanie), ale dopiero w 2004 roku brytyjska Generalna Komisja Medyczna zmusiła „Lancet” do przyznania, że tekst był nieprawdziwy i nie powinien być ukazany w druku. W dodatku wyszło na jaw, że badania Wakefielda sfinansowali rodzice, którym zależało na udowodnieniu, że szczepionka zaszkodziła ich dzieciom. Otwierało to pole do dalszych procesów i żądania gigantycznych odszkodowań.

Dokładniejsza analiza całej sprawy wskazała na jeszcze jeden czynnik – otóż czas przeprowadzania tych szczepień zbiega się z tym



to w przypadkach faktycznych zatruc – lekami czy substancjami toksycznymi – ale to zajęcie dla lekarzy specjalistów. Gdy już potrzebujemy pomocy, z pewnością zioła i przeczyszczanie nam nie pomogą. Historie o złogach jelitowych, zalegających w ciele latami niestrawionych resztkach i innych makabreskach to kłamstwa. Rozpowszechniane dla zysku lub z głupoty i/bądź naiwności.



Wypijaj codziennie osiem szklanek wody

W Polsce to zalecenie dopiero zdobywa popularność (również za sprawą producentów wody butelkowanej), ale w USA od lat prezentowane jest niemal jako pewnik. Tymczasem dowody naukowe tego nie potwierdzają. Jednym z badaczy, którzy postanowili rozprawić się z mitem, jest profesor Heinz Valtin z Dartmouth Medical School w Hanover w stanie New Hampshire. Tropiąc źródła tego mitu, dotarł do dokumentów z 1945 roku opublikowanych przez amerykańską organizację Food and Nutrition Board. Znalazł tam twierdzenie, że na każdą spożytą kilokalorię należy wypić mililitr wody.

A ponieważ zalecenia dietetyczne wskazywały na dzienne spożycie w granicach 1900 kilokalorii, szybko wyliczono, że musimy wypić dwa litry, czyli osiem szklanek.

Jednak wyliczenia te nie uwzględniają wody zawartej w pożywieniu, a tej spożywamy często ponad litr. Mamy więc wypić nie osiem szklanek, ale cztery. Ale idźmy dalej – woda to też kawa, herbata, cola i sok. Jeśli je zsumujemy, to liczba szklanek jeszcze się zmniejsza. No i nie zapominajmy o pragnieniu – to jeden z mechanizmów niezbędnych do przeżycia, działa więc nadzwyczaj sprawnie, przypominając nam o konieczności uzupełniania płynów. Jego działanie słabnie dopiero w podeszłym wieku, kiedy należy pamiętać o piciu wody szczególnie w czasie upałów. →

Musisz oczyścić organizm

Cywilizacja atakuje nas tysiącami toksyn i chemikaliów, jeszcze nigdy w swojej historii człowiek nie był narażony na taką ilość zanieczyszczeń odkładających się w organizmie. Nasze ciała nie są w stanie sobie z tym poradzić, trzeba im pomóc, stosując jedną z licznych metod detoksykacji. Do wyboru mamy szerokie spektrum rozwiązań – od lewatywy i środków przeczyszczających, przez preparaty ziołowe i diety, po jonizujące urządzenie do moczenia stóp. Ceny – dowolne.

Prawda jest jednak taka, że organizm zdrowego człowieka sam doskonale radzi sobie z usuwaniem wszelkich toksyn – ma w końcu wyspecjalizowane do tego zadania nerki, wątrobę czy jelita. Jeśli trzeba mu pomagać,

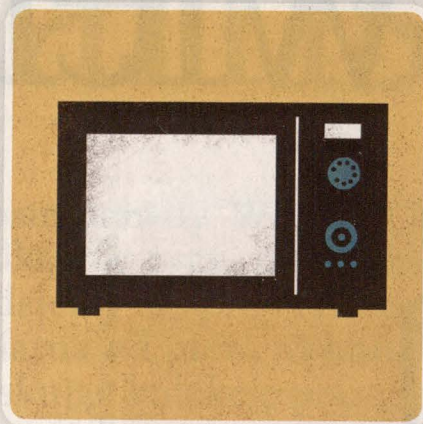
okresem życia dziecka, w którym zwykle rodzice obserwują pierwsze objawy autyzmu. Również wtedy, jeśli szczepień nie przeprowadzono. Stąd zapewne błędne wnioski w rodzaju: zaszczepiłem dziecko, a wkrótce potem pojawił się u niego autyzm.

Jednak dopiero rok temu „Lancet” ostatecznie się pokajał i usunął pracę ze swoich archiwów. Niestety, przez 12 lat wyrządziła ona mnóstwo złego, napędzając spory ruch antyszczepionkowy, którego wyznawcy twierdzą, że szczepionki wywołują wiele chorób i przypadłości. Tak się oskłada, że wszyscy ci ludzie znajdują się w bardzo komfortowej sytuacji – sami zostali zaszczepieni w dzieciństwie na większość chorób. Szkoda, że teraz prowadzą eksperymenty na swoich dzieciach.

→ Wlewanie w siebie mnóstwa wody tłumaczy się jeszcze na dwa sposoby - ma poprawiać cerę i ułatwiać odchudzanie. W kwestii pierwszej - niestety to nie działa. Nadmiar wypitej wody czym prędzej wydalamy, skóra nie jest więc nawilżana od wewnątrz. Z kolei odczuwanie pragnienia i głodu to w mózgu dwa zupełnie odrębne mechanizmy i zalanie żołądka wodą nie powstrzyma chęci jedzenia. Tym bardziej że woda szybko stamtąd odpływa i trafia... tak, do pęcherza.

<http://goo.gl/jRv5A>*

cennego źródła białka i wapnia. I jeszcze jedno - kuchnia pięciu przemian rani zdrowy rozsądek. Trudno go ochronić, słysząc, że czarne potrawy są korzystne dla nerek. Auć!



Mikrofalówka cię zniszczy

Najskuteczniej ludzkie umysły karmią się tymi mitami, w których jest nieco prawdy. Tak właśnie ma się sprawa żywności przygotowywanej przy użyciu kuchenki mikrofalowej. Jej działanie polega na wprawianiu w drgania cząsteczek wody absorbujących energię promieniowania mikrofalowego. Energia ta rozprasza się stopniowo po całej podgrzewanej strukturze. Jednak większość potraw ma bardzo niejednorodną budowę - są tam obszary zawierające mniej lub więcej wody. Te pierwsze ogrzewają się wolniej, te drugie szybciej, a różnica może sięgać nawet kilkudziesięciu stopni. Z tego właśnie powodu nie jest najlepszym pomysłem przygotowywanie w mikrofalówce surowego jedzenia, zwłaszcza mięsa. W słabiej podgrzanych częściach mogą bowiem, teoretycznie, przetrwać bakterie lub pasożyty. Jeśli jednak używamy kuchenki mikrofalowej do podgrzewania przygotowanego już jedzenia, to najgorsze, co może nas spotkać, to wyuczulne w ustach chłodniejsze kawałki. Nic groźnego.

Oczywiście zwolennicy mistycyzmu w życiu powiedzą, że kuchenka mikrofalowa napromieniowuje jedzenie. Odpowiedź jest krótka. Energia mikrofal jest wystarczająca, by „rozedrgać” wodę, ale zbyt mała, by w jakikolwiek sposób zmienić strukturę chemiczną jedzenia - na przykład rozbić wiązania cząsteczkowe. Do tego zdolne jest

promieniowanie o znacznie wyższej energii, zwane jonizującym - kotlet trzeba by prześwietlić promieniami Roentgena lub na przykład obłożyć polonem.

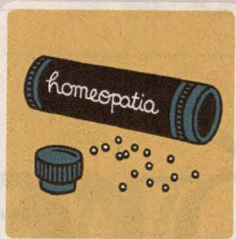
* Adresy źródeł umieściliśmy przy mitach budzących kontrowersje

Unikaj nabiału - wychładza

Ruch New Age żyje! Dowód - dieta pięciu przemian. To tak niewiarygodny stek bzdur, że aż nie wiadomo, od czego zacząć. Może od tego, że wywodzi się z Chin, a wszystko, co chińskie, jest mądre i głębokie. Kłopot w tym, że pomyśle sprzed setek lat niezupełnie odpowiadają współczesnej wiedzy medycznej. Dlatego stwierdzenie, że pomidory i kurczak przypisane są do elementu drzewa, jajka do ziemi, a ryż do metalu, można traktować jako folklor. Gorzej, gdy szuka się w tym głębi i prawdy o żywieniu. Według kuchni pięciu przemian w potrawie powinny się znaleźć składniki z każdego z elementów, a co więcej, zawsze trzeba je dodawać w kolejności: drzewo, ogień, ziemia, metal, woda. Bo jeśli nie, wewnętrzną energię żywności szlag trafi.

Nie będziemy już się rozpisywać o tym, że nikt nigdy w żaden sposób nie stwierdził istnienia wewnętrznych energii życiowych i innych podobnych bajek. Jeśli ktoś chce wierzyć, to i tak go nie przekonamy. Mimo to przynajmniej trzeba, że ten sposób odżywiania ma wiele zalet - na przykład duży udział warzyw w jedzeniu lub konieczność regularnego spożywania posiłków.

Kłopot w tym, że pięcioprzemianowcy muszą stosować się do wielu dziwacznnych reguł, na przykład niemal całkowitej rezygnacji z nabiału. Tymczasem nabyta dość późno w drodze ewolucji zdolność trawienia mleka krowiego przez dorosłych to jedno z większych osiągnięć *homo sapiens*. Szkoda rezygnować z tego



Kaczka wątroba odgoni grypę

Mało jest równie wykpiwanych i krytykowanych terapii jak homeopatia. Mało jest też metod, które tak starannie masakrowane trzymają się równie dobrze, ba - zyskują zwolenników. Skąd przekonanie, że homeopatia to mit? Napisano o tym całe tomy, przyjrzyjmy się więc tylko jednemu, bardzo popularnemu preparatowi - Oscillococtinum. W jego składzie znajdziemy *Anas barbariae, hepatis et cordis extractum 200 K*, czyli ekstrakt w rozcieńczeniu 200 K (o tym za chwilę) z wątroby i serca *Anas barbariae*, czyli kaczki dzikiej. Problem w tym, że takie zwierzę nie istnieje - podana nazwa łacińska nie jest nazwą gatunkową. Ale niech tam. Główny problem tkwi w owym 200 K. Oznacza to, że pierwotny ekstrakt rozcieńczono tak, że gdyby cały Wszechświat napełnić wodą, to znalazłaby się w nim tylko jedna cząsteczka substancji czynnej. Kuleczki, które polykają miliony ludzi, to wyłącznie 85 procent sacharozy i 15 procent laktozy.

Homeopaci twierdzą, że woda, w której rozbełtano nieszczęsną kaczkę, dzięki zjawisku pamięci zachowała kaczczą strukturę i przekazuje ją pacjentowi, u którego wzmacnia ona „siłę życiową”. Tyle że od 1810 roku, kiedy opracowano założenia homeopatii, nikomu nie udało się naukowo udowodnić istnienia ani działania pamięci wody ani siły życiowej. Podobnie jak nie udowodniono istnienia krasnoludków, działania bioenergoterapii ani telepatii. Jest za to sporo opracowań wykazujących nieskuteczność homeopatii.

Dlaczego więc tyle osób wciąż korzysta z tego oszustwa? Po pierwsze, firmy produkujące takie substancje zarabiają na tym krocie i część tego krocia przeznaczają na reklamy. Skuteczne reklamy. Oraz na przekonywanie lekarzy, że powinni homeopatię zalecać pacjentom. Po drugie, ile razy słyszymy: wyleczyłam nie tylko siebie, ale i moją córeczkę. Tu pewnym wyjaśnieniem mogą być niedawno opublikowane wyniki badań, które pokazują, że placebo świetnie działa nawet wtedy, gdy pacjent dobrze wie, iż nie zażywa prawdziwego leku.

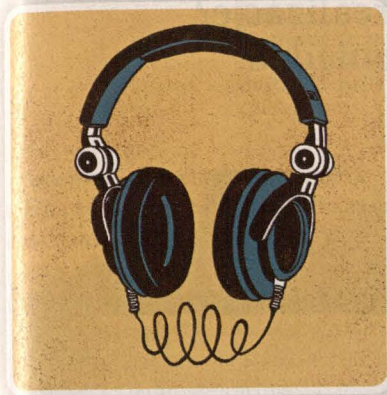
I wreszcie koronny argument: „Przecież to nie szkodzi”. No tak. Szkodzi tym, którzy homeopatią zastępują prawdziwe le-

czenie. Szkodzi też tym, którzy na niedziałający wyciąg z nieistniejącej kaczki wydają prawdziwe pieniądze.

<http://goo.gl/2W4Co>

<http://goo.gl/LGd1C>

<http://goo.gl/ZaZC9>



Mozart czyni mądrym

Nazwany efektem Mozarta szal na szpikowane płodów i noworodków muzyką poważną trwa od 1993 roku, kiedy to na łamach poważnego pisma „Nature” ukazała się niezbyt znacząca praca zatytułowana „Music and spatial task performance” („Muzyka i wyniki zadań przestrzennych”) autorstwa psycholog Frances Rauscher. Wśród kilku doświadczeń znalazło się tam i takie, w którym dzieciom puszczano jedną z sonat Mozarta, ścieżkę z muzyką relaksacyjną lub kilka minut kompletnej ciszy. Następnie badanych proszono o określenie, jak będzie wyglądała po rozłożeniu kartka, którą wcześniej złożono i przecięto w kilku miejscach. Badanie pokazało, że w tym jednym jedynym zadaniu wyniki fragmentu testu inteligencji w grupie „mozartowskiej” były o kilka punktów wyższe.

Trudno dziś określić, kto wyszedł do badania, ale media oszalały na jego punkcie. Oczywiście nikomu nie chciało się czytać nudnej pracy naukowej, więc w świat poszła informacja, że muzyka Mozarta podnosi inteligencję dzieci. Potem rozszerzono to na całą muzykę poważną i tak oto dziesięć milionów matek dręczą swoje nienarodzone jeszcze i narodzone dzieci poważnymi utworami.

Dla jasności - inne badania, między innymi przeprowadzone przez Christophera Chabrisa i Kennetha M. Steele'a, nie potwierdziły wpływu muzyki poważnej na istotny wzrost wyników w testach inteligencji. Jedyne efekty to uspokojenie dziecka. Ale działa to tylko wtedy, gdy dziecko muzykę poważną lubi.

Naturalnie słuchanie Mozarta nie szkodzi dzieciom, najwyżej je nudzi. Za to szkodzi

portfelom rodziców, którzy wydają niebagatelne kwoty na stale ukazujące się na rynku płyty mające zwiększać inteligencję ich pociech.

<http://goo.gl/JIUY4>

<http://goo.gl/vGjhs>

Bańki wysą twoje choroby

Zapewne niejeden czytelnik ma traumatyczne wspomnienia z dzieciństwa związane z tym tradycyjnym sposobem leczenia przeziębień, zapalenia płuc i innych przypadłości. Zestaw szklanych baniek, płonący patyk, gorący dotyk na plecach i efektywne siniaki robią dość wstrząsające wrażenie. Tymczasem brak jakichkolwiek naukowych dowodów na skuteczność tej metody. Jej zwolennicy tłumaczą jej działanie na trzy sposoby. Po pierwsze, drażnienie skóry na plecach ma pobudzać receptory, które poprawiają pracę narządu związanego z danym obszarem skóry. Ta koncepcja



wywodzi się z tradycyjnej medycyny chińskiej, w której wiąże się różne obszary na stopach, dłoniach czy plecach z poszczególnymi narządami ciała. Kłopot w tym, że istnienia takiego powiązania

nauka nigdy nie dowiodła. Z kolei fanom „starożytnej mądrości ludów Wschodu” przypominamy, że medycyna chińska zaleca stosowanie azbestu na niepłodność, tygrysięgo penisa na osłabienie, a suszonego ludzkiego łożyska na astmę.

Drugi sposób działania baniek ma polegać na rzekomym pobudzaniu układu odpornościowego przez wynaczynioną krew, która wypłynęła z popękanych podczas zabiegu naczyń krwionośnych. Niestety i ten sposób wydaje się pozbawiony sensu - ostatecznie ślady po bańkach to nic innego jak spore siniaki. Najzdrowsi powinni więc być ci, którzy dostali umiarkowane lanie solidnym kijem. Nie są.

I wreszcie sposób trzeci - gromadzenie się krwi powoduje napływ białych ciałek, które pomagają zwalczyć infekcję. Fakt, z krwią napływają i białe krwinki, ale gromadzą się one płytko pod skórą. Tymczasem źródło choroby, wirusy czy bakterie, tkwi znacznie głębiej, w nabłonku dróg oddechowych. Człowiek to nie skórzany worek z mazią, w której wszystko się miesza i łatwo przepływa.

Z bańkami krótko i szybko rozprawia się Amerykańskie Stowarzyszenie Raka zrzeszające ochotników i naukowców badających i leczących nowotwory (tak, nowotwory też próbuje się leczyć stawianiem baniek), dokładnie opisując na swojej stronie stawianie baniek

i podsumowując, że dostępne dowody naukowe nie wskazują, by bańki leczyły raka czy jakiegokolwiek inne choroby.

<http://goo.gl/VZrCd>

Nie farbuj włosów w ciąży

Mit popularny, a w dodatku dzięki Internetowi przeżywający drugą młodość. Wiadomo - kobieta w ciąży istotą wrażliwą jest. Jednak troska o przyszłego potomka potrafi odebrać zdolność krytycznego myślenia. Skąd wzięły się te pomysły? Może z doświadczenia, w którym

wstrzykiwaniu znacznych dawek barwnika pod skórę ciężarnych szczyrzyć powiązane z pojawianiem się u ich potomstwa



zaćmy? Brzmi groźnie, ale farbowanie to nie wstrzykiwanie, szczury to nie ludzie, a i dawki substancji są nieporównywalne. Jeśli coś może zaszkodzić kobiecie w ciąży, to długie siedzenie w jednej pozycji i źle wywietrzone pomieszczenie. No i proszę pamiętać, że dla zdrowia ciąży ogromne znaczenie ma kondycja psychiczna matki. Na przykład zadowolenie z własnego wyglądu.

Ścięte włosy odrósł grubsze i mocniejsze



Jeden z najpopularniejszych mitów skrzętnie podsycany przez producentów depilatorów i zwalczany przez wy-

twórców maszynek do golenia oraz propagowany przez ciotki, które radzą młodym matkom: „Ogól niemowlaczka na лыso, to odrósł mu zdrowsze i mocniejsze włoski!”. Otóż nie odrósł. Ten mit łatwo obalić - dłuższy, odrośnięty włos jest zwykle na końcu cieńszy i miękniejszy niż u nasady. Jeśli go zgolimy, ścięta tuż przy skórze część w przekroju wyda się grubsza i mocniejsza. A faktyczna grubość i sztywność włosa uwarunkowana jest genetycznie i wyrywanie go, wyskubywanie czy obcinanie jej nie zmieni. Dokona tego dopiero wiek - z czasem cebulki włosów słabną, włosy stają się cieńsze i słabsze. Pozostaje czekać.

Pytanie na Śniadanie

Więcej o mitach o zdrowiu w „Pytaniu na śniadanie”. Oglądaj we wtorek 22 lutego w TVP2 o 8.30-10.45

Wespół w zespół

Masz świetny pomysł, ale brakuje ci funduszy na jego realizację? W sieci tysiące osób czekają, by podarować ci swoje pieniądze

MAGDALENA TOMKOWICZ

Pewnego dnia Bill Ward skaleczył się kawałkiem szkła ukrytym w szczotce, którą oczyszczał z kurzu. Zaklął szpetnie, po czym wymyślił sprytny i bezpieczny zestaw do zmiatania. Główna innowacja – szufelka z ząbkami do oczyszczania szczotki z groźnych śmieci i uchwytem przygiętym tak, by można było ją przytrzymać stopą bez schylania się. Pomysł chwycił. Broom Groomer można dziś kupić za 12 dolarów na Quirky.com.

Na pewno nieraz pomyślałeś: „Fajnie by było, gdyby ktoś wymyślił...”. A może zamiast czekać na tego kogoś, spróbujesz zrealizować swój pomysł? Nie masz funduszy? Doprawdy, dziś to żadne usprawiedliwienie, bo w Internecie kasa leży na stronach. Choćby Quirky – fabryka pomysłów, sklep internetowy i portal społecznościowy w jednym. Firma co tydzień wypuszcza na rynek dwie nowe rzeczy wymyślone przez zarejestrowanych w serwisie użytkowników. Zgłoszenie pomysłu kosztuje 10 dolarów lub nic, jeśli pasuje do tematu, który w danym czasie promuje Quirky. Projekt musi najpierw zostać zaakceptowany i udoskonalony przez społeczność – prototyp z pewnością można ulepszyć. Potem przejmują go inżynierowie i projektanci. Jednak by trafić do fabryki, produkt musi jeszcze zebrać daną minimalną liczbę deklaracji kupna w przedsprzedaży. Jeśli pomyślnie przejdzie ten etap, autor ma zagwarantowaną niezmierną satysfakcję i 12-procentowy udział w sprzedaży. Swoją działkę dostają też osoby, które wpłynęły na ostateczny kształt produktu.

Takie działanie to kolejna odmiana trendu zwanego crowdsourcingiem. Określenie to wymyślił w 2006 roku redaktor pisma „Wired” i od tego czasu robi ono niezwykłą karierę. Crowdsourcing to wspólna twórcza akcja podejmowana przez osoby niezwiązane żadnymi trwałymi relacjami. Klasyczny już przykład to Wikipedia, ale też zbiorowe opisywanie odległych galaktyk na Galaxy Zoo. Ten sprawdzony w niekomercyjnych przedsięwzięciach sposób przenoszony jest właśnie



The Glif
– niezły pomysł na podstawkę do iPhone'a, ale przede wszystkim gigantyczny sukces promocji idei

na projekty, w których chodzi zarówno o kreatywność, jak i pieniądze.

Ludzki biznes

Kluczowe okazuje się usunięcie bariery finansowej lub braku kwalifikacji, które zwykle blokują dostęp do biznesowych czy naukowych przedsięwzięć. Jednak podjęcie się wykonania własnego pomysłu wymaga również zaangażowania i wysiłku – w ramach zasad obowiązujących w danej społeczności.

Jeśli – jak w przypadku Quirky – administrator bierze na siebie realizację projektu, masz głowę wolną od dodatkowych obciążeń, ale nie decydujesz o ostatecznym kształcie produktu. Jeżeli wolisz zrobić to po swojemu i nie boisz się odpowiedzialności, lepszym rozwiązaniem może okazać się zamieszczenie ogłoszenia w serwisie crowdfundingowym (czyli gromadzącym pieniądze od zainteresowanych osób), takim jak Kickstarter. Czy jest to film, kolekcja czcionek lub nowy dodatek do iPhone'a – jeśli w określonym przez zasady

czasie zbierzesz fundusze potrzebne na realizację pomysłu, urzeczywistnisz swój projekt. Ale cały proces – od zakontraktowania fabryki czy zebrania ekipy po dostarczenie gotowych przedmiotów udziałowcom i klientom – zostanie na twojej głowie. Co czasem może przyprawić o jej zawrót: sukces projektu Thomasa Gerharta i Dana Provosta przerósł ich najśmielsze oczekiwania. Autorzy Glifa, genialnego w swej prostocie multifunkcyjnego uchwytu do nowego iPhone'a, zebrali ponad 1300 procent (tak, tysiąc trzysta) założonej kwoty potrzebnej do uruchomienia produkcji. Zgłosili się po 10 tysięcy dolarów, zbierali ponad 137 tysięcy. Dla nich to zysk, ale i wyzwanie. W ciągu kilku tygodni z pary początkujących designerów stali się masowym producentem, co wymagało od nich przejścia ekspresowego kursu z ekonomii i międzynarodowych procedur produkcyjno-handlowych. Dali radę, rozkręcili interes i dziś, kilka miesięcy po zakończeniu kampanii na Kickstarter, Glif jest do kupienia za 20 dolarów na stronie Theglif.com.

Podobny schemat działania sprawdza się też na wyższych poziomach biznesu. Uruchomiona 1 lutego strona SeedUps.com łączy początkujących przedsiębiorców z wyspecjalizowanymi „aniołami biznesu” poszukującymi ciekawych idei. Zgłoszenie projektu na SeedUps nic nie kosztuje – wystarczy przedstawić jednostronicowy biznesplan, tak zwane Opportunity Snapshot. Podobnie jak w Quirky projekt najpierw przechodzi fazę oceny – w tym wypadku także wyceny – podczas której inwestorzy i inni uczestnicy zgłaszają uwagi i komentarze oraz sprawdzają kalkulacje pomysłodawcy. Autor może i powinien wziąć je pod uwagę, a jeśli w ciągu 180 dni uda mu się zebrać założoną w planie kwotę, ma paliwo na rozruch start-upu.

Zasady finansowania są takie same jak w normalnych przedsięwzięciach tego typu – inwestor podejmuje ryzyko finansowe za gwarantowany udział w przyszłych zyskach, ale w przypadku klapy traci pieniądze. Crowdfunding rozprasza ryzyko na wszystkich udziałowców, co zachęca do wspierania wielu różnych projektów. Co ma z tego sam SeedUps? Dostaje procent od sukcesu przedsięwzięcia.

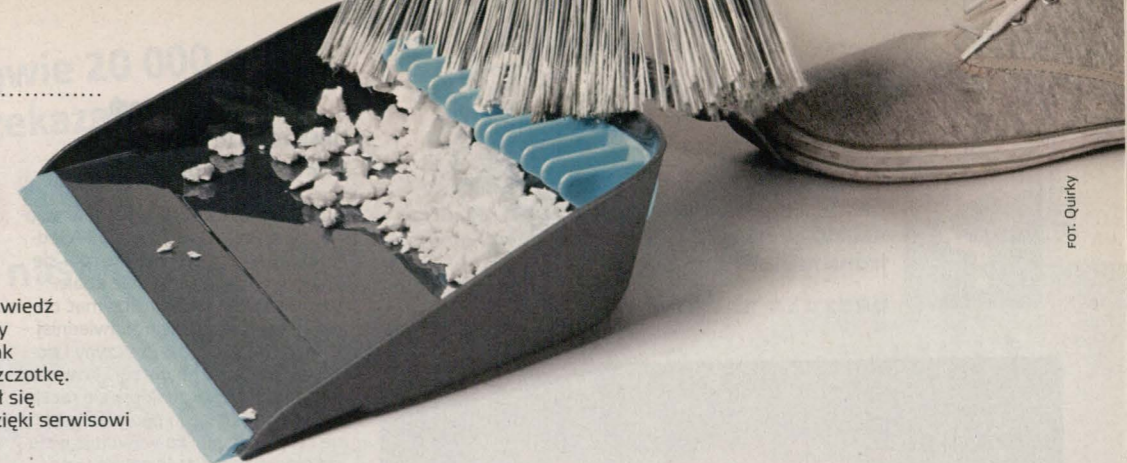
Chcę, więc mogę

Model otwartego dostępu polubił też Google. W tym roku odbywa się pierwszy Google Science Fair – międzynarodowy konkurs naukowy dla dzieci w wieku 13–18 lat zorganizowany we współpracy z wydawcami „National Geographic”, „Scientific American”, firmą

Im bardziej korzystam z iPhone'a (bim bom), tym bardziej marzną mi paluszki (bim bom). Z rękawiczkami Digits już nie marzną



FOR: QUIRKY



Broom Groomer to prosta odpowiedź na codzienny problem – jak wyczyścić szczotkę. Dla mas stał się dostępny dzięki serwisowi Quirky.com

FOR: QUIRKY

Lego oraz CERN (Europejska Organizacja Badań Jądrowych odpowiedzialna między innymi za Wielki Zderzacz Hadronów). Młodzi naukowcy dostają zgodne ze światowymi standardami wytyczne do opracowania swojego tematu oraz profesjonalne narzędzia do prowadzenia projektu i zarządzania nim na podstawie zintegrowanych aplikacji Google.

Sponsorzy i partnerzy udostępniają na stronie konkursu źródła informacji oraz kontakt do ekspertów do konsultacji. Można też obejrzeć przykładowy projekt przygotowany przez 13-letnią Tescę Fitzgerald, specjalistkę od sztucznej inteligencji (Tesca w wieku 5 lat była głównym programistą w zespole robotyki Lego League, a od 11. roku życia jest pełnoprawną studentką Portland Community College oraz Portland State University). Pewną przeszkodę może stanowić język, bo angielski jest jedynym, w jakim działa strona i w jakim przyjmowane są (do 4 kwietnia) zgłoszenia. Warto jednak się postarać, bo do wygrania jest w sumie 19 nagród, w tym główna – 50 000 dolarów stypendium od Google, staż w jednej z siedzib (do wyboru: CERN, Google, Lego lub redakcja „Scientific American”), a także wyprawa na Galapagos z ekspedycją „National Geographic”. W jury oceniającym prace zasiadają między innymi dyrektor generalny CERN Rolf-Dieter Heuer, noblista z chemii Kary Mullis, redaktor naczelna „Scientific American” Mariette DiChristina, a poza tym szefowie Google, badacze, wynalazcy, naukowcy, reporterzy „National Geographic” i nauczyciele akademicy. Skala przedsięwzięcia jest imponująca – na miarę Google, które przecież otwartość na innowację ma zapisaną w genach.

Nie bądź trendowaty

Gdzie jeszcze może się sprawdzić otwartość na wspólne myślenie? Spójrzmy na modę, dziedzinę zarówno twórczą, jak i niezwykle odporną na innowacje. Co sezon ulice metropolii zalewa nowy główny trend plus parę pomniejszych – czy nie masz wrażenia, jakby mijali cię wciąż ci sami ludzie?

Jeśli masz dobry pomysł i choć minimum talentu plastycznego, wejdź na stronę Garmz.com. Znajdziesz tam proste narzędzia i przestrzeń dla prezentacji projektów. Wrzuć szkice w dowolnej technice, zaprojektuj przynajmniej przód i tył stroju i zbieraj komentarze oraz serduszką – wyrazy uwielbienia. Nikt nie musi składać finansowych deklaracji. Jeśli ludzie pokochają twój projekt, ekipa Garmz.com skontaktuje się z tobą, by opracować prototyp. Potem tylko dreszcz oczekiwania na pierwszy egzemplarz, pierwsze wyjście we własnym wdzianku, zadowolone spojrzenia i pytania: „Gdzie to kupiłaś?”. Udziały w sprzedaży swoją drogą, ale odparcie ataku klonów – bezcenne.

W sieci istnieją, powstają i finalizują się codziennie dziesiątki nowych otwartych projektów: analitycznych, finansowych, artystycznych, modowych czy pisarskich. Jeśli nie ma jeszcze serwisu odpowiadającego twoim marzeniom, być może czas go uruchomić. Nie każdy musi tworzyć. Dla projektu równie ważne jest wsparcie merytoryczne, popularyzacja czy konstruktywna krytyka. Bo najlepszy powód do zmiany to niezadowolony z istniejącego stanu rzeczy.

Od tego warto zacząć:

www.google.com/events/sciencefair – konkurs naukowy Google dla uczniów;
www.quirky.com – fabryka pomysłów produkująca rzeczy wymyślone przez ludzi dla ludzi;
www.innocentive.com – usługi crowdconsultingowe dla korporacji, fundacji i innych instytucji;
www.kickstarter.com – serwis crowdfundingowy dla indywidualnych autorów;
www.seedups.com – platforma łącząca początkujących przedsiębiorców i wyspecjalizowanych inwestorów;
www.garmz.com – tu możesz się pobawić w kreatora mody;
www.chaordix.com – software do prowadzenia projektów crowdsourcingowych;
www.wearsmarter.org – książka społecznościowa o crowdsourcingu w biznesie;
www.dailycrowdsourcing.com – crowdsourcing zinstytucjonalizowany.

TEŻ PYTANIE



Zaskakujących pytań ciąg dalszy! Czekamy na więcej! Jeśli coś cię nurtuje, pisz na adres nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy jedną nagrodę

URSZULA DĄBROWSKA

1. Co się stanie z człowiekiem, który wpadnie do czarnej dziury?

Umrze – to mało zaskakujące. Ale jak? Czy możemy to przewidzieć? Okazuje się, że tak. Hipotetyczna osoba (kto na własne życzenie będzie się zbliżał do tego kosmicznego fenomenu?) zostaje ściśnięta po bokach i jednocześnie rozciągnięta po długości, co astrofizycy obrazowo nazywają spaghettifikacją. Jak to się dzieje? Po przekroczeniu krawędzi oddziaływania czarnej dziury (fachowo określonej horyzontem zdarzeń) obiekt jest poddawany ogromnej sile grawitacji. By wyskoczyć z tej pułapki, musiałby poruszać się w przeciwnym kierunku z prędkością większą niż prędkość światła. A to – jak wiemy dzięki Einsteinowi – w naszym

Wszechświecie jest niemożliwe. Siła przyciągania w czarnej dziurze rośnie wraz ze zbliżaniem się do jej środka, dlatego to, co wpadnie pierwsze (założmy, że w przypadku człowieka są to nogi), spada dużo szybciej niż reszta ciała. Z tego powodu jego integralność zostaje drastycznie naruszona, a mówiąc dosadniej – człowiek zostaje rozerwany. Powstałe kawałki doświadczają tego samego co całe ciało (różne przyspieszenie i rozerwanie), więc też dzielą się na dwa. Cała ta sekwencja zdarzeń postępuje wielokrotnie i błyskawicznie, aż z człowieka zostaje strumień atomów. To właśnie stąd wzięto się skojarzenie z makaronem. W końcu atomy docierają do centrum czarnej dziury. Co się tam z nimi dzieje? Nie wiadomo. Dla kogoś, kto do niej wpadnie, to rzecz nieistotna.



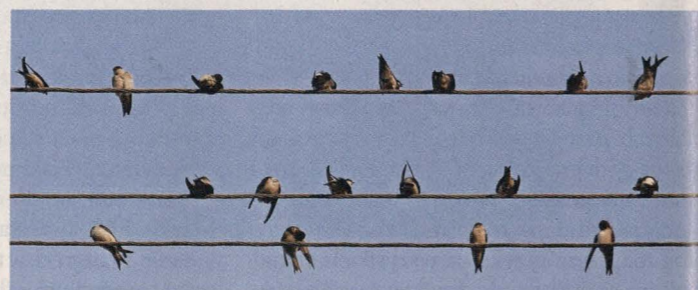
2. Kto i kiedy wymyślił papier toaletowy?

Ten sam naród, któremu zawdzięczamy zwykły papier. Jednak imienia tego, kto po raz pierwszy wpadł na pomysł, by użyć tego niegdyś bardzo cennego materiału do celów higienicznych, dziś już nie znamy. Wiemy za to, że już w V wieku naszej ery Chińczycy (głównie cesarz i najzamożniejsi dostojnicy państwa) używali go w toalecie. W tym samym czasie Europejczycy korzystali ze wszystkiego, co się dało: mchu, liści, wody, a nawet piasku. Wśród arystokracji i mieszczaństwa w gre

wchodzili też gałganki (wielokrotniego użytku!). I tak było do chwili, gdy papier utracił nimb ekskluzywności i przestał być przechowywany w rodzinie jako symbol bogactwa. Kiedy? Wraz z rozwojem prasy, czyli w XVII–XVIII wieku. Wtedy to uznano, że zamiast palić stare dzienniki czy je wyrzucać, można zrobić z nich użytek w ubikacji. Jeśli taką w ogóle się miało – w Polsce dopiero w dwudziestolecie międzywojennym premier Felicjan Sławoj Składkowski wprowadził obowiązek posiadania wychodka przy każdym domostwie na wsi. W USA już w połowie XIX wieku papier produkowano na masową skalę. W 1871 roku Amerykanin Zeth Wheeler opatentował papier toaletowy w formie rolki, i to z perforacją (wcześniej sprzedawano go w arkuszach). W Polsce masową produkcję uruchomiono przed II wojną światową. Mimo to jeszcze dziś w wielu sła-wojkach zamiast papieru toaletowego można znaleźć podartą gazetę, nie wspominając o czasach PRL, gdy był on towarem deficytowym.

3. Dlaczego kobietom jest zawsze zimniej niż mężczyznom?

Bo lepiej zarządzają ciepłem w swoim ciele. Brzmi irracjonalnie? A jednak to prawda. Kiedy tylko robi się chłodniej, krążenie w ciele kobiety zmienia się tak, by utrzymać organy wewnętrzne w odpowiedniej temperaturze. Za to kończyny i powierzchnia ciała są gorzej ukrwione, a to właśnie tam znajdują się receptory ciepła. Dlatego panie mają zimne stopy i dłonie, co wywołuje uczucie marznięcia. Część naukowców twierdzi, że natura w ten sposób stara się ochronić ciężą przed wychłodzeniem. Istnieją jednak też inne różnice między płciami, które sprawiają, że kobiety częściej odczuwają chłód. Po pierwsze, mężczyźni mają większy stosunek masy mięśniowej do reszty ciała. A to właśnie mięśnie (zaraz po wątrobie) produkują najwięcej energii w postaci ciepła. Po drugie, kobiety ubierają się w cieńsze i delikatniejsze ubrania. Wystarczy porównać: nylonowe pończochy i bawełniane skarpetki lub damskie pantofle i męskie buty. Do tego wiele pań jest ciągle na diecie, a niedobór kalorii osłabia i wychładza sam w sobie.



5. Dlaczego prąd nie kopie ptaków, które siedzą na drutach elektrycznych?

Bo po prostu omija ich ciała. Prąd, czyli uporządkowany ruch elektronów, preferuje podróż po takim nośniku, który stawia najmniejszy opór. Gdy ma do wyboru tkankę biologiczną i metalowe druty, wybiera to drugie. Skoro tak, to dlaczego poraża człowieka? Czy ludzkie ciało ma inny opór niż ptasie? Nie. Ale w przeciwieństwie do ptaków ludzie w zasadzie zawsze, gdy doty-

4. Po co nam klawisze F1–F12 na klawiaturze komputera? Przecież nikt ich nie używa

To spadek po erze pierwszych komputerów osobistych. Trudno to sobie wyobrazić, ale używano ich, zanim wprowadzono kursor i poruszającą nim myszkę. Do końca lat 70. komendy wpisywano przy użyciu literowego kodu (dziś większość z nich załatwiamy jednym kliknięciem w odpowiednim miejscu menu lub okna). W końcu informatycy doszli do wniosku, że najczęściej powtarzające się polecenia można zastąpić klawiszem na klawiaturze. To pozwoliło wprawionemu operatorowi znacznie szybciej wykonywać zadania. Do dziś doświadczeni użytkownicy potrafią za pomocą klawiszy funkcyjnych (to ich oficjalna nazwa) obsługiwać programy (tak, tak, gry to też programy) w tempie nieosiągalnym dla zwykłego śmiertelnika. A nam, laikom, cóż po tych klawiszach? Wywołanie pomocy (F1), odświeżenie strony w przeglądarce (F5), a w połączeniu z innymi klawiszami także obsługa głośności, jasności monitora, przełączanie sygnału na telewizor lub uśpienie komputera. Naprawdę pomocne.



Nasze nagrody:

Mary Roach „Byk. Pasjonujące zespolecie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa

Od 2004 roku prawie 20 000 osób zaufało nam i przekazało swój 1% podatku. Dołącz do grupy naszych przyjaciół!



Dlaczego warto przekazać nam 1% podatku?

Pomagamy niepełnosprawnym i przewlekle chorym dzieciom uwierzyć w siebie. Zachęcamy je do aktywnego życia i odkrywania własnych biegunów. Finansujemy ich rehabilitację, kupujemy sprzęt rehabilitacyjny lub protezy.

KRS 0000 133 671

FUNDACJA
Marka Kamińskiego

REHABILITUJ

1% PODATKU

www.kaminski.pl

Partnerzy Fundacji:





Berlinale: glamour i polityka

Festiwal w Berlinie nie należał do braci Coenów ani Ralpa Fiennesa, ale do wielkich nieobecnych - Michaiła Chodorkowskiego i Jafara Panahiego. Kino przegrało z polityką

MAŁGORZATA SADOWSKA, BERLIN



Skazany przez irański reżim reżyser Jafar Panahi miał zasiadać w berlińskim jury. Przez cały festiwal czekało na niego puste krzesło

Głośny dokument o Michaile Chodorkowskim i Madonna, która wpadła z wizytą. Uśmiechnięta Angela Merkel w okularach 3D na premierze „Piny” Wima Wendersa i puste krzesło w jury czekające na Jafara Panahiego. Ludzie wrzeszczący na widok ukochanych gwiazd i egipscy filmowcy świętujący rezygnację prezydenta Mubaraaka. Wenders, Herzog i Fiennes wśród setek nieznanych reżyserów z najdalszych zakątków globu. Komercyjne produkcje i skrajnie autorskie filmy w konkursie. Czerwony dywan i oddalone od Potsdamer Platz małe kina wypełnione studentami i mieszkańcami miasta. Berlinale próbuje utrzymać opinię festiwalu zaangażowanego w politykę i sprawy społeczne, a jednocześnie robi ukłon w stronę Hollywood, by dodać imprezie splendoru. Polityka i glamour z różnym efektem próbują chodzić tu w parze. Tym razem - mimo obecności Madonny - ta pierwsza była ważniejsza.

Krzesło dla Panahiego!

Madonna pojawiła się w Berlinie na chwilę, by wspomóc promocję swojego nowego reżyserskiego projektu „Filth and Wisdom”, opowieści o skandalizującym związku króla

Edwarda VIII i Wallis Simpson. Na Potsdamer Platz zabawiła krótko. Widziano ją w klubie w okolicach Alexanderplatz, podobno zaszczyliła swoją obecnością otwarcie wystawy fotografii, rysunków i instalacji Jamesa Franco (aktora, który właśnie kandyduje do Oscara za rolę w „127 godzinach”). Franco też pojawił się na czerwonym dywanie - promował w Berlinie „Howl”, gdzie gra Allena Ginsberga. Przyjechał jednak przede wszystkim z powodu swojej pierwszej europejskiej wystawy „The Dangerous Book Four Boys” w Peres Project.

Wielkie podniecenie wywołało pojawienie się w Berlinie braci Coenów, których „Prawdziwe męstwo” otwierało imprezę, ekipy konkursowego „Margin Call” z Jeremym Ironsem, Kevinem Spacey i Demi Moore czy twórców „Coriolanusa” (też w konkursie), debiutu reżyserskiego Ralpa Fiennesa, któremu towarzyszyli Vanessa Redgrave i Gerard Butler. Na konferencji prasowej obleganej tak bardzo, że mnóstwo dziennikarzy zostało pod drzwiami, ten ostatni bez końca odpowiadał na to samo pytanie: jak to jest grać w współczesnej (film nakręcono w stylistyce telewizyjnych newsów w Belgradzie) adaptacji Szekspira zamiast w komedii romantycznej? - Tak,

role myślących ludzi są dla mnie prawdziwym wyzwaniem - mówił wyraźnie poirytowany.

Wśród bohaterów Berlinale byli jednak tylko ci, którzy przyjechali, lecz także ci, którzy przyjechać nie mogli. Jak Pina Bausch, zmarła w 2009 roku genialna tancerka, o której Wim Wenders nakręcił poruszający dokument w technologii 3D. - Choć mam spore doświadczenie jako filmowiec, przy niej czułem się jak początkujący twórca. I wciąż tak się czuję - wyznał reżyser zaprzyjaźniony z artystką z Wuppertalu.

Innym nieobecny, który narobił w Berlinie sporo zamieszania, był Michaił Chodorkowski. - Po co robić film o złodzieju? - dziwił się młody człowiek w dokumencie Cyrila Tuschiemu o rosyjskim biznesmenie. Niespodziewanie „film o złodzieju” stał się jednym z najważniejszych festiwalowych wydarzeń. Mimo dodatkowego seansu zdobycie biletów na „Chodorkowskiego” graniczyło z cudem. Wszystko za sprawą kradzieży ostatecznej wersji dokumentu (wraz z komputerem) z berlińskiej pracowni reżysera 10 dni przed Berlinale. Sprawców nie odnaleziono i choć reżyser chciałby wierzyć, że za kradzieżą stoją fani sprzętu firmy Apple, nikt nie miał wątpliwości,

ż to sprawa polityczna. A sam Tuschi na wszelki wypadek opuścił swoje mieszkanie w pobliżu pracowni.

„Chodorkowski” nie przynosi żadnych rewelacji na temat najsłynniejszego więźnia politycznego w Rosji, za to przedstawia dzieje kariery i upadku oligarchy rozpisane na głosy przyjaciół, polityków, działaczy organizacji praw człowieka, byłych współpracowników i rodziny. Dokument ogląda się z zapartym

łó na reżysera skazanego przez irański rząd na 6 lat więzienia i 20 lat zakazu robienia filmów do ostatniego dnia festiwalu. On sam przysłał list, który odczytała przewodnicząca jury Isabella Rossellini: „Nie mogą zabronić mi marzyć, że metody inkwizycji i zastraszenie zostaną zastąpione przez wolność i swobodę w wyrażaniu poglądów” - napisał w nim. „Uwolnić Jafara Panahiego i Mohammada Rasoulofa” - domagał się w napisach początko-



FOT. Materiały prasowe

„Nader and Simin. A Separation” Irańczyk Asghara Farhadiego - najlepszy film festiwalu



FOT. Reuters/Forum

Kancelerz Angela Merkel w okularach 3D na pokazie „Piny”. Obok reżyser Wim Wenders

chem, o czym polscy widzowie przekonają się już w maju podczas Planete Doc. Tuschiemu udało się nawet przez kilka minut porozmawiać z bohaterem oddzielonym od niego pancerną szybą.

„Jeśli chcesz w Rosji pokazać prawdę, najlepiej nakręć film przyrodniczy” - przekonuje działacz opozycji Grigorij Jawliński. Choć pytania o Chodorkowskiego budziły w Rosji popłoch, Tuschiemu udało się pokazać coś więcej niż tylko pejzaże Syberii, gdzie bohater jego filmu odsiaduje wyrok.

Jednak to nie ten więzień polityczny został największą gwiazdą Berlinale - puste krzesło z nazwiskiem Jafara Panahiego czeka-

wych do swojego filmu turecki reżyser Seyfi Teoman (sala zareagowała oklaskami). Dziennikarze zostawiali dla Irańczyka na seansach pusty fotel, na którym kładziono kartkę z jego nazwiskiem. Na konferencjach prasowych solidarność z uwięzionym deklarował każdy, kto chciał i mógł. Uznawszy, że to ingerencja w wewnętrzne sprawy Iranu, oburzeni przedstawiciele tamtejszego ministerstwa kultury opuścili Berlin.

Nic więc dziwnego, że w tej atmosferze gwiazdą rozchwytywaną bardziej niż bracia Coenowie, Gerard Butler, Wim Wenders i Kevin Spacey razem wzięci stał się Asghar Farhadi, którego „Nader and Simin. A Separation” (do polskich kin wprowadzi go Gutek Film) uznano za bezkonkurencyjnego kandydata do Złotego Niedźwiedzia (ten numer „Przekroju” zamykaliśmy przed ogłoszeniem werdyktu). Farhadi na swój sposób padł zresztą ofiarą gwałtownego zainteresowania jego krajem, od rana do wieczora odpowiadając na pytania o los filmowców w Iranie. - Ta sytuacja wydaje się wam nowa, bo dopiero się o niej dowiadujecie - mówił. - Ale ona trwa już od 40 lat.

Kiedy zapytałam go, czy kiedykolwiek myślał o - jak choćby inny uznany irański re-

żyser Mohsen Makhmalbaf - opuszczeniu kraju, uśmiechnął się. - Myślę o tym ze trzy razy dziennie, gdy widzę, co się dzieje. Ale zasypiając, nie mam wątpliwości, że to jest moje miejsce.

W trakcie rozmowy reżyser unikał otwartych politycznych deklaracji, z czego niektórzy czynili zarzut (skoro Panahi siedzi, a Farhadi bryluje na Berlinale, to znaczy, że kolaboruje z władzą), zapominając, że produkcja „Nader and Simin” została na pewien czas wstrzymana, po tym jak jej twórca potępił publicznie izolowanie przez jego rząd niewygodnych twórców.

Bez celu

- Nie chcę, żeby moja córka dorastała w takich warunkach - mówi w pierwszej scenie bohaterka „Nader and Simin. A Separation”, która w przeciwieństwie do Farhadiego chce wyjechać z Iranu. Gdy urzędnik (spotkanie dotyczy rozwodu) pyta, jakie okoliczności ma na myśli, Simin milczy, bo nie może szczerze odpowiedzieć. Odpowiedzią jest jednak ciąg dalszy historii o dwóch rodzinach - jednej tradycyjnej i biednej, drugiej zamożnej i „nowoczesnej” - których życie rujnuje drobne kłamstwo, zmuszając je do zrzucenia masek. I wprowadza nas w sedno jednego z najpoważniejszych konfliktów współczesnego Iranu - między tradycją a modernizacją, między religią a laickością, między tradycyjnymi normami a szukaniem innych niż religia punktów odniesienia. Wybitny film zdobywcy Srebrnego Niedźwiedzia w 2009 roku za „Co wiesz o Elly?” nie miał w konkursie godnych przeciwników. Jako jedyny mistrzowsko połączył politykę i sztukę, jako jedyny po pokazie i na konferencji dostał gromkie owacje. Reszta, z drobnymi wyjątkami, przyjęta była chłodno.

Nieprzeniknione wydają się kryteria, jakimi kierują się berlińscy selekcyonerzy, umieszczając w konkursie filmy co najwyżej przeciętne. Z jednej strony widać coraz większy kłopot Berlinale ze zgromadzeniem premierowych tytułów, wiele z nich przywędrowało tu choćby z Sundance i rosnącego w siłę Toronto. Z drugiej - o pojawieniu się w konkursie części decydują kryteria tematyczne, a nie artystyczne (kryzys finansowy, rozliczenie z argentyńską juntą, wojna w Kongu, Czarnobyl, poszukiwanie źródeł niemieckiego terroryzmu z lat 70. etc.).

„Tam nic się nie dzieje, przysięgam” - deklaruje sprzedawca książek bohaterowi argentyńskiego „A Mysterious World”. „I bardzo do brze, kto powiedział, że coś musi się dziać!” - dorzuca znajomy bohatera. Te słowa →

Gotowi na coś większego

To naturalne, że niezależna muzyka przenika do głównego nurtu – mówi **SCOTT DEVENDORF** z rosnącej w siłę grupy The National, którą zobaczymy na koncertach w Krakowie i Warszawie

ROZMAWIA MARIUSZ HERMA

Henryk Mikołaj Górecki był dla was aż tak ważny? Podczas występu na ubiegłorocznym katowickim Ars Cameralis wykonałście na jego cześć improwizację.

– To był pomysł Bryce'a Dessnera, naszego gitarzysty, który jest klasycznie wykształconym muzykiem i fanem Góreckiego. O śmierci waszego kompozytora dowiedzieliśmy się w Katowicach podczas próby. Bryce od razu zaproponował, abyśmy zagraли coś w duchu Góreckiego. To był nasz mały hołd dla wielkiego twórcy.

Wasza muzyka wymaga dyscypliny. Często urządzacie sobie takie spontaniczne wycieczki?

– Okazjonalnie. Tylko wtedy, gdy coś nas poruszy. Wówczas jednak nie było dyskusji, należało uczcić tę postać.

Spóźniona kariera Góreckiego kojarzy mi się z waszą: dopiero w 2010 roku odkrył was niespodziewanie „Billboard” i inne media głównego nurtu. Tak sobie myślę, że to powinno się zdarzyć sześć lat temu, po premierze fenomenalnej płyty „Alligator”.

– Cud, że w ogóle się zdarzyło! To nawet zabawne, gdy po dekadzie grania określa się nas mianem *new band*. Są nawet tacy, którzy „High Violet”, czyli piąty album The National, uważają za nasz debiut! Ale pytasz pewnie o to, czy wtedy, sześć lat temu, byliśmy rozczarowani? Nie. Zaczynaliśmy od zera i nie mieliśmy żadnych ambicji komercyjnych. Cieszył nas każdy większy koncert, a „Alligator” i tak był przełomem. Przygarnęło nas Beggars Banquet, nasza pierwsza prawdziwa wytwórnia, bo od niedawna nagrywamy dla 4AD. Po-



Ich album „High Violet” rządził w rankingach płyt z ubiegłego roku. **Scott Devendorf** (bas i gitara) drugi z prawej

jawilo się sporo pozytywnych recenzji. I zagrałiśmy kilka dużych koncertów – dużych z ówczesnej perspektywy.

Obecne zamieszanie wokół The National zmienia tę perspektywę.

– I przyjmujemy to z radością. Mimo to ślamazarnie tempo budowania kariery The National miało też swoje zalety. Fani mieli czas, by nawiązać z nami trwałą relację. My z kolei okrzepiliśmy, nauczyliśmy się doceniać nawet najmniejsze sukcesy. I to zaczyna przynosić owoce.

Teraz stoicie u progu stadionowych koncertów. Przekroczycie ten próg czy po krótkiej wycieczce do świata wielkich mediów wróćcie do podziemia?

– Wszyscy się nad tym zastanawiamy (*śmiech*). Wielkie występy to dla nas wciąż abstrakcja. Aczkolwiek ostatnio podrasowaliśmy nasz show, aby miał w sobie coś z filmowej drama-

turgii i sprawiał wrażenie większego. Pilnowaliśmy przy tym, by nie zatracić intymnej atmosfery koncertów – znamy nasze atuty. Chyba rzeczywiście przygotowujemy się na coś większego. Tak na wszelki wypadek.

W ubiegłym roku listą „Billboardu” co chwila wstrząsali wykonawcy zaliczani dotąd do alternatywy: LCD Soundsystem, Arcade Fire, Vampire Weekend, MGMT, Sufjan Stevens... I wy.

– To są skutki zmiany zwyczajów całego pokolenia. Obserwujemy to od wielu lat, ale dopiero teraz jak na dłoni widać efekt. Do głosu dochodzą ludzie, którzy doskonale wiedzą, że Sufjan Stevens czy LCD Soundsystem to najciekawszy autorzy współczesnej muzyki. Dochodzi jeszcze Internet i związany z nim niekończący się strumień opinii, recenzji, dyskusji, rekomendacji w rodzaju: „Musisz to usłyszeć!”. Wystarczy zerknąć na iTunes,

by dowiedzieć się, co jest popularne w tym tygodniu czy miesiącu. Dodaj te wszystkie czynniki i okaże się naturalne, że niezależna muzyka przenika do mainstreamu. Ja nie mam z tym problemu.

A potrafisz wyjaśnić, dlaczego przełom przyniósł wam akurat „High Violet”?

– Na pierwszych dwóch płytach testowaliśmy rozmaite metody komponowania, szukaliśmy własnego brzmienia. Na kolejnych – „Alligator” i „Boxer” – byliśmy już niemal ukształtowani. „High Violet” to podsumowanie doświadczeń 10 lat. Łączy najlepsze elementy dwóch ostatnich albumów – dojrzałe aranżacje, dopracowane partie smyczków i klawiszy z surową energią pierwszych wydawnictw The National. To nasze brzmienie i kompozycyjne resumé.

W tej sytuacji odczuwacie jeszcze presję, by się zmieniać?

– Sami siebie popychamy do eksperymentów. Jednak podstawowe elementy pozostają niezmiennie, to one tworzą kręgosłup The National. Często wynika to z przyczyn obiektywnych. Na przykład baryton naszego wokalisty Matta Berningera brzmi dobrze tylko w określonych rejestrach i tempach. Matt próbuje niekiedy śpiewać wyżej lub sięga po melorecytację, ale ostatecznie wraca na utartą ścieżkę.

Podłuchujecie innych?

– Ostatnio wszyscy jesteśmy pod wrażeniem debiutu The xx. Odkryliśmy ich z pewnym poślizgiem. Nasza muzyka bywa duszna. To bardzo odświeżające usłyszeć coś tak pięknego, a jednocześnie przejrzystego, przewiewnego. A u mnie? Od wielu miesięcy dominuje elektronika, być może jako odskocznia od tego, czym zajmuję się na scenie.

A być może to element szerszego trendu? Przez dekady młodzi ludzie sięgali po gitary, kiedy zachciało im się robić muzykę – pewnie z wami było tak samo. Teraz to laptop jest pierwszym instrumentem.

– Rockowa formuła jest eksploatowana już od tak dawna, że coraz trudniej w niej o rzeczy oryginalne. Znajdź gitarę, znajdź bębniarza i piszcie piosenki – to sposób sprawdzony, ale czy nie prowadzi ciągle do tych samych rezultatów? Mała rewolucja byłaby więc mile widziana. Mnie fascynują ci wszyscy młodzi artyści programiści. Darzę szczególnym sentymentem naiwne, amatorskie podejście do tworzenia muzyki. Zapomnij o szkole muzycznej i długich godzinach spędzonych z instrumentem. Chwytaj za klawiaturę i rób muzykę.

W The National grają dwie pary braci: Dessnerowie, czyli ty i Bryce, oraz Scott i Bryan Devendorfowie. Jak to wpływa na zespół?

– Braterstwo trzyma nas razem. Każdy w naszej piątce ma zupełnie inny charakter, zwyczaj i wyobrażenia na temat tego, co dla naszej muzyki będzie najlepsze. To napięcie bywa kreatywne, ale...

No właśnie, jak wyglądają wasze kłótnie?

– Spory jednego z Dessnerów z którymś z Devendorfów pojawiają się bardzo rzadko. Częściej wybuchają konflikty na linii Dessner-Berninger [lider grupy – przyp. red.] z Devendorfem w roli sił pokojowych. Wiesz, Aaron pisze najwięcej muzyki, a Matt odpowiada za wokale i teksty. Dlatego to ich trzeba studiować, nim rozpętają poważniejszą awanturę.

Podobno wasza braterska czwórka przygotowuje szkice piosenek, następnie przekazujecie je Mattowi i cierpliwie czekacie?

– Tak. I z tego rodzą się największe kłótnie (*śmiech*). Bo zwykle jesteśmy zaskoczeni, a dużo rzadziej zadowoleni z rezultatów. A każdy przecież przywiązuje się do własnych pomysłów. Najgorzej, gdy Matt wraca z pustymi rękami i stwierdza, że w żaden sposób nie potrafił się odnieść do otrzymanego materiału. A my go oczywiście uważamy za fenomenalny.

Ile piosenek przygotowaliście z myślą o „High Violet”?

– Takich szkieców? Jakichś pół setki.

Ile przeszło przez filtr Matta?

– Oj, niespełna 20. Ale niektóre z odrzuconych partii przydały się potem w innych utworach.

W The National rządzi demokracja?

– Demokracja z pierwiastkiem autokratycznym (*śmiech*). Każdy z nas wnosi swój wkład w kompozycje i brzmienie muzyki, ale ostatecznie to Matt musi opowiedzieć się za utworem lub przeciw niemu. Jeśli stwierdzi: „Nie potrafię się w tym odnaleźć”, to przecież nie będziemy go przekonywać, że potrafi. Jego oceny nie da się pominąć. Za to my sporadycznie wetuujemy jego teksty. Prosimy o zmianę wersu lub całej zwrotki i wtedy musi posłuchać.

Autor tłumaczy wam, co miał na myśli?

– Nigdy. Nie zawsze łapiemy przesłanie jego piosenek – tym bardziej że część tekstów Matt pisze z żoną – ale ta niejednoznaczność bardzo nam odpowiada. Matt cholernie przykłada się do pisania. Wielokrotnie przerabia teksty, szuka równowagi między tym, co zrozumiałe, tajemnicze...

...a ponure.

– Przerażliwie ponure. Ale my to uwielbiamy!

The National

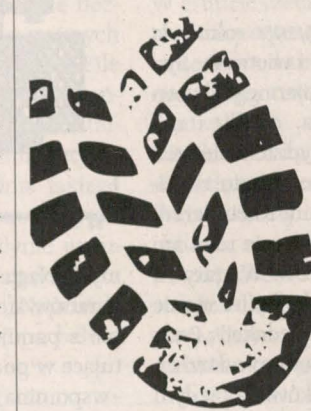
22 lutego – Studio, Kraków
24 lutego – Stodoła, Warszawa

REKLAMA



mayfly

Richardson
Samotność długodystansowca
DVD 25 lutego



O filmie
opowiada
**Robert
Gliński**

SIEDMIU SAMURAJÓW
A STATEK PŁYNIE ODLOT
BOCCACCIO '70 UKRYTA
FORTECA GINGER I FRED
SAMOTNOŚĆ DŁUGODYSTANSOWCA
GIULETTA I DUCHY ANIOŁ
ZAGŁADY NIEBIESKI PTAK
PIĘTNO ŚMIERCI WYWIAD
MIŁOŚĆ BLONDYNKI ZBŁĄKANY
PIES VIRIDIANA PIJANY ANIOŁ
JOHN I MARY NIEBO I PIEKŁO
PIES ANDALUZYJSKI TRON
WE KRWI PRÓBA ORKIESTRY
KONKURS RASHOMON
MIASTO KOBIET STRAŻ
PRZYBOCZNA OSIEM I PÓŁ
IDIOTA CZARNY PIOTRUŚ
RUDOBRODY OPOWIEŚCI
KANTERBERYSKIE SANJURO
MATNIA KES SZYMON
PUSTELNIK WSTRĘT WALKONIE
YOJIMBO SALO 120 DNI
SODOMY SKANDAL

TVP2 TVP KULTURA VOX PRZE KROJ K MAG
EXKLUSIV STOPKlatka.PL FILMBOX

Pan od ludzików

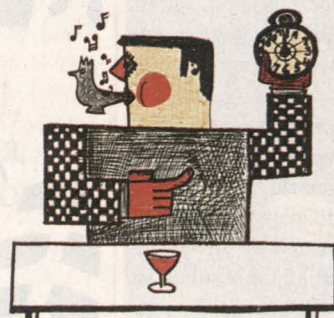
Pierwszomajowe pochody obserwował w kolorowych, pasiastych koszulkach, ubekom grywał na nosie, choć jednemu zagrał też na harmonii na weselu. Teraz my się weselimy, bo **ADAM MACEDOŃSKI**, słynny rysownik „Przekroju”, skończył 80 lat

ANNA SZULC

Zima 1955/1956 roku była mroźna i wietrzna. Syn przedwojennego lwowskiego policjanta, chudy i mizerny, kolejny tydzień siedział w skromnym mieszkaniu rodziców na krakowskim Kazimierzu. Nie mógł wyjść, bo nie miał ani płaszcza, ani butów. W starych, dziurawych nie byłby w stanie przejść w nich do redakcji „Przekroju”. A zjawiał się tam od trzech lat z plikami rysunków. Za każdym razem wychodził z niczym.

– Takie te pana postaci jakieś... nijakie – kręcili głową ówczesni graficy „Przekroju” oraz Marian Eile, twórca i wieloletni redaktor naczelny tygodnika. – W „Przekroju” chciałbyś być drukowany? – wyśmiewał się z chłopaka jego kuzyn Czesiek. – Trzeba mieć talent, by być tam drukowanym.

Ale Adam Macedoński, lat 25, niedoszły absolwent szkoły aktorskiej, Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie oraz UJ, które to szkoły z braku pieniędzy i z powodu problemów z władzą ludową zamienił na pracę pomocnika murarza, nie słuchał kuzyna. Przejął się za to radami Eilego. – Może gdybym miał więcej pieniędzy, nie przykładałbym się tak pilnie do tych rysunków? – zastanawia się dziś artysta. Pracował więc, a raczej eliminował. Odbierał postaciom cechy płciowe, a nawet nosy. Coraz bardziej upodabniał je do siebie i „ukwadratował”. W końcu kartkę papieru zapehniły rzędy kwadratowych ludzików. – Były nie tylko bez płci, ale też bez



myśli. Nagle objawiły mi się masy baranów sformatowanych zgodnie z panującą ideologią, wiwatujące w pochodach na jej cześć – wspomina Macedoński.

Inny pokój

On nie był posłuszny. Może dlatego, że pochodził ze Lwowa, z rodziny o silnych tradycjach patriotycznych, głęboko wierzącej. Albo dlatego, że pamiętał smród ciągnący się za wchodzącymi do Lwowa radzieckimi żołnierzami...

Już jako nastolatek w gimnazjum w Krakowie, do którego wraz z rodziną uciekł w czasie wojny z okupowanych Kresów, założył nielegalny oddział, który miał walczyć z Polską Ludową. Ostatecznie trafił do podziemia, do Ruchu Oporu AK. Nieraz będzie się ukrywał, na przykład w 1947 roku w trakcie aresztowania, po ucieczce, trafi w okolice Głubczyc. Tam założy zespół muzyczny. Będzie żył z przygrywania na harmonii na chrzcinach i weselach. Jego kapela stanie się na tyle sławna, że do gry na weselu córki zmusi go miejscowy szef Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Przyznając, że wie, iż muzyk się ukrywa. Od tamtej pory właściwie do upadku socja-

lizmu Adam Macedoński będzie stałym gościem w pokojach przesłuchań Służby Bezpieczeństwa. Nawet wtedy, gdy będzie grzecznie uczył się w liceum, bojkotując jedynie pierwszomajowe pochody. Z wyjątkiem jednego, na którym – wraz z kolegą Franciszkiem Starowieyskim, znanym później malarzem – zjawił się w pasiastej bluzce i kolorowej marynarce, czyli w stroju bikiniarza, żeby na przekór tłumowi skandującym „pokój” wraz z Frankiem krzyknąć „po chuj!”.

Po mroźnej zimie w 1956 roku na dworze nagle zrobiło się ciepło. Adam Macedoński mógł włożyć dziurawe buty. – To znowu pan? – pokiwała głową sekretarka „Przekroju”. Gdy wrócił po tygodniu, Marian Eile nerwowo wyprosił jakiegoś gościa z gabinetu. – Jest bardzo źle – przemknęło przez głowę Macedońskiemu. Tydzień później „Przekrój” wydrukował pierwszą serię kwadratowych ludzików.

Nie ogniem, nie mieczem

– Eile pierwszy dostrzegł w tych abstrakcyjnych ludzkich modułach talent na skalę globalną. Gdyby to były inne czasy, gdyby istniała szansa wypromowania Adama w świecie, mielibyśmy dziś zapewne w Polsce sławę na miarę takich satyryków jak gwiazda „New Yorkera” Saul Steinberg – uważa Jan Polewka, scenograf i reżyser, który Macedońskiego pamięta jeszcze z czasów, gdy rysownik miesz-



Duch niepokorny – tak przez całe lata określano Adama Macedońskiego. Dziś też nie ma w sobie nic ze statecznego seniora

kał w słynnym krakowskim Domu Literatów przy ulicy Krupniczej 22. A zamieszkał w nim w 1960 roku, w pokoju po Sławomirze Mrożku.

Pisarz właśnie przeprowadzał się do Warszawy. Tuż przed wyjazdem przechodził wzdłuż jednego z żeńskich akademików, z okna którego wypadła właśnie Adam Macedoński. Waletował w nim do czasu, gdy zbrodni nie odkryli portierzy, co zmusiło artystę do nagłej defenestracji. Bo choć był już wtedy stałym współpracownikiem „Przekroju”, stałego lokum nie miał.

Czyżem. – I który to pokój słynał z tak zwanych *fascinations* – wspomina Wojciech Plewiński, wybitny fotograf, autor 500 okładek „Przekroju”.

Na czym polegały? – Na picu wina, głośnych tańcach i śpiewach, ekscesach w towarzystwie pięknych pań, czytaniu wierszy oraz rozmowach, w które Adam Macedoński często wprowadzał wątki teologiczne – dopowiada Jan Polewka. Rysownik dumny był ze swojej wiary i zawsze jej bronił. Tak było też w 1960 roku podczas słynnej obrony krzyża w Nowej Hucie, w której brał udział. Wtedy przydała mu się... czerwona legitymacja „Przekroju”.

A było tak: Macedoński wybrał się do Nowej Huty formalnie w celu załatwienia wieczoru dla grupy poetyckiej Muszyna. Niedaleko krzyża rysownika i jego kolegów zaczęło kilku milicjantów z karabinami. Po okrzyku: „Ręce do góry!”, i pytaniu: „Co tu, kurwa, robicie?”, Adam Macedoński wyjął legitymację prasową, po czym ze stoickim spokojem wyjaśnił, że w nowohuckim domu kultury on i jego koledzy poeci prowadzili poważne rozmowy na temat wieczoru z poezją, a tak w ogóle to się spieszą, bo w redakcji właśnie zaczęło się kolegium. – W tamtych okropnych czasach „Przekrój” był dla mnie jak parasol, nawet ubecy na przesłuchaniach zwracali się do mnie grzecznie: „Panie redaktorze” – wspomina Macedoński.

Coraz bliżej polityki

Legitymacja przydała mu się znowu kilka lat później, gdy w celach artystycznych pojechał do Włoch. Miał wziąć udział w eleganckim bankiecie, ale nie miał marynarki. Okazało się, że pewien właściciel firmy odzieżowej za półdarmo sprzedaje garnitury tym, którzy należą do partii komunistycznej. Macedoński wyjął czerwoną legitymację, po czym bez przeszkód kupił marynarkę.

– Była prawie tak piękna jak te, w których przechadzali się redak-

torzy i dziennikarze „Przekroju” – zapewnia satyryk. Zastrzegając po chwili, że jego zachwyt nad szykiem „Przekrojowej” ekipy w żadnym stopniu nie dotyczy odzieży redaktora Eilego.

Macedoński przyznaje dziś, że to właśnie Eilemu zawdzięcza nie tylko rozwój późniejszej kariery (jego rysunki pojawiały się między innymi w „Tygodniku Powszechnym”, „Szpilkach”, „Dokoła Świata” oraz w wielu prestiżowych zagranicznych pismach), ale też względne poczucie bezpieczeństwa mimo nieustannych konfliktów z władzą. Kiedyś Eile pojechał w sprawie Macedońskiego do Warszawy. – Musiał tłumaczyć się przed jakimiś kacykami, dlaczego zatrudnia takiego wroga ludu – uśmiecha się artysta. Po powrocie Eile jedynie wzruszył ramionami, po czym sentencjonalnie zauważył: „Naprawdę trudno jest żeglować po bałwanach socjalizmu”.

A potem, od 1969 roku, nie było już w „Przekroju” jego założyciela. Macedoński wciąż, z małymi przerwami, rysował i angażował się w politykę. Współpracował z KOR, zakładał KPN i Instytut Katyński (przez wiele lat nagłaśniał zbrodnię katyńską, jego wujek zginął w Starobielsku). – Czuliśmy w nim niezłomność i wierność ideałom – mówi Mieczysław Czuma, naczelny „Przekroju” w latach 1973–2000. – W wielu kwestiach mogliśmy się bardzo różnić. W gruncie rzeczy jednak jego artystyczny sprzeciw wobec społeczeństwa zunifikowanego, pozbawionego tożsamości był nam bardzo bliski.

Wolna Polska Macedońskiemu się podoba, ale nie bez zastrzeżeń. Wciąż szerzy chrześcijaństwo, choć nie został Bożym rycerzem, a tuż przed 80. urodzinami został dziadkiem bliźniaków. Nadal pisze wiersze i rysuje. I nadal śpiewa lwowskie piosenki. ●

REKLAMA

80. urodziny Thomasa Bernharda w Łodzi i Warszawie

ŁÓDŹ

22 lutego (wtorek), godz. 18:00

Teatr Nowy im. K. Dejmka w Łodzi, ul. Zachodnia 93

Dyskusja z udziałem Marka Kędzierskiego i Sławy Lisieckiej

WARSZAWA

24 lutego (czwartek), godz. 10:00, BUW, ul. Dobra 56/66

Otwarcie wystawy Thomas Bernhard – Fotografie ze spuścizny

Własność: Thomas Bernhard Privatstiftung

Wystawa czynna do 17 marca.

Godz. 18:00, Austriackie Forum Kultury, ul. Próżna 8

Wieczór literacki

Prezentacja książek Autobiografie (Czarne) i Spotkanie. Rozmowy z Kristą

Fleischmann (PIW), obie w przekładzie Sławy Lisieckiej

Prowadzenie: Adam Lipszyc (PAN) i Karolina Wigura (UW)

Udział: Sława Lisiecka, Agata Barełkowska i Marek Kędzierski

Organizatorzy: Austriackie Forum Kultury w Warszawie, Czarne, PIW, Teatr Nowy w Łodzi, Instytut Germanistyki UW

Partnerzy: SW Czytelnik, Polonia Palace Hotel, Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie

Pełen program: www.czarne.com.pl; www.austria.org.pl

Patronat medialny:

dwójka
POLSKIE RADIO

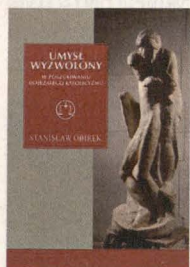
KULTURA
LIBERALNA

PRZE
KRÓJ

Rydzyk to nie problem



ZE STANISŁAWEM
OBIRKIEM
ROZMAWIA
MAREK ZAJĄC



Stanisław Obirek

54 lata, teolog, historyk, antropolog kultury. Studiował filologię polską, teologię i filozofię w Krakowie, Neapolu i Rzymie. Habilitował się na Wydziale Historycznym UJ. W 1976 roku wstąpił do jezuitów. Zastąpił zaangażowaniem w dialog z niewierzącymi i między religiami. Nie unikał krytycznych wypowiedzi dotyczących Kościoła i pontyfikatu Jana Pawła II, za co był karany przez przełożonych na przykład zakazem kontaktów z mediami. W 2005 roku wystąpił z zakonu, obecnie jest profesorem na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego. Powody swojego odejścia z szeregu jezuitów wyjaśnił w wywiadzie rzece „Przed Bogiem” (rozmowę przeprowadził Andrzej Brzezicki i Jarosław Makowski). Wydał też między innymi „Co nas łączy? Dialog z niewierzącymi”, „Obrzeża katolicyzmu” i „Między wiarą a Kościołem” (wspólnie z Krzysztofem Doroszem). W lutym do księgarń trafił „Umysł wyzwolony. W poszukiwaniu dojrzałego katolicyzmu”.

O tym, czy w drodze do „katolicyzmu dojrzałego” nie zagubi się „katolicyzmu w ogóle”, oraz o dwuznacznym dziedzictwie polskiego papieża mówi były jezuita **STANISŁAW OBIREK**

Naprawdę nie możecie sobie odpuścić z tym katolicyzmem?

– My, czyli kto?

Pan, który odszedł od jezuitów, związał się z kobietą, a teraz wydał książkę „Umysł wyzwolony. W poszukiwaniu dojrzałego katolicyzmu”.

Tomasz Węclawski, jeden z czołowych polskich teologów, który zmienił nazwisko na Polak, dokonał apostazji i nadal zajmuje się kwestiami religijnymi. Albo Tadeusz Bartoś, który opuścił dominikanów, ale wciąż sporo pisze o Kościele. Po co? I – dodadzą złośliwi – jakim prawem?

– Skoro przywołał pan Tomasza Polaka, posłużę się jego słowami. Kiedyś moja żona zapytała go, dlaczego ateista zajmuje się Jezusem. Odpowiedział: „Bo ja się na tym znam”. I to jest też moja odpowiedź. W przypadku innych książek, które piszę, muszę wykonać znużającą robotę archiwalną. Kiedy pisałem „Umysł wyzwolony”, chodziło po prostu o sporą część mego życia. I niby dlaczego miałbym milczeć, skoro i tak mamy kłeskę urodzaju ekspertów od katolicyzmu, zwłaszcza księży i biskupów, którzy opowiadają rzeczy niemądre? Wie pan, ja naprawdę nie widzę powodu, żeby się odciąć od przeszłości; żeby jak wspomniany Tomasz Polak zmieniać nazwisko, aby nie być kojarzonym z poprzednim wcieleniem. Mam też argument praktyczny: wśród licznych rekordów, które ostatnio bije nasz Kościół, jest między innymi taki, że najwięcej występujących księży pochodzi z Polski. Oczywiście dzieje się tak dlatego, że w naszym kraju jest dużo duchownych. Ale pojawia się pytanie, czy my, eksi, mamy przestać istnieć w sensie socjologicznym, jako odrębna grupa, czy też mamy prawo się wypowiadać jako ci, którzy mają za sobą ważne doświadczenia? Czy studia przez nas ukończone na nic się nikomu nie przydadzą? Jestem pewien, że moje publikacje wcale nie muszą Kościołowi szkodzić.

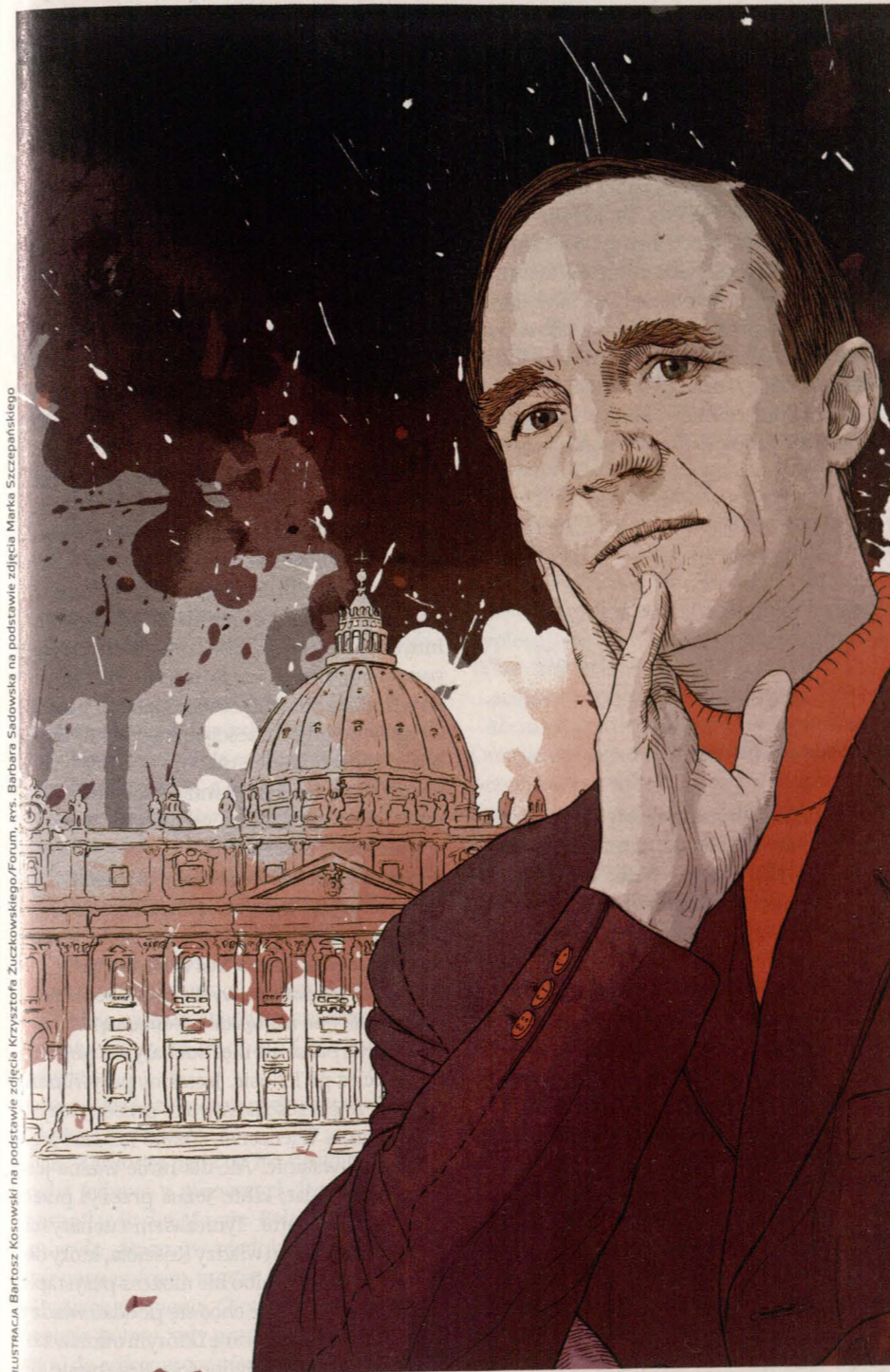
Pan chce pouczyć biskupów, czym jest prawdziwy katolicyzm?

– Nie, nie mam pretensji, by dyktować biskupom, co mają robić. Mam jednak tyle wiedzy, że mogę zaproponować własny sposób przeżywania katolicyzmu.

Bo pan na własnej skórze doświadczył, czym jest umysł zniewolony, a czym jego wyzwolenie?

– Pisząc słynną książkę o umyśle zniewolonym, Miłosz przyznawał, że wchodząc w służbę PRL, musiał się przełamywać. Decydował wbrew sobie, w przekonaniu, że wybiera mniejsze zło. Mnie, gdy wstępowałem do zakonu, nie towarzyszyły takie uczucia. To było dobrowolne. Miałem 20 lat, studiowałem polonistykę na UJ i zaliczyłem masę świeckich doświadczeń. Dlatego w swoim przypadku mówiłbym nie tyle o zniewoleniu, ile o uwikłaniu. To trochę jak w wojsku, gdy w pewnym momencie człowiek się dusi, ale chce być lojalny i głupio mu zrezygnować. Proszę zresztą pamiętać, że w 1980 roku wyjechałem z Polski, a zakon z perspektywy Rzymu widziałem w zupełnie innych barwach. Spotkałem ludzi, którzy współtworzyli ożywczy Sobór Watykański II. Nie czułem, że coś mnie zniewala. Potem jednak stykałem się z katolicyzmem w coraz większym stopniu zamkniętym na innych, a ja mam hopla na punkcie dialogu. Dziś myślę, że byłem klasycznym przypadkiem człowieka, który w kościelne struktury wszedł z wielkimi oczekiwaniami i iluzjami, ale z czasem się rozczarował. Często porównuję to do rozwodu: ludzie kiedyś się kochali i chcieli być razem na całe życie. Po latach coś się zacięło, ich drogi się rozeszły, ale potrafili rozstać się w przyjaźni. Ja z jezuitami rozstałem się przyjaźnie.

Trudno mi wierzyć, że pan – przez lata atakowany za krytyczne wypowiedzi o Kościele – nie czuł się w zakonie napiętnowany.



„Byłem przypadkiem człowieka, który w kościelne struktury wszedł z wielkimi oczekiwaniami i iluzjami, ale z czasem się rozczarował”

STANISŁAW OBIREK

– Nie, wręcz przeciwnie. Do końca bardzo chcieli, żebym został.

I co się w takich sytuacjach słyszy od przełożonych? Wyjedź na rok za granicę i wszystko sobie przemyśl!

– Różnie się mówi. Ja mogłem wybrać. Mogłem jechać nawet do Tokio, bo zawsze miałem na to ochoty. Nastąpiło zmęczenie materiału. No i pojawiła się kobieta. Pewnie tak już jest, że gdy źle się dzieje, wtedy zjawia się druga osoba. Jako człowiek wierzący mogę powiedzieć, że Bóg mi zesłał kobietę, która wypełniła lukę. Po wystąpieniu z zakonu moja ulubiona socjolożka, profesor Hanna Świda-Ziemia, zapytała, czy kogoś mam. Powiedziałem, że tak, że się zakochałem. Odparła, że to dobrze, bo najgorsze, gdy człowiek jest sam. I wie pan, większość jezuitów też tak na to patrzy. To dobrze, mówią, że jestem sobą i nie cierpię. Naturalnie są i tacy, którzy widząc mnie, przechodzą na drugą stronę ulicy. W Krakowie mi się to zdarzało. W Warszawie – nie, może z tego powodu, że nie jestem tu znany.

Mieszkałem ponad 20 lat w Krakowie i znam tamtejszy klimat. Ale wróćmy do książki: czym jest umysł zniewolony, który pan odrzuca?

– Idę tropem Miłosza, który opisał dramatyczne losy Borowskiego, Andrzejewskiego czy Gałczyńskiego. Żaden z nich nie zdobył się na wyrwanie, wyzwolenie z systemu, który na początku wydawał się mieć dobre strony, ale koniec końców ich zniszczył. Podobnie jest z katolicyzmem zniewolonym, czyli takim, który się zatrzymuje, cofa, nie ryzykuje. W 2005 roku nie wiedziałem, czy moje wystąpienie z zakonu to dobra decyzja. Czułem tylko, że nie dam już rady. Zaryzykowałem i teraz wiem, że postąpiłem słusznie. Chciałbym, żeby ludzie wierzący zrozumieli, że mają prawo mówić swoim głosem, zamiast frustrować się w imię posłuszeństwa, tradycji, status quo. Katolicyzm niedojrzały polega na oddawaniu najważniejszych życiowych decyzji w ręce instytucji. Z kolei jego przeciwieństwo świetnie oddaje cytat otwierający moją książkę, czyli słowa papieża Innocentego III z czasów średniowiecza: „Co nie płynie z przekonania, jest grzechem, cokolwiek dzieje się wbrew sumieniu, wiedzie ku piekłu”. Nawet jeżeli wszyscy dookoła mówią ci, że jesteś grzesznikiem i heretykiem, masz działać zgodnie ze swoimi przekonaniem. Umysł zniewolony cofnie się przed takim krokiem, bo lęka się, co na to powiedzą inni, sąsiedzi, rodzina, proboszcz. Boi się ruszyć w nieznaną. →

→ **Twierdzi pan, że Kościół katolicki to instytucja totalitarna?**

- Nie chciałbym nadużywać takiego porównania. Znam ludzi, którzy w Kościele potrafią realizować swoją wolność i znaleźć prawdziwe szczęście. Jestem po prostu przekonany, że katolicyzm jest na tyle pojemny, by pomieścić różne postawy, także moją.

Czyli z tytułem książki nieco pan przesadził?

- Owszem, ale tytuł to tytuł. Może przerysowywać, ważne, by odnosił się do sedna.

Zaprasza pan czytelnika do wejścia na drogę do katolicyzmu dojrzałego. No i ma pan teraz przed sobą 31-letniego człowieka, wierzącego i praktykującego katolika. Od czego miałbym zacząć? Postawić na sumienie, a na przykład odrzucić dogmat o nieomyślności papieża?

- To nie jest takie proste. Z rangi wypowiedzi nieomyślnych papieżów korzystają rzadko, ostatni raz zdarzyło się tak w latach 50. minionego wieku. W katolicyzmie dojrzałym nie chodzi wcale o to, żeby taki dogmat natychmiast obalić, ale o to, by o nim na poważnie, swobodnie dyskutować. Dojrzały katolik wciąż powinien stawiać sobie pytania o relacje między swoim sumieniem a nauczaniem Kościoła. Weźmy in vitro: albo bezkrytycznie przyjmując słowa arcybiskupa Henryka Hosera, że polityk dopuszczający taką formę zapłodnienia popada w ekskomunikę, albo uznając postawę premiera Tuska czy prezydenta Komorowskiego, którzy zgodnie z własnym sumieniem in vitro popierają. **Kłopot w tym, że sumienie może być źle ukształtowane albo zagłuszone. Na tym świecie wiele zbrodni popełniono w zgodzie z głosem sumienia.**

- Jednocześnie nie ma pan gwarancji, że to ksiądz się nie myli. Kościół instytucjonalny - katolicki, prawosławny, protestancki - nigdy dobrowolnie nie zmieniał doktryny. Zmiany były zawsze wymuszone okolicznościami, naciskiem, krytyką. Gdy Jan Paweł II był w Niemczech, powiedział, że wielki człowiek Marcin Luter nauczył Europę czytać Biblię. A przecież Sobór Trydencki nie zostawił na tym bezbożniku suchej nitki! Dziś potrafimy spojrzeć również jako katolicy na dokonania Lutra jako na powrót do autentycznych korzeni chrześcijaństwa. Zapewniam pana, że podobnie będzie choćby z kapłaństwem kobiet. Dziś to rzecz nie do pomyślenia, za sto lat będzie oczywistością.

A jednak Kościół powinien opierać się czasem głosowi większości i bieżącym modom. Czy nie ma być znakiem sprzeciwu?

- Ale musi umieć rozmawiać. W 1968 roku Paweł VI ogłosił encyklikę „Humanae vitae”, która wbrew opiniom większości teologów i wiernych zakazywała antykoncepcji. Belgijski kardynał Godfried Danneels powiedział po latach, że ta encyklika opróżniła w jego kraju kościoły. Dlaczego? Bo ludzie poczuli się oszukani, potraktowani jak dzieci. Argument autorytetu dziadka, babci, ojca, instytucji był dobry przed wojną, ale już nie działa. Albo Kościół zda sobie z tego sprawę i zacznie z ludźmi rozmawiać, albo pójdzie w kierunku wyznaczonym przez Benedykta XVI, który twierdzi, że lepsza jest niewielka, ale wierna grupa katolików. Moja książka nie została napisana dla księży i biskupów. Wiem, że ich nie przekona, przeciwnie - będzie kamieniem zgorzienia i źródłem skandalu. Ale ja myślę

„ **Podobnie jak z oceną Lutra będzie choćby z kapłaństwem kobiet. Dziś to rzecz nie do pomyślenia, za sto lat będzie oczywistością**

STANISŁAW OBIREK

o ludziach, którzy wejdą w eksperyment. Eksperyment zaś jest taki, że traktujemy życie - a mamy tylko jedno - serio. Wychodzimy w daleką drogę i ryzykujemy, że może nie znajdziemy się wcale tam, gdzie się spodziewaliśmy znaleźć.

Pan postuluje odejście od dogmatów na rzecz etyki. Etyka może być jednak zupełnie świecka. Jeżeli mam być szczery, to podobne zasady moralne wyczytałem zarówno w Ewangelii, jak i powieści „Dola człowieka” o dzielnych rewolucjonistach. Tyle że u André Malraux nie zaspokoiliem głodu sacrum.

- Stawiając na etykę, nie musi pan wcale drzeć o sacrum. W dialogu między religiami możemy łatwo zweryfikować, czy z naszych dogmatów płynie właściwa etyka. Na przykład możemy stanąć na twardym gruncie dogmatu o stworzeniu, który jest wspólny Żydom i chrześcijanom.

Sprawa jest prosta: Bóg stworzył świat.

- Ale stworzył też człowieka na swoje podobieństwo. I tu trzeba sobie zadać pytanie, jak zdefiniujemy tego człowieka? Czy to człowiek, który przyjął nasze dogmaty i dyscyplinę naszego Kościoła, czy może człowiek w ogóle? Proszę mnie zrozumieć: ja nie walczę z dogmatami, ale z tym, czego w imię dogma-

tów ludzie Kościoła się dopuszczali. Bo zapominali, że dogmat nie może być ważniejszy niż etyka.

I tu dochodzimy do miejsca, gdzie już naprawdę muszą pana opuścić w drodze do katolicyzmu dojrzałego. Bo pan z dystansem traktuje boskość Jezusa. Dla mnie to o jeden most za daleko.

- To nie jest moja fanaberia. W książce próbuję tylko powiedzieć, że wszystko byłoby dobrze, gdyby dogmat o bóstwie i jedyności zbawienia w Chrystusie rodził zachowania pełne respektu dla innych. Bo przecież nie ulega wątpliwości, że Jezus był tolerancyjny i innych nie odrzucał. Tymczasem katolicyzm z reguły wyciąga z tego dogmatu wnioski przeciwne. Kto nie wierzy, że Jezus jest Bogiem, ten oddala się od prawdy, jest w pewnym sensie gorszy. Zamiast pokory pojawia się pycha, zamiast dialogu z innymi - lekceważenie. To znowu nie jest tak, że chcę obalić dogmat. Postuluję tylko jego robocze zawieszenie na użytek dialogu między religiami albo znalezienie takiego sposobu jego wyrażenia, by nie było to obraźliwe dla innych. Jakby się pan poczuł, gdyby usłyszał pan od muzułmanina: Fajny jesteś facet, szkoda tylko, że jesteś chrześcijaninem? W czasach Orygenesisa, gdy chrześcijaństwo było jeszcze blisko swoich źródeł, nikt nie miał problemu z tym, by za świętych uważać Sokratesa i Platona. Dlaczego dziś, po setkach lat, widzimy w tym zdradę doktryny?

Rozumiem pańskie stanowisko, ale nadal obawiam się, że w drodze do katolicyzmu dojrzałego zgubimy katolicyzm w ogóle. Mogę sobie wyobrazić Kościół bez wielu różnych rzeczy. Ale nie potrafię wyobrazić go sobie bez eucharystii. Pan nie tęskni za komunią?

- Zaskoczę pana, ale nie. Eucharystia pojawiła się przecież po Jezusie. Jesteśmy przywiązani do tego, że chrześcijaństwo to przede wszystkim Ostatnia Wieczerza, śmierć Jezusa i Jego zmartwychwstanie. Ale dla mnie ważne jest też ponad 30 lat, które Jezus przeżył przed tymi wydarzeniami. Tymczasem eucharystia stała się elementem władzy Kościoła, który decyduje, że możesz albo nie możesz przystąpić do komunii. A ja nie chcę się poddać władzy ludzi, których nie szanuję i którym odmawiam kontroli nad moją religijnością. Rezerwuję dla siebie inny fundament wiary, czyli osobistą więź z Jezusem. Dlatego też świadomie z eucharystii zrezygnowałem, chociaż jako kapłan, którym nie przestałem być, mógłbym sam ją sprawować, nawet prywatnie. I wiem, że niektórzy byli księża tak robią.

W „Umyśle wyzwolonym” pisze pan o swoim podwójnym doświadczeniu wyboru miłości

- w zakonie, a potem w związku z kobietą. To się uzupełnia?

- To nie są dwa bardzo różne światy. Do jezuitów wstąpiłem po pierwszym roku studiów, przedtem kilka razy się zakochałem i odkochałem. Oczywiście w zakonie pojawiał się problem celibatu. Pamiętam, jak w Niemczech przechodziłem ostatni okres formacji i dyskutowaliśmy z tamtejszymi kolegami na temat trzech ślubów zakonnych: czystości, posłuszeństwa i ubóstwa. Mówiłem wtedy, że te trzy śluby mają dla mnie znaczenie pragmatyczne; dzięki nim jestem wolny od codziennych trosk. Ale gdy zaczęło pękać posłuszeństwo, wtedy dwa pozostałe śluby też przestały być istotne. Potem, jak już mówiłem, pojawiła się kobieta. Zawsze podobały mi się kobiety i miałem dla nich wielki szacunek, ale tym razem zdałem sobie sprawę, że chcę się z nią związać. Powiedzieliśmy sobie, że niezależnie od tego, co się będzie działo, chcemy być razem. Powtarzam: widzę, że oba doświadczenia miłości są w pewnym sensie podobne. Ale to drugie doświadczenie jest na pewno w większym stopniu emocjonalnie gratyfikujące, bo chodzi o konkretną osobę.

Z „Umysłu wyzwolonego” emanuje taka właśnie pogodna akceptacja. Podkreśla pan, że realizować można się na różnych polach, także w kapłaństwie. A niektórzy zapewne spodziewali się po Obirku, że w celibacie dostrzeże źródło zniewolenia albo pedofilii.

- Większość moich przyjaciół intelektualnych - jezuitów lub teologów, jak ksiądz profesor Władysław Hryniewicz. Gdy napiszę tekst dotyczący ważnych spraw, od razu go do niego wysyłam z prośbą o opinię. Bardzo się cieszę, że tacy ludzie nie zatrzasnęli za mną drzwi. Ja naprawdę wierzę, że „w domu Ojca jest mieszkań wiele”.

Piękna wizja katolicyzmu obejmującego i Obirka, i Rydzika?

- Tak. Zaskoczę pana po raz drugi, ale byłem chyba jednym z pierwszych jezuitów, który wystąpił w Radiu Maryja. Byłem nawet zaproszony do „Rozmów niedokończonych”. Dobrze wspominać mądre pytania słuchaczy dotyczące cierpienia. Ojca Rydzika poznałem dopiero potem, gdy przyjechałem z rekolekcjami do redemptorystów. Dla mnie to po prostu człowiek sukcesu menedżerskiego, ale moralnie dwuznacznego, szkodliwego dla Ewangelii.

I mimo to nie ma pan ochoty wystawić go poza katolicki nawias?

- Nie, bo problemem nie jest ojciec Rydzik. Problemem jest Kościół, który go promuje i uważa za człowieka opatrnościowego. Ale

to temat na analizy z zakresu socjologii lub patologii religii.

A na beatyfikację Jana Pawła II patrzy pan z nadzieją czy z niepokojem?

- Z dużym niepokojem. To będzie kolejna próba reanimacji katolicyzmu, który się ostatecznie skompromitował.

Nie ceni pan Jana Pawła II?

- To nie tak. W książce piszę o „dwuznacznym dziedzictwie” tego papieża. Z jednej strony miał niekwestionowane osiągnięcia na zewnątrz Kościoła, zwłaszcza w dziedzinie dialogu między religiami. Z drugiej strony Jan Paweł II hamował wiele niezbędnych dyskusji i reform wewnątrz katolicyzmu. Ale moje obawy biorą się przede wszystkim z tego, co z tą beatyfikacją zrobi nasz Kościół. Pamiętam, jak po wyborze Karola Wojtyły na papieża spotkałem kolegę z teatrologii, który powiedział: „Słuchaj, księża podnieśli głowy”.

Wtedy mnie te słowa zdziwiły, ale teraz rozumiem, że chodziło o wykorzystanie polskiego papieża do umacniania kościelnych wpływów, przejmowania rządu dusz. Mniej dyplomatycznie konstatował to wydarzenie Władysław Machejek...

...postać z biografią bardzo wątpliwą.

- Ale na pewno potrafił dosadnie wyrazić sens. Otóż po wyborze kardynała Wojtyły Machejek przyniósł do redakcji „Życia Literackiego” pół litra wódki i kawałek słoniny, pokroił, rozlał alkohol i powiedział: „No, wypijmy, bo teraz będziemy katolików w d... całować”. Boję się, że majowa beatyfikacja będzie odbierana w takich kategoriach. Wszyscy, którzy otarli się o papieża, będą teraz występować z wyzyna znajomych i kolegów błogosławionego. To nie otwarcie Jana Pawła II na inne religie będzie kołem zamachowym jego kultu, ale prząsny polski katolicyzm - propagowany jako ten, który wydał najwybitniejszego syna naszej ziemi.

Pan się czasem modli?

- Mam bardzo mocne nawyki z zakonu. Ale nie chodzi tu o wysiadanie w ławce w kościele, ale o wyciszenie, kontemplację. W seminarium trzeba było codziennie odmawiać różaniec. Kiedy w nowicjacie powiedziałem, że mnie to strasznie nudzi, usłyszałem, że bym odmawiał przez pół godziny jedno „Zdrowaś Maryjo” i też będzie dobrze. Dziś modłę się właśnie tak - zatrzymuję myśli. Mam wtedy świadomość własnej skończoności. Tego, że poza mną jest coś, czego nie rozumiem. ●

chilli ZET
nastaw się na chill out

Chilli ZET.
Radio w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

REKLAMA

OPERA KRAKOWSKA

rodzenna opowieść
muzyczna

Steven Markwick
Mały Lord

na podstawie powieści
Frances Hodgson Burnett



światowa
premiera
12 III 2011

13, 15, 18, 19, 20 marca
oraz 27, 28, 29, 31 maja

reżyseria
Janusz Szydłowski

OPERA KRAKOWSKA
ul. Lubicz 48, 31-512 Kraków

Rezerwacja: tel. +48 12 296 62 62 (63)
fax +48 12 296 62 68
e-mail: bilety@opera.krakow.pl

www.opera.krakow.pl

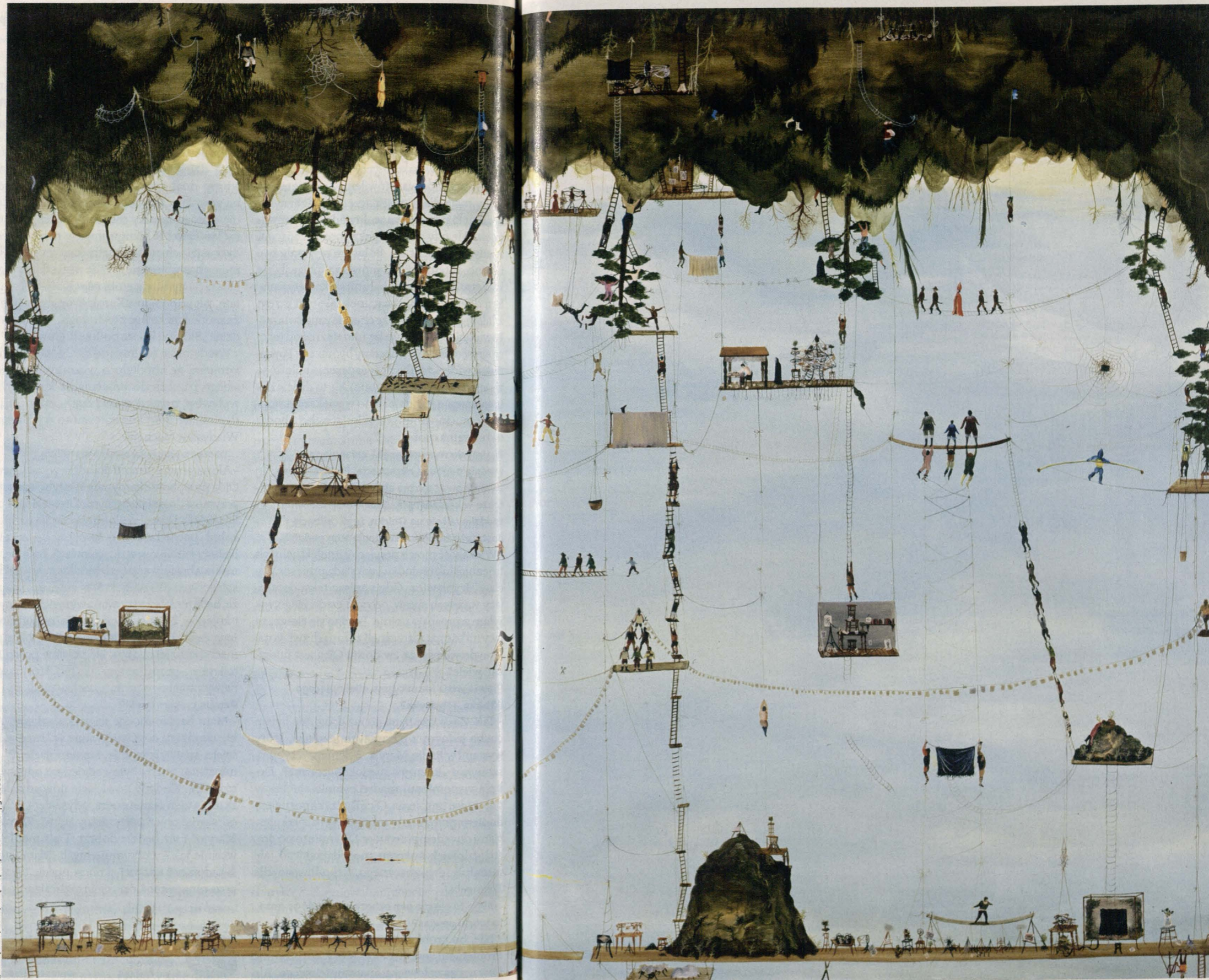
Teatr na płótnie

Tomasz Kowalski ma 27 lat, kontrakt z dobrą zachodnią galerią, status malarskiej gwiazdy młodego pokolenia i niespożyta energia: maluje, robi instalacje, bawi się w muzyka

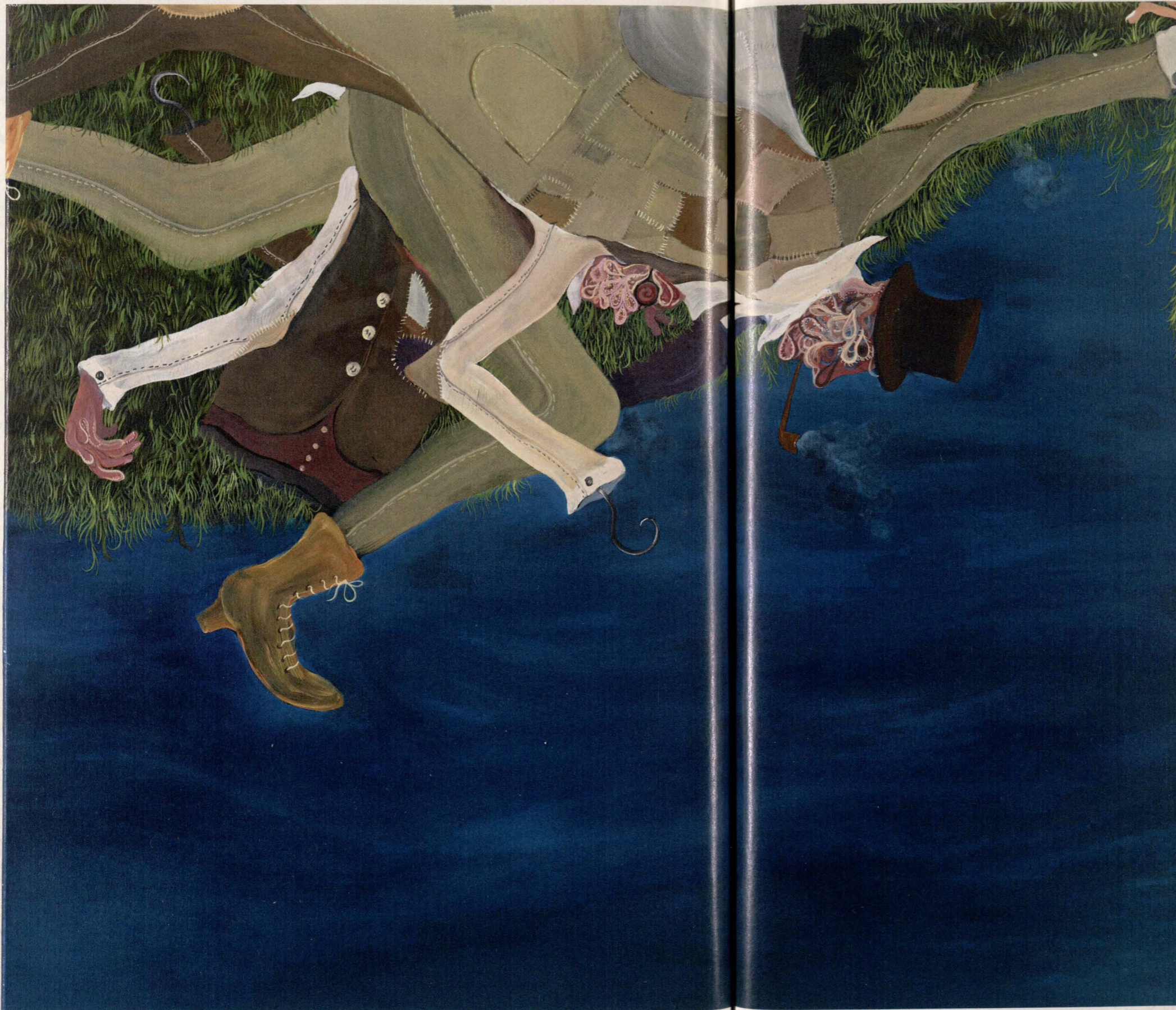
JACEK TOMCZUK

Na scenie artystycznej pojawił się jako malarz otwarcie staromodny, którego żywiołem jest przeszłość sztuki, a nie teraźniejszość. Jego płótna zdają się pochodzić z innej epoki. Tomasz Kowalski wciąga widza w labirynt historycznych tropów, w których brzmia echa XVII-wiecznych Holendrów i manierystycznych kaprysów, symbolizmu Hieronima Boscha i Witolda Wojtkiewicza, surrealizmu i sztuki naiwnej. A w pracach pokazywanych właśnie w Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie nawiązuje do konwencji dawnego Teatru Telewizji i wizualności „wczesnej telewizji” z lat 50. i 60. Katalog inspiracji zdaje się nie mieć końca, ale nie o wyławianie nazwisk tu chodzi. Kowalski inwestuje w element we współczesnej sztuce mocno zaniedbany – wizualność. To opowieść o dzisiejszej wyobraźni, która karmi się różnymi obrazami i od której nikt nie wymaga konsekwencji. – Myślę, że te odniesienia są najciekawszym wątkiem jego twórczości. Ma znakomite wyczucie konwencji. Odrywa i reanimuje tamtą estetykę, zamykając ją w postmodernistycznym nawiasie – mówi Dawid Radziszewski, kurator jego poprzednich wystaw. →

„Bez tytułu”, 2006, dzięki uprzejmości carlier | gebauer



– Moje prace są bardzo literackie, groteskowe, to rodzaj pułapki na widza. Bardzo lubię „Mistrza i Małgorzatę”, może dlatego mam słabość do estetyki snu – mówi Tomasz Kowalski



- Do tego, co robię, doprowadziły mnie koszmary senne. W pewnym momencie zacząłem odtwarzać swoje sny niczym scenografię - zdradza Kowalski

„Bez tytułu”, 2008, dzięki uprzejmości carlier | gebauer



„Bez tytułu”, 2008, dzięki uprzejmości carlier | gebauer

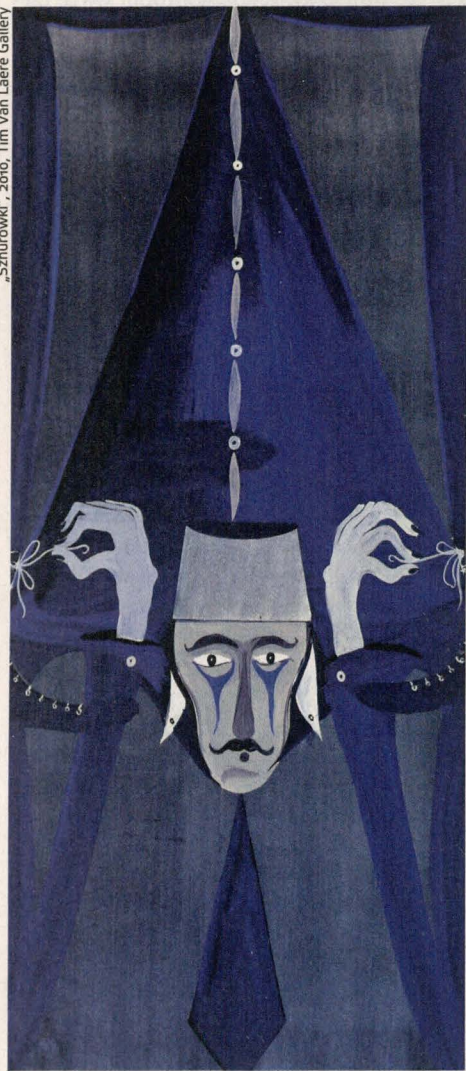
- Nie czuję się jedynie malarzem. Z czasem to, co występuje na obrazach, zaczęło funkcjonować jako niezależny obiekt, rekwizyt. Obraz jawi się wtedy jako projekt teatralnego spektaklu - mówi Kowalski

→ Właściwie nie miał wyboru, musiał zostać malarzem. Malują jego babcia i tata, a mama robi instalacje z tkanin. - Wychowałem się w pracowni. Rodzice robili swoje rzeczy, a ja oglądałem albumy. Gdy dziś wspomniam dzieciństwo, to James Ensor miesza mi się z opowieściami braci Grimm, Hieronim Bosch z japońskimi bajkami ogladanymi w telewizji, a Tadeusz Kantor z „Plastusiowym pamiętnikiem”. Najbardziej podobały mi się obrazy protorenesansowe - płaskie, z dziwną perspektywą, przypominające komiksy. W końcu zacząłem je przerysowywać - wspomina Kowalski. - To przywiązanie do starej sztuki jest już we mnie bezwiedne. Kiedyś malowałem obrazy i starałem się je postarzać, używając tanich efektów - laserunku, palety barw, która dawała wrażenie starego, poczerńiałego malarstwa. A teraz maluję, jak mi się wydaje, świeżym żółtym kolorem, jakiego kiedyś bym nie użył, ale i tak to wygląda jak plakat z lat 50. XX wieku.

Tomasz Kowalski to beneficjent mody na malarstwo. Na Zachodzie Charles Saatchi, mistrz reklamy i wpływowi kolekcjoner, cyklem wystaw „Triumf malarstwa” sprawił, że kładzenie farby na płótno znowu stało się sexy. W Polsce sukcesy artystyczne i finansowe Wilhelma Sasnala działały na wyobraźnię. Pracownicy galerii i kolekcjonerzy zaczęli szukać młodych talentów, ceny obrazów rosły niczym ceny artykułów w sklepach na początku lat 90. →

„Te naciski galerii na artystów są mitologizowane. Przecież nawet galerzyści wiedzą, że skończyłoby się to konfliktem lub „produkcyjniakami”

TOMASZ KOWALSKI



1. Najnowsze prace Kowalskiego przypominają plakaty do nieistniejących spektakli 2. Zabawa z mistrzami – to ona przyniosła twórcy uznanie. Tym razem z Pieterem Breughlem i jego „Pejzażem zimowym z łyżwiarzami i pułapką na ptaki” 3. Mężczyzna w kapeluszu i długich butach – jeden z ulubionych bohaterów malarza 4. Senna atmosfera Szczepreszyna – idealna scenografia obrazów Kowalskiego



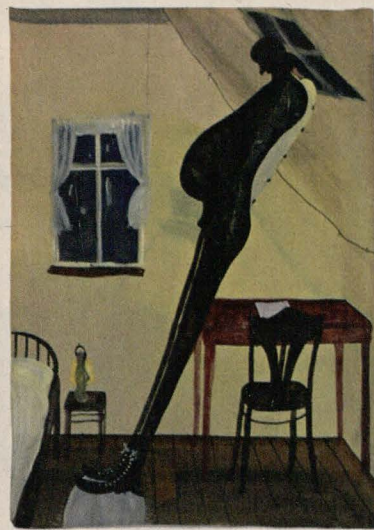
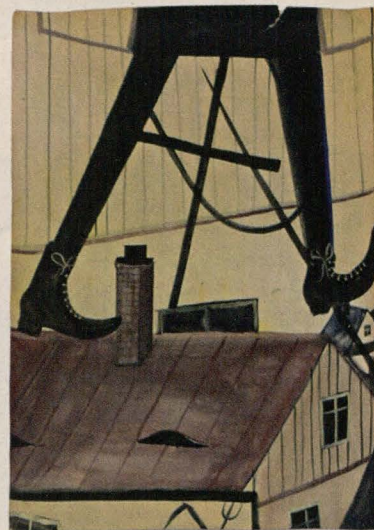
→ Kowalski pierwszą wystawę zrobił już na trzecim roku Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Był rok 2006. Kolekcjonerzy dopisali, ale do artysty nie zgłosiła się żadna galeria. Jego stylizowane obrazy nijak miały się do tego, co wtedy było modne. Przede wszystkim nie miały w sobie potencjału krytycznego wobec rzeczywistości. – Tomasz Kowalski czy Jakub Julian Ziółkowski, który debiutował rok wcześniej, nie proponują żadnego konkretnego przekazu w rodzaju „kapitalizm jest zły”. Ich w ogóle nie interesują takie tematy, dla nich liczy się tylko wyobraźnia. Kiedyś Tomek opowiadał mi, że w jego rodzinnym Szczepreszynie ludzie noszą kurtki nie na guziki, ale na agrafki. I on w tych agrafkach zobaczył piękny obraz, jakies czary, powrót do historii. W ogóle nie miał odruchu artysty krytycznego, który by

szukał przyczyn zacofania – opowiada krytyk Jakub Banasiak, który jako pierwszy nazwał Kowalskiego i podobnych do niego artystów z jego pokolenia „nowymi nadrealistami”. Zagubienie rodzimych galerzystów wykorzystali inni. Polscy kolekcjonerzy robiący zakupy w galerii Carlier Gebauer pokazali tam w 2007 roku katalog Kowalskiego. Parę tygodni później wysłannik z Berlina był już w krakowskiej pracowni artysty, który na czwartym roku studiów związał się z galerią reprezentującą takie gwiazdy jak laureat Nagrody Turnera Mark Wallinger czy Paul Graham. Fakt, że od razu trafił na Zachód, świadczy o naszym środowisku i jego preferencjach. Z jednej strony sztuka krytyczna, Artur Żmijewski, Paweł Althamer, z drugiej ciągle szukanie kolejnego Sasnala. Nikt nie miał głowy do takich freaków

jak Kowalski. Łatwiej było mu się przebić na Zachodzie niż w Polsce. Zresztą otrzymał błogosławieństwo właśnie od Sasnala. Kiedyś w Krakowie przenosił z kolegą wielki obraz, by go zapakować i wysłać do Berlina. Szli ulicą, gdy zatrzymał się samochód, z którego wysiadł Sasnal i pogratulował Kowalskiemu tak dobrego obrazu. Dziś Kowalski to artysta wędrujący: Szczepreszyn, Kraków, Berlin. – Ale nie spełniam się artystycznie w wjazdach na stypendia. Nie potrafię podróżować i pracować. Owszem, zbieram pomysły, ale potem i tak wracam do Szczepreszyna i pracuję u siebie. Lubię to miasteczko żyjące przeszłością, tam ludzie wciąż wykopują przedmioty z II wojny światowej, wszyscy są starzy, jest mnóstwo melin, ludzie w piżamach uciekają ze szpitala, by wypić

wino pod kioskiem. Wiem, że brzmi to nie najlepiej, ale klimat destrukcji, gdzie wszystko jest dozwolone, bo życie jest ciężkie, można tylko pić i brać narkotyki, naprawdę jest inspirujący – zapewnia Kowalski. – Pierwszy sprzedany obraz to widok Lublina, który podpisała moja babcia i sprzedała w sklepie z pamiątkami. Miałem 13 lat – wspomina Kowalski, który dziś mówi o sobie: „artysta, którego stać na farby”. – Pieniądze przydają się, bo ostatnio robię coraz więcej instalacji z drutu, tkanin, nie muszę liczyć na galerię, sam to sobie finansuję. Pieniądze wydaje też na płyty, zbiera oryginalne analogi z muzyką poważną z lat 60. i 70. – Lubię Horatiu Rădulescu: ciekawy kompozytor, mało pisał, to głównie takie magmy dźwiękowe, inspirująca muzyka – Kowalski ożywia

się, mówiąc o rumuńskim twórcy. – Niedawno kupiłem na aukcji płytę, ale dotarła do mnie złamana, skleiliśmy, ale nie da się tego słuchać, co sekundę trzask. Zresztą ze swoją dziewczyną tworzy okazjonalny duet Anna Dymna Ensemble, udziela się też w warszawskim So Quiet, projekcie Tomasza Bienia. – Kiedy zaczęliśmy grać, od razu poczułem, że gram z malarzem. Oczywiście nuty nie wchodzi w grę, ale ma wyczuć barwy dźwięku, nastroju – opowiada Bień. – Dwa razy występowaliśmy nawet razem na żywo, dawał radę na laptopach i jakichś przeszkadzajkach. Wystawę Tomasza Kowalskiego „Kominiarz na dachu świata” można oglądać w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej do 10 kwietnia



REKLAMA

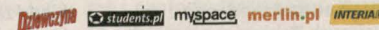
NOWY ALBUM
WHITE LIES
RITUAL

„Syndrom drugiej płyty? White Lies szczęśliwie go uniknęli. „Ritual” to rzecz równie udana jak debiut, a zarazem nadająca twórczości grupy nowy wymiar.”
Teraz Rock

„White Lies ugruntowały swoją wysoką pozycję wśród grup indie-rockowych z Wielkiej Brytanii.”
Dziennik



KONCERTY:
4 marca
POZNAŃ (Eskulap)
5 marca
WARSZAWA (Stodoła)



FILM

Bardzo dziki zachód

„Do szpiku kości” to feministyczny western z nastolatką w roli kowboja

BARTOSZ ŻURAWIECKI

Nie dziwię się, że dramat Debra Granik wygrał festiwal w Sundance i dostał cztery nominacje do Oscara, bo to film, który wzorcowo realizuje antyhollywoodzką sztukę. Zamiast amerykańskiego snu mamy amerykański koszmar. Ponurą osadę zagubioną gdzieś w górach Ozark w stanie Missouri, której mieszkańcy z twarzami „jak katalogi zbrodni” (mówiąc słowami Jacka Kaczmarekiego) to dzikie bestie. Nie uświadczymy tu ani prowincjonalnego ciepła, ani „piękna przyrody”. W tym świecie obowiązują surowe plemiennie prawa, kto zaś im się sprzeciwi, po tym słucho ginie na wieki wieków. I w ogóle brud, smród, ubóstwo oraz chłód przenikają „do szpiku kości”.

Niespodziewanie znajdzie się tutaj mądra i dzielna dziewczyna, 17-letnia Ree (nominowana do Oscara Jennifer Lawrence). Nie dość, że opiekuje się swoim młodszym rodzeństwem i chorą psychicznie matką, to jeszcze musi odszukać zaginionego ojca. Inaczej jej rodzina straci dach nad głową, gdyż kompletnie nieodpowiedzialny

tatuś parający się na co dzień produkcją narkotyków zastawił chałupę, by wyjść z aresztu. Dziewczyna napotka silny opór tubylców połączonych z mową milczenia. Będzie przepędzana, zastraszana, bita, ale nie zrezygnuje.

„Do szpiku kości” to feministyczny western z męzną nastolatką jako walczącym o sprawiedliwość kowbojem (warto porównać ten film z „Prawdliwym męstwem” braci Coenów). Nie jest więc aż tak artystycznie niezależny, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Dobrze wpisuje się w amerykańską tradycję filmową i literacką (nosi wyraźne piętno twórczości Faulknera).

Bardzo amerykański jest też finałowy promyk nadziei. Bujać to my, ale nie nas! Jeśli Ree natychmiast nie ucieknie z piekła, w którym dorasta, to za parę lat upodobni się do swoich sąsiadek. Zmieni się w szkaradne, zapijane monstrum.

„Do szpiku kości”, reż. Debra Granik, USA 2010, 100', Vivarto, premiera 25 lutego



Gdy nie ma w domu rodziców, jesteśmy niegrzeczni...
 Ree (Jennifer Lawrence) daje rodzeństwu lekcję przetrwania

Odkrywanie Ameryki

Jak przetrwać w Ozark i dlaczego Jennifer Lawrence nie powinna dostać Oscara, mówi DEBRA GRANIK, reżyserka i scenarzystka „Do szpiku kości”

ROZMAWIA MAŁGORZATA SADOWSKA

Jak zareagowałaś na wieść o oscarowych nominacjach dla „Do szpiku kości” za film, scenariusz adaptowany, rolę kobiecą i drugoplanową rolę męską? „To chyba sen!” czy: „O rany, w co ja się ubiorę?!”

– Ta wiadomość spadła na mnie w dziwnym momencie. Razem z mężem odwiedziliśmy właśnie córkę do szkoły i zaczęliśmy robić zakupy, kiedy zadzwonił ktoś z biura dystrybutora Roadside Attractions. Zare-

agowałam dokładnie tak, jak powiedziałaś, wołając: Jestem w szoku, to niemożliwe! O nie, w co ja się ubiorę?! Szczególnie cieszy mnie nominacja dla Johna Hawkesa. Najwyższy czas docenić tego aktora. Reakcja Jennifer Lawrence od początku budziła zachwyt, bardzo wcześniej zaczęto mówić o szansach na nominację. Cieszę się, widząc, jak spełnia się ten sen. Nie chciałabym, żeby Oscary zmieniły moje ży-

cie. Nadal marzę o tym, by robić skromne filmy z ludźmi, których dobrze znam.

Twój film nie jest jedyną niezależną produkcją dostrzeżoną w tym roku przez Akademię. Czy to dowód na rosnące zainteresowanie w Stanach kinem niezależnym?

– Widzowie mają coraz większy apetyt na oryginalne historie zaczerpnięte z życia, filmy bez gwiazd. A dys-



Rozważna Nic (Annette Bening) i romantyczna Julie (Julianne Moore)

Dwie mamusie i tatuś z próbówki

„Wszystko w porządku” w pół drogi między komedią a obrazkiem z życia „normalnej” rodziny

Pozornie film Lisy Cholodenko wygląda na łaskomy kasek dla obrońców moralności. Mamę dwie lesbijki, w dodatku wychowujące dzieci poczęte metodą sztucznego zapłodnienia. Jeśli jednak ktoś się spodziewa ataku na tradycyjny model rodziny, spotka go rozczarowanie. Bo obie panie Nic i Julie są w związku od wielu lat, kochają się, wychowują parę nastolatków – Laseira i Joni – z których żadne nie zaraziło się homoseksualnym wirusem. Zamiast mamy i taty są dwie mamusie, ale rodzinka jest wręcz modelowa.

I wszystkim żyje się sielsko. Przynajmniej do czasu, gdy na horyzoncie pojawi się biologiczny ojciec dzieci, wyluzowany właściciel ekologicznej restauracji Paul. Obie mamy są nieco urażone w swoich rodzicielskich am-

bicjach. Dla nich Paul to tylko dawca spermy, ale przeżywającym hormonalną burzę nastolatkom pojawia się mężczyzny służy. Do momentu, gdy tata z próbówki nie stanie się sprawcą kryzysu w związku mam.

Kryzys lesbijski też jednak okazuje się „normalny”, tym bardziej że podparty heteroseksualną zdradą. Cała anarchiczna niby-otoczka zmierza więc oswojonym szlakiem uniwersalnych norm. Co jest tyleż atutem filmu, co jego słabością. Atutem, bo Cholodenko błyskotliwie, bez pruderii pokazuje mechanikę funkcjonowania każdego, nie tylko lesbijskiego związku, każdej, a nie tylko niestan-dardowej rodziny. Słabością, bo rozpętania inności w młodym rodzinnym ciepłku. Porusza się reżyserka po gruncie pozornie śliskim, ale tak

naprawdę bezpiecznym, cały czas znajdując się po właściwej stronie politycznej poprawności i propagując wartości jak najbardziej tradycyjne.

To dążenie do oswojania wszystkiego, co inne, widać na ekranie. Na szczęście jednak udało się wszelkie kompromisy dość skutecznie zamaskować, wpisując w nie postaci nieświęte, dalekie od stereotypowych figur. W dodatku świetnie zagrane przez Julianne Moore, Marka Ruffalo i Annette Bening, która ma wreszcie szansę na Oscara. Zastężyła.

WOJTEK KALUŻYŃSKI

„Wszystko w porządku”, reż. Lisa Cholodenko, USA 2010, 106', Gutek Film, premiera 25 lutego

trybutorzy zachodzą w głowę, jak wykorzystać ów trend i nie pójść z torbami. Sama dużo zawdzięczam Roadside Attractions, bo odważyli się pokazywać „Do szpiku kości” w kinach, które dotąd nie pokazywały arthouse’owych filmów. Ich przykład zachęcił innych do podjęcia ryzyka.

Umieścilaś akcję „Do szpiku kości” w nieznanym przeciętnemu widzowi w Europie rejonie Ozark Mountains w stanie Missouri. Czym to miejsce różni się od zwykłego obrazu amerykańskiej prowincji?

– Kultura Ozark podobna jest do tej z Appalachów, jej podstawą jest samowystarczalność. Silne są lokalna sztuka i tradycja, szczególnie muzyczna. Tutejsza ziemia jest jałowa, ludzie są biedni, ale zaradni. Istnieją trzy zasady mówiące o tym, jak prze-

trwać w Ozark: Jeśli masz coś, wykorzystaj to. Jeśli się zepsuje – napraw. Albo naucz się żyć bez tego.

Z „Do szpiku kości” wynika, że jednym ze sposobów na przetrwanie jest tam produkcja metaamfetaminy. Ludzie w Ozark rzeczywiście z tego żyją?

– Ozark ma długą tradycję produkcji spirytusu, uprawiano tu także marihuanę. W latach 90. na amerykańskiej prowincji jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać podziemne wytwórnie metaamfetaminy, a Ozark stało się ważnym ośrodkiem tego „przemysłu”. Bardzo trudno pokazać taki świat, nie sugerując, że cała lokalna społeczność jest w to zamieszana. W miejscach, które odwiedziliśmy, tak nie było. No i nasza bohaterka konsekwentnie odmawia włączenia

się w ów proceder. Ludzie w Ozark mówią, że to miejsce zapomniane i zacofane. Jednak obok ogromnej biedy odkryliśmy tam wielkie bogactwo lokalnej kultury. Zresztą w Stanach jest więcej unikalnych, nieznanych społeczności. Bardzo kuszą mnie takie miejsca – jako filmowca.

Bardzo podoba mi się pomysł, by na ubraniach aktorów, na bluzach, T-shirtach, umieszczać wizerunki zwierząt. Od razu wiadomo, że mamy do czynienia z drapieżnikami...

– Pomysł z wizerunkami zwierząt nie jest mój. Kostiumografka Rebecca Hofherr i ja zauważyliśmy, że ludzie w Ozark ubierają się w ten sposób. Ubrania, które widzisz w filmie, były uszyte przez tutejszych mieszkańców na ich własny użytek.

W strasznej dolinie bez zielska

P o „Śmietniku” i „Wyjściu przez sklep z pamiątkami” do polskich kin wchodzi kolejny głośny, bo nagrodzony w Sundance dokument „Wojna Restrepo”. Jego autorzy towarzyszyli pod czas jednej zmiany w Afganistanie oddziałowi amerykańskich żołnierzy wysłanemu do doliny Korengal.

Pisząc „towarzyszyli”, nie mam na myśli siedzenia w bezpiecznej bazie, odpytywania dowódców i filmowania marines w stołówce. Hetherington i Junger wepchnęli się z kamerą w sam środek tej przedziwnej wojny. Korengal to miejsce, gdzie zginęło najwięcej amerykańskich żołnierzy. Reżyserzy uciekają od polityki, pokazują jedynie fakty: 15-osobowy oddział już na początku służby w chaotycznych strzelaninach i atakach bombowych traci ludzi, wśród nich tytułowego Restrepo. Jego imieniem żołnierze nazywają swoją nową bazę, dopiero co zdobyty, położony na skalistym wzgórzu przyczółek – kilka okopów i namiotów. Czy to rzeczywiście wielki militarny sukces? Hetherington i Junger obserwują strzelaniny, które nie mają celu, zakończone fiaskiem próby nawiązania dobrych relacji z lokalną społecznością, bezradność, gdy przychodzi rozpoznać wroga, strach i panikę. A wszystko w imię utrzymania kawałka skały nad doliną gdzieś na krańcu świata. Często słyszymy, że wojna w Afganistanie jest nieporozumieniem. Teraz możemy to zobaczyć.

MAŁGORZATA SADOWSKA

„Wojna Restrepo”, reż. Tim Hetherington, Sebastian Junger, USA 2010, 93', Mayfly, premiera 18 lutego

Jennifer Lawrence dorastała w Kentucky, czyli tak jak jej bohaterka – na amerykańskiej prowincji. Brałaś to pod uwagę, obsadzając ją?

– Jennifer zagrała wcześniej dwie duże role – w „The Poker House” i „The Burning Plain”, ale nie znałam tych filmów, gdy pojawiła się na castingu. Dialekt, którym mówią ludzie w Ozark, jest trochę podobny do tego z górskich rejonów Kentucky. W ustach Jennifer filmowe kwestie brzmiały bardzo wiarygodnie. Inne aktorki nie umiały sobie z tym poradzić.

Jak oceniasz oscarowe szanse Jennifer Lawrence?

– Chyba jest trochę za młoda na Oscara... To nie jest zdrowe, jeśli taką nagrodę dostaje ktoś, kto dopiero zaczyna!



Granik to autorka jednego z najważniejszych debiutów ostatnich lat



Walki uliczne w obiektywie Jacka Petryckiego. Czujemy się, jakbyśmy byli w środku tamtych wydarzeń

Akt oskarżenia

„Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł” to film, który mówi prawdę. Ma szansę wznieść dyskusję o winie katów Grudnia '70

JACEK WAKAR

Przepytałem znajomych o to, czy wiedzą, w jakim kierunku zmierza proces sprawców masakry na Wybrzeżu w roku 1970. Wiedzieli, że trwa, i to od lat. Ktoś wtrącił, że sprawa pewnie ulegnie przedawnieniu. Kto inny słusznie sprostował, że to akurat nam nie grozi, bo zbrodnie komunistyczne przedawnieniu nie podlegają – jako wymierzone przeciw ludzkości. Co zmienia wszystko i nie zmienia niczego. W powszechnym przekonaniu bowiem proces Grudnia 1970 nie zakończy się nigdy. Czy też, jak mówił kiedyś jeden z głównych oskarżonych, generał Wojciech Jaruzelski, zakończy się „z przyczyn biologicznych”.

I nie wydaje się, by komukolwiek to przeszkadzało. Jaruzelski ma 87 lat, Stanisław Kociołek, w słynnej piosence nazwany katem Trójmiasta, jest o dziesięć lat młodszy. Kto dziś zajmowałby się ich odpowiedzialnością, skoro większość polskiego społeczeństwa jest skłonna rozgrzeszyć Jaruzelskiego za stan wojenny, a wielu jego członków

ma generała za wzorowego polskiego patriotę. Poza tym rozliczanie najnowszej historii w ostatnich latach przypisywane jest niemal wyłącznie Instytutowi Pamięci Narodowej. Ten zaś postrzegany jest przede wszystkim nie jako placówka badawcza, ale strona w politycznym sporze.

W taki pejzaż wpisuje się „Czarny czwartek” Antoniego Krauzego. List popierający jego produkcję podpisał nieżyjący prezes IPN Janusz Kurtyka, gotowy film objął swym patronatem prezydent Bronisław Komorowski. Spodziewam się, że filmowi to nie pomoże. Podniesie się wrzawa, że oto polskie kino funduje nam kolejne narodowe rekolekcje, apel poległych albo w najlepszym razie akademii na ich cześć. Tak przecież wcześniej bywało, by wspomnieć tylko co najwyższej średniego „Prymasa” albo kuriozalnego „Popieluszka”. Wolność jest w nas”. Obraz Krauzego przez pokrewieństwo tematyczne, no i skąd oczekiwać, będzie więc z nimi porównywalny. To mu się nie przysłuży, bo mimo swych niedociągnięć (opar-

ta na stereotypach fabuła, której największą wadą jest czysto ekspozycyjna część poprzedzająca masakrę) startuje w innej, lepszej kategorii. Jeśli miałbym zestawiać „Czarny czwartek” z innym tytułem, wskazałbym tylko na „Śmierć jak kromka chleba” Kazimierza Kutza. Nie tylko – znów – ze względu na bliskość tematów. Niedoceniony po premierze film przenosi tragedię w kopalni Wujek w obszar wspólnego doświadczenia, nie tracąc nic z bolesnego opisu tamtej masakry. Stał się swoistym dopełnieniem śląskiej trylogii Kutza, przejmującym z racji pasywnego charakteru opowieści.

W dodatku trafia „Czarny czwartek” na czas ostatecznej dewaluacji zarówno pojęć, którymi zwykło się opisywać dzieła sztuki, jak i nawet najbardziej potocznych określeń. „Mocny film” – pomyślałem po seansie i od razu zrozumiałem, że to nie stosowne słowa. Nie, nie dlatego, że nie wypada mówić tak o dziele na temat narodowej tragedii. Po prostu tak opisuje się dziś często nie-

dorzeczne amerykańskie strzelanki, tylko dlatego że są, dajmy na to, „postmodernistyczne”. Tymczasem film Krauzego, nie tylko z racji tematu, przywraca kinu polskiemu powagę. I w takim tonie warto o nim rozmawiać.

Łączenie starego filmu Kutza z nowym dziełem Krauzego ma sens także dlatego, że oba programowo wyrzekają się jakichkolwiek ozdobników. Fabuła jest tu pretekstem, pierwszoplanowe postaci to nie bohaterowie pełną gębą, ale wycięte z powszechnych wyobrażeń ludzkie typy. Tyle że w „Czarnym czwartku” wiarygodność zapewniają jej nieznaną szerszej publiczności aktorzy. Reżyser wziął ich z Trójmiasta, przede wszystkim z gdańskiego Teatru Wybrzeże. Grają bez maniery, nie niosą z sobą bagażu dawnych dobrze znanych ról. Są jak ludzie z tłumu, anonimowi, a jednak chwilami w jakiś sposób bliscy. Główny bohater (szczerzy w swej prostolinijności Michał Kowalski) cieszy się nowym mieszkaniem w bloku, planuje biedne, ale godne Boże Narodzenie. Nie zajmuje go polityka. Gdy pada wezwanie Kociołka do powrotu do pracy, wstaje o 5 rano, jedzie do stoczni. Na stacji SKM trafia go przypadkowa kula. W „Czarnym czwartku” śmierć nie ma wymiaru uzasadnionej wyższym celem ofiary.

Warto oglądać ten film, zapominając na chwilę o tak zwanych artystycznych wartościach. Choćby dla brudnych gruboziarnistych zdjęć zaprawionego w takim paradokumentalnym kinie Jacka Petryckiego, dzięki którym potężne wrażenie robi rekonstrukcja samej masakry, zbrzydzone krwią sceny szpitalne i te rozgrywane się na milicyjnych posterunkach. Wreszcie marsz z ciałem Zbyszka Godlewskiego niesionym na drzwiach przez ulicę Gdyni prerażający się w milczący żałobny pochód i patriotyczną manifestację – jedyna, jak mi się wydaje, scena, która w zamyśle twórców urastała do rangi symbolu. Cała reszta podporządkowana jest bowiem zasadom jak najbardziej wiernej rekonstrukcji. I tak należy traktować cały film Krauzego.

Może podziałł on niczym akt oskarżenia przeciw na zimno zaplanowanej zbrodni ludobójstwa i w tym widzę jego znaczenie. Bo rzecz nie w tym, by Jaruzelski, Kociołek i inni resztę życia spędzili za kratkami. Rzecz w sprawiedliwym osądzie. „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł” jest ważnym głosem w tej sprawie.

„Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł”, reż. Antoni Krauze, Polska 2010, 100', Kino Świat, premiera 25 lutego

Brud za piękna fasadą

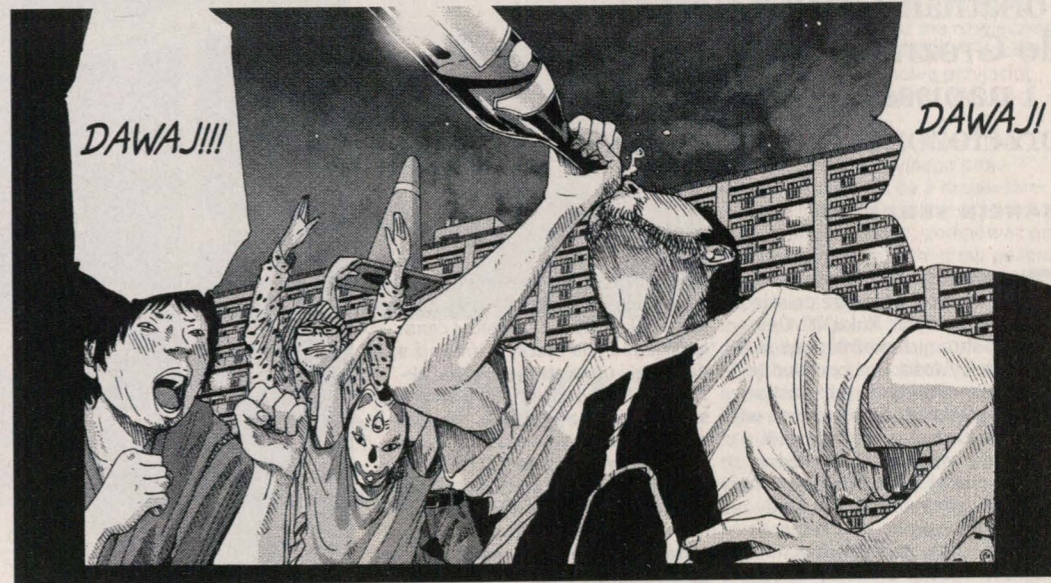
Młody Japończyk Inio Asano w „Osiedlu Promieniste” bierze pod lupę choroby społeczne swojego kraju

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

„Osiedle Promieniste” to historia blokowiska, ale zupełnie inna niż te z polskich hiphopowych kawałków. Nie ma tu wielkiej szarej płyty, ziomek stojących na klatce i emerytek wydających ostatni grosz w warzywniaku. Promieniste to enklawa japońskiej klasy średniej, ulubione miejsce tamtejszych nowobogackich. Nowoczesne budynki na pięknie nasłonecznionym wzgórzu, dookoła biegają uśmiechnięte dzieciaki. Klimat rodem z folderu dewelopera. Dobry adres. A jednak w okolicy popęła się dużo samobójstw. Zawsze zrównoważeni i zdyktowani Japończyk chowają bowiem w swoich domach obrzydliwe tajemnice.

Inio Asano nie ma złudzeń co do swych rodaków. Pokazuje, jaką cenę płać za życie pod nieustanną presją finansowego sukcesu. Pieniądze budują hierarchię. Gdy ktoś raz spadnie na dół społecznej drabiny, nie ma dla niego litości. Nikt zresztą wcale nie spodziewa się pomocy.

Najważniejsze, że mieszkańcy osiedla Promieniste do perfekcji opanowali grę pozorów. Aby przebić się przez ich codzienny kamuflaż, trzeba nie lada sprytu. Inio Asano pokazuje nam to dzięki misternie przeprowadzonej narracji. „Osiedle Promieniste” składa się bowiem z kilku opowiadań, a każde z nich pokazuje blokowisko z punktu widzenia innego mieszkańca: licealistki, ucznia podstawówki, młodej pary albo ulicznego



opryszka. Nie wszystko od razu staje się jasne, bo Asano uwielbia niedopowiedzenia. Dopiero na końcu, gdy przeczytamy wszystkie nowele, porozrzucone puzzle układają się w zwartą całość. Wtedy okazuje się, że zbudowany na początku lektury podział na „dobrych” i „złych” bohaterów nie istnieje, bo wszyscy są tak samo zepsuci. Wizerunki postaci to zresztą majstersztyk.

Podczas lektury „Osiedla Promieniste” towarzyszyło mi uczucie zazdrości. Dlaczego takie komiksy nie wychodzą spod polskich ołówków? Czy

młoda para stojąca przed perspektywą wzięcia kredytu na 30 lat nie zachowuje się nad Wisłą tak jak jej rówieśnicy w Tokio? Identyczny będzie też wyraz twarzy popadającego w obłąd bezrobotnego czy opuszczonego dziecka. Portret swojskiego blokowiska lat 90. dało nam „Osiedle Swoboda” Michała Śledzińskiego. Komiksu o polskiej klasie średniej, zabieganych ludziach na dorobku, jeszcze nie dostaliśmy.

„Osiedle Promieniste” powinni przeczytać nawet ci, którzy do mangi podchodzą z dystansem. Bez

obaw: realistyczna, czarno-biała, przystępna kreska i subtelny sposób obrazkowej narracji powodują, że komiks ten nie nosi znamion hermetyczności znanej z wielu mang.

Japończykom bezwzględnie należy pogratulować Inia Asany. Szkoda, że nie urodził się w Polsce.



Inio Asano „Osiedle Promieniste”, Hanami, Warszawa 2010, s. 216, 29 zł



Opowieści o zawadiackim Kajtku i nieco przemądrzałym Koku ukazywały się przez 14 lat. Codziennie!

Christa lakonicznie

W „Kajtku i Koku w Londynie” najciekawsze są paski komiksowe sopockiego mistrza

Kolekcjonerzy mają powody do radości, bo „Kajtek i Koko w Londynie” wydany w serii „Klasyka Polskiego Komiksu” był już niedostępny w księgarniach. Wznowiecie pozwala więc nadrobić zaległości. O ile znajdujące się w tomie dwie długie historie „Zwariowana wyspa” i „Londyński kryminal” są dość powszechnie znane, o tyle komiksowe paski Christy już nie. A do tego pokazuje, że sopocki mistrz znany głównie z serii albumów przygodowych do-

brze radził sobie także w roli satyryka. Kilkakadrowe anegdoty z cyklu „Kajtek i Koko na wakacjach” publikowane latem 1965 roku w „Wieczorze Wybrzeża” przedstawiają codzienność Trójmiasta w okresie największej inwazji wczasowiczów. Dowcip Christy jest dość subtelny, choć zdążyła się nawet szczypta erotyki. Marynarz Kajtek musi zmagać się przede wszystkim z dwiema największymi letnimi plagami PRL – brakiem towarów w sklepach

i tłokiem. Gdy pewnego dnia bohaterowie nie mogą poradzić sobie z rozłupaniem orzecha kokosowego, wybierają się na dworzec PKP. Ścisk jest tak wielki, że orzech włożony na chwilę w tłum momentalnie pęka. Jak widać, niektóre zjawiska są w Polsce ponadczasowe.

Janusz Christa „Kajtek i Koko w Londynie”, Egmont, Warszawa 2011, s. 176, 49,90 zł

SF

Littell III

Jonathan Littell pojechał do Groznego czasów normalizacji - i napisał najślabszą ze swych trzech przełożonych na język polski książek

MARCIN SENDECKI

Przecierałem oczy ze zdumienia, czytając pierwsze polskie recenzje „Czeczenii. Roku III”. Do wiedzieć się z nich można prawdziwych niezwykłości – na przykład że Littell, jako autor głośnych „Łaskawych” (bestsellera o Holocauście widzianym oczyma nazisty), posiadał wyjątkowy wgląd w tajnię międzyludzkich piekieł i dzięki temu właśnie w poruszający sposób zdaje sprawę ze swej wyprawy do Czeczenii. Albo że – to chyba najbardziej mnie zadziwiło – „snuje uniwersalną opowieść o ludzkiej naturze”, która polegać ma na tym, iż tak w III Rzeszy, jak w dzisiejszej Czeczenii „w zamian za zaspokojenie życiowych potrzeb i możliwość mieszkania wśród swoich przymykamy oczy na zbrodnię”. Szczęśliwie, chociaż tekst Littella budzi wiele innych wątpliwości, ani mu w głowie tak niemądre analogie czy tani uniwersalizm. Jeśli pokazuje coś uniwersalnego, to to, jak bardzo typowy humanitarny dyskurs jest nieadekwatny wobec złożoności czeczeńskiej i (w domyśle) każdej innej podobnie skomplikowanej sytuacji. Co do „Łaskawych” zaś, to „Czeczenia...” – napisana jako zwykła, dość chaotyczna zresztą reporterska relacja z mnóstwem cytowanych wypowiedzi rozmówców – niestety wyraźnie się psuje, kiedy tylko Littell przypomina sobie, że jest tym sławnym powieściopisarzem – jak w finale, kiedy raczy czytelnika własnym snem, który streszczać ma podobno „prawdę” o nieszczęsnym kraju.

Littell wiosną 2009 roku (w trzecim roku prezydentury młodego watażki Ramzana Kadyrowa, stąd tytuł) spędził dwa tygodnie w Czeczenii, bez przeszkód rozglądał się po okolicy, rozmawiał z wieloma ludźmi (choć nie udało mu się spotkać z samym Kadyrowem) i spisał pierwszą wersję wrażeń. Utrzymanych, sam mówi, „w tonie dosyć optymistycznym” – trwa imponująca odbudowa kraju, Rosjanie, wypuściwszy republikę Kadyrowowi w lenno, prawie się nie wtrącają, a on i jego ludzie są

wprawdzie skorumpowani do imentu, kradną i zabijają, ale zasadniczo jest spokojniej, niż bywało, i cena ludzkiego życia raczej rośnie, niż spada. Dzięki umiejętnej polityce także dawni antyrosyjscy bojownicy masowo wracają z emigracji, schodzą z gór i przyłączają się do hołdującego Kremlowi prezydenta. Relacjonując to wszystko na podstawie wersji drugiej, ostatecznie wydanej, ponoć mniej optymistycznej, która powstała, gdy Littell już poza Czeczenią dowiedział się o porwaniu i śmierci Natalii Estemirowej, czeczeńskiej działaczki broniącej praw człowieka Memoriału.

Tekst więc Littell zmieniał, do Czeczenii już nie wracając. Poświęcił natomiast parę stronicek zamordowanej (najpewniej przez kadyrowców) kobiecie, pisząc – co zdaje mi się horrendalne – także o tym, o czym jego zdaniem musiała myśleć przed śmiercią, choć nigdy wcześniej nie zamienił z nią nawet słowa. I ogólnie przyczernił obraz. A jednak wszystko, co „optymistycznego” wylczyłem powyżej, wciąż jest w tekście obecne. O czym zatem jest tekst, można spytać. Nie, nie o ludziach, bo nie ma tu wyrazistych portretów, nie o Kadyrowie, bo niemożliwa okazuje się nawet analiza jego podstawowej intencji. Nie ma też spajającej narrację próby syntezy sytuacji.

Littell napisał książkę, z której wylania się dziwaczna, groźna i nieprzeknikniona sieć powiązań między Kreml, Kadyrowem, wojskiem, służbą bezpieczeństwa, czeczeńską emigracją, islamistami i tak dalej. I zapewne z napięcia wywołanego tym, że nawet on, który wielokrotnie był w Czeczenii podczas ubiegłych wojen jako pracownik organizacji humanitarnych i ma świetne rozeznanie w terenie, kapitalne kontakty (tak w kraju, jak w Moskwie i wśród czeczeńskiej diaspory), nie potrafi ogarnąć wszystkich faktów w spójną i zrozumiałą dla postronnych narrację, bierze się największa wartość tej książki. (Dla Polaka są w niej zresz-



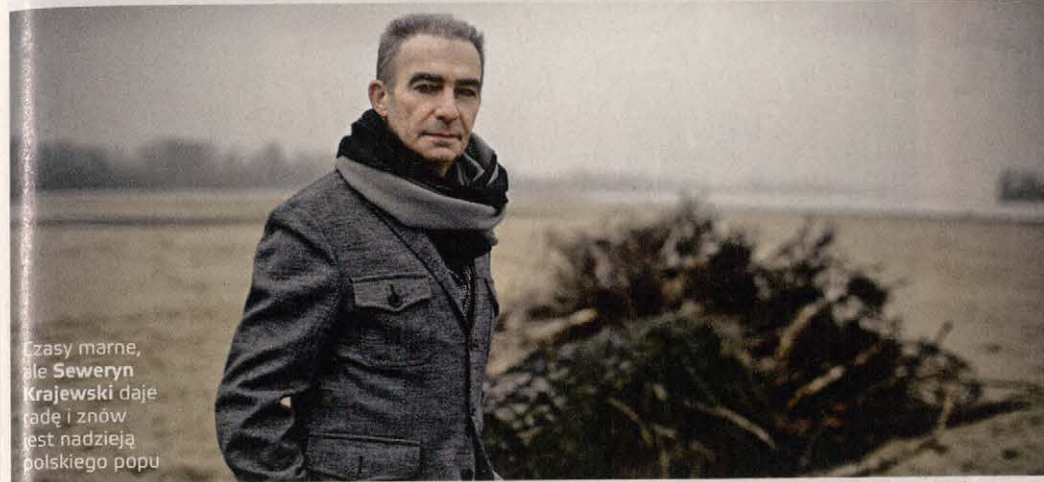
Gdyby nie sukces „Łaskawych”, pewnie nie mielibyśmy po polsku tej książki

tą dodatkowe smaki – na przykład kiedy nasz sentyment do Ahmeda Zakajewa zderza się z opinią Littella, że jest to sybaryta utrzymywany w Londynie przez Bierezowskiego, który jeśli tylko uzyska odpowiednie gwarancje i apanaże, chętnie wróci do Czeczenii Ramzana Kadyrowa).

Czasem tylko ma się wrażenie, że Littell, gdyby zechciał, mógłby napisać poważną księgę o Czeczenii, która pozwoliłaby choć trochę ją zrozumieć, zadać pytanie o inne możliwości rozwoju wypadków po rozpadzie ZSRR, pokazać, czy świat mógł zrobić coś więcej dla tego kaukaskiego kraju. Ale ostatnio wydał książkę o Kongu – tam też był z misją humanitarną.



Jonathan Littell
„Czeczenia. Rok III”,
przet. Małgorzata
Kozłowska, WL,
Kraków 2011, s. 186,
34,90 zł



Czasy marne, ale Seweryn Krajewski daje radę i znów jest nadzieją polskiego popu

I taki może być pop

Seweryn Krajewski nie chciał nagrywać tej płyty. Ale dobrze, że dał się namówić

JAREK SZUBRYCHT

Piszę te słowa świeżo po traumatycznym wieczorze z polskimi preselekcjami do konkursu Eurowizji. Nie wiem, co było gorsze – Stachurski z nawiedzonym błyskiem w oku masakrujący klasykę polskiej piosenki (takie wykonanie „Kocham cię, kochanie moje” Maanam powinno być karalne) czy poziom zgłoszonych utworów i męczących się z nimi wykonawców. Czy pop musi być taki

zły? Taki głośny, głupi, przaśny i nudny zarazem?

Na nowej płycie Seweryna Krajewskiego znajdziecie odpowiedź. Otóż nie, nie musi. Jeden z najlepszych piosenkopisarzy w historii polskiej muzyki rozrywkowej (nie nazywam go kompozytorem, bo się na to zryma, mówiąc, że kompozytorem to był Beethoven, a on po prostu układa piosenki) po latach

milczenia powrócił z autorskim albumem. To zestaw zgrabnych melodii bez pretensji do wielkiej sztuki, opatrzonej bardzo udanymi tekstami autorstwa – duża niespodzianka – Andrzeja Piasecznego. Słowa podkreślają zakłętą w dźwiękach nastroj pogodne melancholii, odwołując się do chlubnej przeszłości głównego bohatera chętnie dumającego o życiu na tej samej ławce, na której

przed laty wycinał serce, albo spacerującego w deszczu, jak w „Ciągłe pada”, choć tym razem z rozłożonym parasolem i w miłym towarzystwie („Znowu pada”). Seweryn Krajewski ma już siwe skronie i zasłużoną opinię unikającego ludzi mruka, ale kiedy śpiewa, staje się kimś zupełnie innym. Głos wciąż ma dźwięczny, niemal jak młodzieniaszek – dobrze się stało, że za namową przyjaciół jeszcze raz postanowił z tego daru skorzystać.

Jeśli czegoś mi w „Jak tam jest” brakuje, to produkcyjnego pazura. Nie chodzi o to, by z Krajewskiego robić Lady GaGę, żeby wciskać mu brzmienia electro, pompować go do nienaturalnych rozmiarów pożerającego konkurencję z list przebojów supermana albo przebierać w nowomodne fatałaszkę. Wręcz przeciwnie. Krzysztof Pszona, producent płyty, bardzo się postarał, a ja wolabym, żeby natrudził się nieco mniej. Żeby aranżacje były uboższe, smyczki mniej kłliwe, a dzwonki mniej dźwięczne. Cóż, Rick Rubin i płyty, które nagrywał nestorom amerykańskiej sceny, tak mnie rozbestwiły, że chciałbym usłyszeć kompozycję z „Jak tam jest” wydobyte z bezpiecznego pancerza *easy listening*. Chciałbym, żeby na wierzchu były emocje, prawda o autorze tych piosenek. Obawiam się jednak, że takie go Krajewskiego nigdy nie usłyszymy, bo zwyczajnie mu nie zależy. Nie chce mu się śpiewać, nagrywać, koncertować. Woli pisać dla innych.

Też dobrze.

Seweryn Krajewski
„Jak tam jest”,
Sony Music



Kurt Elling na jazzowo wskrzesza nie tylko jazzowe standardy

Odkurzanie bez ziewania

Kurt Elling nie śpiewa cudzych piosenek po swojemu. On czyni je swoimi

Zachrypnięty Kurt Elling sam jeden wszedł na scenę i po chwili Sala Kongresowa utonąła w miękkich dźwiękach. Gdy po pierwszej owacji słął całusy, czułem się jak w Los Angeles za czasów Sinatry. Gdy przekomarzał się z bębniarzem, nie miałem wątpliwości, kto wygra tę wokalnoperkusyjną pyskówkę. Nic dziwnego, że utytułowany wokalista – dziewięć nominacji do Grammy, wielokrotne tytuły Głosu Roku od najważniejszych instytucji jazzowej krytyki na czele z „DownBeat” – okazał się jedną z najjaśniejszych gwiazd ostatnich Warsaw Summer Jazz Days. A gdyby jego struny głosowe były lepiej

dysponowane? Strach myśleć, ale sprawdzić trzeba – 29 marca Elling wystąpi na deskach gorzowskiego Teatru imienia Juliusza Osterwy. Ziewam, gdy słyszę o „wskrzyszaniu standardów”. Wprawdzie Elling na płycie „The Gate” interpretuje cudzą twórczość, lecz jak tu myśleć o nudzie, gdy album otwiera utworem King Crimson. Co więcej, przywraca go – mowa o „Matte Kudasai” – współczesności, bo oryginał z 1981 roku bardzo się niestety zestarzał. Dzięki Ellingowi odzyskałem dla siebie tę znakomitą przeciw piosenkę.

Co Kanadyjczyka wyróżnia wśród tak zwanych wokalistów jazzowych? To, że jego inspiracje wykraczają

daleko poza przedeptany już świat Armstronga i Sinatry. Jazzowe evergreeny Milesa Davisa („Blue in Green”) i Herbiego Hancocka („Come Running to Me”) przeplata Beatlesami („Norwegian Wood”) i przebojowym obliczem Earth, Wind & Fire („After the Love Is Gone”). I wszystkim odejmuje po kilka dekad, unikając przy tym największej pułapki uprawianej przez niego stylistyki – bohaterem pozostają piosenki, a nie głos wykonawcy.



Kurt Elling
„The Gate”,
Universal

Schubert z lodu

Słynna (i trochę zbyt zimna) „Podróż zimowa” w Operze Krakowskiej

JACEK SIERADZKI

Szok termiczny czeka tego, kto po obejrzeniu „Podróży zimowej” sięgnie po tomik Barańczaka. Bo o temperaturze wieczoru w krakowskiej operze rozstrzyga Schubert. Autor cyklu 24 pieśni pod tymże tytułem, w których intuicja metafizyczna rodzi się „z głębi naszego odczucia: siebie, własnego ja, świata, Bytu, Boga. Tą intuicją, tym zmysłem nadprzyrodzonym – powiada Bohdan Pocię, obficie w programie cytowany – chwytamy dopiero cały splot przeciwieństw egzystencjalnych: życia i śmierci, szczęścia i tragedii, miłości i odrzucenia, radości i rozpacz...”.

Za tymi zachwykami stoi kryształowo lodowata muzyka, po schubertowsku melodyjna, acz w wyrazie powściągliwa, mroźnie wzniosła. Andrzej Biegun prowadzi barytonową partię starannie i czysto, ale jednostajnie i beznamięt-

nie, jak wykutą lekcję. Konrad Mastyło dodaje swojemu akompaniamentowi współczesną klawiszową elektronikę – atoli nie po to, by smutny patos przełamać, tylko przeciwnie – wzmocnić. I tak pałac zamarzliny krzepnie nad sceną, jak nie przymierzając u Jacka Dukaja w „Lodzie”.

Żeby wieczór nie był koncertem, Józef Opalski z Jackiem Tomasikiem wprowadzają pięciu tancerzy wykonujących spowolnione ruchy, przemarsze z krzesłami lub bez nich. Nie ma to sensu innego niż czysto ornamentalny, o co zgłaszają pretensje krytycy, przejęci, że w pustych ruchach gubi się głębia muzyki. Tymczasem czełek wyłazi z tego igloo, wraca do ogrzanej chałupy i bierze tomik sprzed 15 lat, w którym Stanisław Barańczak zabawiał się bynajmniej nie w tłumaczenie zapoznanej poezji

Wilhelma Müllera, lecz w dopisaniu Schubertowi własnych słów. Są one prestidigitatorsko wpasowane w melodię, ale brzmią kompletnie inaczej. Pierwsza z brzegu pieśń: „Wpadacie jak po ognie», wytyka nam od lat z właściwym sobie chłodem ten niewłaściwy świat. »Po ogień« to przesada, lecz wpadliśmy – to fakt. A wypaść – nie wypada: okazać trzeba takt”.

To nie ta zima! Owszem, znajdzie się tu na dnie egzystencjalny mróz, ale poeta głównie topi lodowe połączenie romantycznymi głowniami sarkazmu i ironii. Kpi z łatwych klisz frazeologicznych, krąży wokół uporczywych echałalii (nagła fraza z Leśmiana), żongluje konwencjami. I stopniowo ścina wiatalność, mrocznieje, lodowacieje. Ale to lód z gorzkiego, wisielczego drinka, nie monumentalny Spitsbergen. Wydobyc te meandry z Barańczako-

wej poezji – jak zwykle tym bogatszej, im więcej formalnych ograniczeń pokonującej – toż byłby teatr! Ale baryton musiałby od czasu do czasu choć uśmiechnąć się do myśli, które śpiewa, reżyser zaś interpretować słowa, a nie tylko dbać o frazę. Co mogłoby, owszem, w konsekwencji trochę wyjść Schubertowi bokiem... Opalski do dzieła wziął się wyraźnie od strony nut, nie słów. Konsekwentnie, *chapeau bas*, ale spektakl przymroził mu się przez to ździebko za mocno.

„Podróż zimowa” Stanisława Barańczaka z muzyką Franciszka Schuberta, reżyseria Józef Opalski, kierownictwo muzyczne Konrad Mastyło, scenografia i kostiumy Marek Braun, choreografia Jacek Tomasik, Opera Krakowska



Pada śnieg – na scenie Opery Krakowskiej w przedstawieniu Józefa Opalskiego

Pieskie życie

Anna Augustynowicz reżyseruje z zegarmistrzowską precyzją, ale bez duszy

Na pierwszy rzut oka wszystko jest w porządku. Na afisz łódzkiego Teatru imienia Stefana Jaracza trafia nowa sztuka Biljany Srblijanović, autorki głośnej, młodej i już uznanej. Na polskich scenach widzieliśmy wcześniej jej „Sytuacje rodzinne” i „Szarańczę”, którymi zasłużyła sobie na miano tej, która wpuszcza trochę powietrza do zużytej już stylistyki nowego brutalizmu. Podobnie jak u Ravenhilla („Shopping & Fucking”) i Mayenburga („Ogień w głowie”) na tapecie mamy wciąż te same współczesne patologie, ale bohaterami serbskiej pisarki



Największy atut spektaklu to młodzi wykonawcy. Od lewej: Justyna Wasilewska (Milena) i Iwona Karlicka (Mila)

są zwykle dzieci, co zmienia punkt widzenia i działa odświeżająco.

Nie inaczej dzieje się w „Barbelo, o psach i dzieciach”. Znowu miejsce, o którym zapomniał Bóg (jeśli kiedykolwiek istniał), znowu dojmujący smutek i brak perspektyw. Znowu bezradność wobec tego co dziś zagłuszana jedynie przez instynkt przetrwania. Ludzie żyją tu tak jak panoszące się wszędzie psy. Bez sensu, bez celu, bez nadziei. Znana to śpiewka. W łódzkim przedstawi-

niu wykonują ją niemal wyłącznie młodzi, nieopatrzeni nawet na macierzystej scenie aktorzy. I to ratuje spektakl przed popadnięciem w sztampę. Świetna jest Justyna Wasilewska jako Milena – rozkapryszona dziewczyna zmuszona przejść przyspieszony kurs dojrzewania. Dobry Marek Nęcza jako mały Zoran przykrywający swoją samotność buntem przeciw dorosłym i monstrualnym wręcz obzarstwem. Broni się cała obsada, do nikogo nie mam zastrzeżeń.

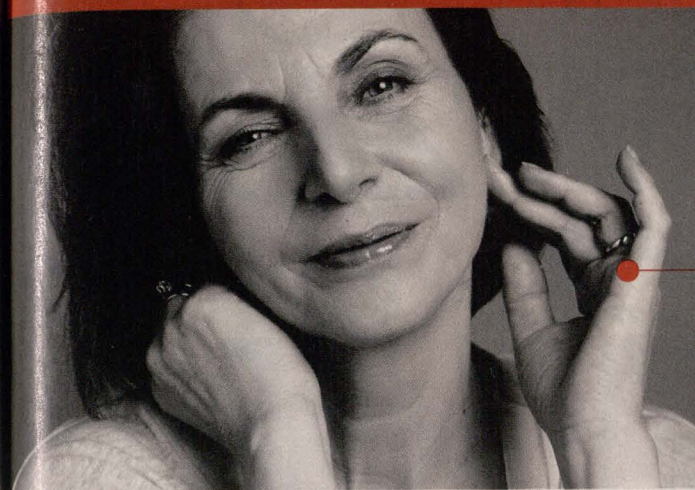
A jednak patrzę na „Barbelo...” jak przez grubą szybę. Podobne sytuacje międzyludzkie nieraz na scenie widywałem, w dodatku Anna Augustynowicz prowadzi spektakl niczym partię szachów. Rozstawia wykonawców jak pionki na określonych polach, po aptekarsku dozjuje ślady mocniejszych emocji. Zrobione jest to porządnie i dokładnie wyreżyserowane, tyle że zegarmistrzowska precyzja obraca się tym razem przeciw widowisku. Bo pozostaje nam uwierzyć na słowo w dramaty bohaterów, ich los niemal wcale nas nie obchodzi. W efekcie „Barbelo...” sprawia wrażenie lekcji odrobionej bez serca i emocjonalnego zaangażowania. A chłód i zbytnia powściągliwość bywają czasem wrogiem teatru.

„Barbelo, o psach i dzieciach” Biljany Srblijanović, przykład Dorota Jovanka Ćirić, reżyseria Anna Augustynowicz, scenografia Waldemar Zawodziński, Teatr imienia Stefana Jaracza w Łodzi

NAJLEPSZE STRONY sukcesu



ZNANE POLKI bez Photoshopa



DRAGONI BIZNESU pomogą zdobyć pierwszy milion



PASJE, w których topią fortuny polscy biznesmeni



EDYTA GÓRNIAS tylko „Sukcesowi” mówi o decyzjach, których nie żałuje



Sukces możesz kupić... w kioskach i salonach prasowych

ŁADNE RZECZY

Dobry wzór

Czyli dlaczego i za co doceniamy naszych najbliższych

OLA SALWA

Choć to z pewnością mało wrażliwe, a może i nieco cyniczne podejście, ale w naszym codziennym trybie pracowo-odpoczynkowym najważniejszą rolę odgrywają nie ludzie, lecz rzeczy. Ekspres do kawy, odkurzacz, zmywarka do naczyń, drzwi, samochód, ulice, chodniki, tramwaje – w idealnym świecie każdy z tych przedmiotów idealnie realizuje nasze potrzeby, a korzystanie z niego jest intuicyjne. W prawdziwym zaś dobry projekt osłaja na tyle, na ile potrafi objaśnić technologię użytkownikowi, a do tego nie rujnuje mu kieszeni.

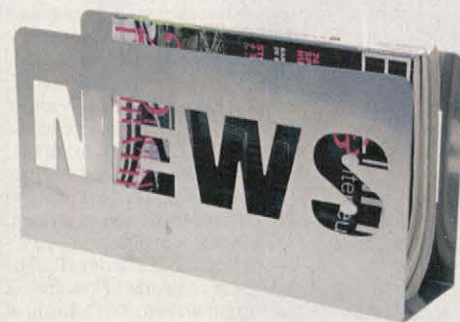
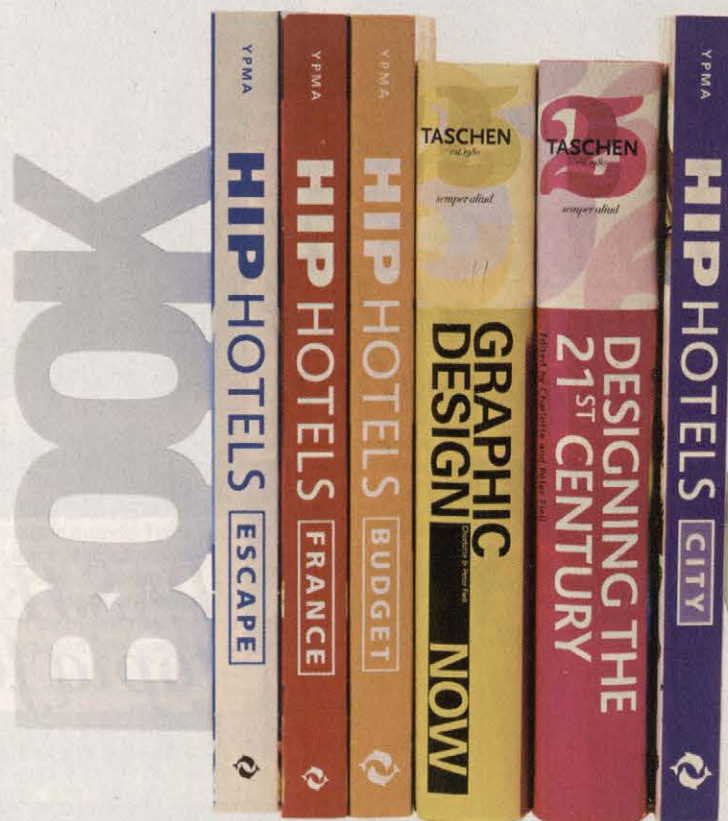
W czasach PRL mieliśmy świetnie zaprojektowane przedmioty, które rzadko kiedy pojawiały się na rynku, najczęściej wypełniały przestrzeń magazynów i przechowalni. Dziś możemy przyjrzeć im się z bliska, ale nie możemy ich dotknąć, bo są pokazywane na świetnej wystawie w Muzeum Narodowym. Z tym, co mamy lub możemy mieć pod ręką, bywa różnie i zdarzają się przypadki, gdy dizajn

tyranizuje przedmiot oraz jego właściciela. Przykłady? A choćby przepiękna wyciskarka do cytrusów stworzona przez gwiazdora wzornictwa Philippe'a Starcka dla włoskiej firmy Alessi słynącej z fikuśnych wzorów. Metalowy trójnóg jest bardzo efektowny, ale korzystanie z niego wymaga wprawy, inaczej świeżo wyciśnięty sok, zamiast odżywić nasze ciało, trafi na nasze ubranie.

Nie jestem też fanką krzesła Panton Vitry, na które wolę patrzeć, niż na nim siedzieć. Szczególnie latem. Na szczęście na rynku pojawia się coraz więcej świetnie zaprojektowanych przedmiotów produkowanych dla przeciętnego użytkownika, co nie znaczy, że są one brzydkie lub nijakie. 63 przykłady dobrych

praktyk wzorniczych prezentuje do końca marca stołeczny Instytut Wzornictwa Przemysłowego w ramach wystawy „Wzornictwo za 4 złote. 1 Euro Design”. W sali wystawowej nie będzie fajerwerków wizualnych w postaci wymyślnych lamp, uroczych parawanów czy nowych mebli zrobionych ze starych. Znajdziemy tam tani (oczywiście w swojej klasie) wizytownik, ołówki, torbę na laptopa, a nawet samochód. Nuda? Porozmawiamy, gdy znowu będziesz rozmasowywać mięśnie zdrętwiałe od siedzenia na niewygodnym krześle, klikania źle zaprojektowaną myszką albo gdy pójdziesz do wszystkich diabłów ekstrawagancki telefon, którym łatwo można robić wszystko poza wysłaniem SMS-a.

Czy ta podpórka Box32 Design będzie zachętą do gromadzenia, a następnie czytania książek?



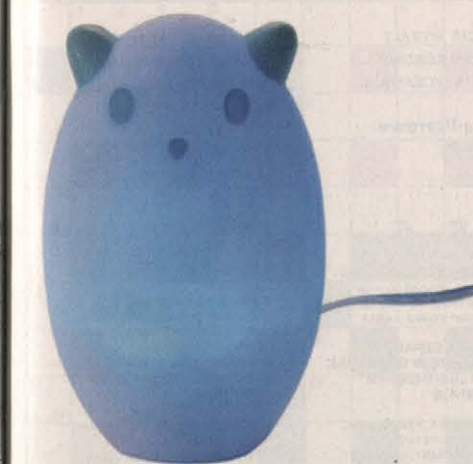
Gazetownik projektu Box32 Design jest stabilny i lekki jak pióro dobrego dziennikarza



Filcowa torba na laptopa albo notatki z wykładów zaprojektowana przez Katarzynę Pokszan



Pojemny gazetownik (proj. Claudia Diehl) wytrzyma kilka miesięcy spotkań z tygodnikami



Dzieci lubią lampki, lampki lubią dzieci. Ta jest z Ikeri, mekki dobrego i taniego wzornictwa

OBYCZAJÓWKA

Test

(na bycie okropnym mieszcuchem lub okropną mieszczką)



MICHAŁ WITKOWSKI

1. Przyjeżdża do mnie gość. Rano budzi mnie zapach jajecznicy. W zlewku znajduję swoją podrapaną nową patelnię teflonową, a obok metalowy nóż cały w jajecznicy. Co robię?

a) Biję gościa do krwi i wyrzucam na mróz, a potem myję patelnię, patrząc pod światło i płacząc, że nic się nie da zrobić.

b) Thumaczę grzecznie, że w teflonie mieszczą się drewnianą łyżką, i każę sobie zapłacić 350 złotych za patelnię, która w Ikee kosztowała 70 na przecenie.

c) A co to jest teflonowa patelnia i czemu nie ma się w niej mieszać nożem?

2. Przeganiając mopem rozwydrzone gołębie z balkonu, narzędzie wysmykuje mi się z ręki i spada na balkon sąsiadów, ale nie najbliższych, więc nie będzie wiadomo, skąd im spadło.

a) Pewien/pewna, że sprawdzą odciski palców, od razu idę do nich przeproszać przygotowany/przygotowana na srogą awanturę.

b) Dobrze im tak!

c) Taki mop kosztuje. Nie zamierzam robić im prezentów.

3. Kończąc robienie siku:

a) Spuszczam wodę i klapę.

b) Krzyczę przez drzwi do współlokatora: Idziesz też czy spuszczać?!

c) Stwierdzam, że te trzy kropelki wcale nie wymagają tak nieekologicznie olbrzymich ilości wody.

d) W wannie mam wodę niespuszczoną po kąpielu, którą teraz zużywam do przelewania sedesu wiaderkiem.

4. W nocy zauważam, że gość, który u mnie nocuje, podkręcił czujnik ogrzewania gazowego z 18 stopni na 19,5, mimo że umieściłem ten bezprzewodowy aparat w okolicach luźnej klepki w podłodze, aby nie dało się do niego podejść niepostrzeżenie.

a) Natychmiast daję na 17 stopni, budzę gościa i robię stanowczy wykład o Putinie, Gazpromie jako broni politycznej, ruskiej mafii gazowej i nowych Ruskich, co siedzą okrakiem na rurze z gazem.

b) Natychmiast daję na 17 stopni, chowam czujnik do szafy i idę spać.

c) Stwierdzam: „Ale ciepłutko”, i śpię dalej.

d) Mam kaloryfery.

5. Idąc na podwórko z posegregowanymi w trzech siatkach śmieciami, widzę, jak sąsiad zbliża się do pojemnika z napisem „papier” i wrzuca do niego dużo kartonów po mleku, na dodatek niezgniecionych.

a) Wyjaśniam mu grzecznie, że karton dlatego nie przecieka, bo nie jest papierem, i proponuję praktyczny pojemnik na odpady biologiczne i niesegregowalne.

b) Olewam to.

c) Brudząc się, wyciągam z pojemnika wszystkie kartony i wrzucam do właściwego pojemnika.

6. Zakupione w Internecie przedmioty przynosi mi do domu w formie paczki atrakcyjny chłopiec/atrakcyjna dziewczyna. Po podpisaniu nawiązujemy kontakt i okazuje się, że istnieje możliwość natychmiastowego ostrego seksu.

a) Bezwzględnie korzystam z sytuacji.

b) Donoszę na niego/nią do firmy spedycyjnej, że zachowuje się wyzywająco w godzinach pracy.

c) Daję mu/jej w twarz i zatraskuję drzwi.

Rozwiązanie: Jestem nieznośnym mieszcuchem/nieznośną mieszczką, jeśli odpowiedziałem/odpowiedziałam:

1) a, b; 2) a, c; 3) b, d; 4) a, b; 5) c; 6) b, c. Powodzenia!

Rozważania, kogo czy czego patronem po beatyfikacji powinien zostać JP II. Niepłodnych małżeństw? Praw człowieka? Sportowców? Wolności? Rodziny? Narciarzy? Całej Polski?

6 LUTEGO

Tak jest - przy całej swej lekkości, elegancji, humorze, przy całym swym wiecznym i dziwnym chichocie Błoński był facetem poważnym, pryncypialnym i wymagającym. Co ciekawe, lubił stanowiska - jako dyrektor instytutu czy jako prorektor uniwersytetu czuł się świetnie. Oczywiście i wtedy chichotał, całe życie chichotał dziwnie, rozmaite w związku z tym anegdoty krążyły. Najmniej poprawną może wam Bronek Maj nie tyle opowiedzieć, ile wręcz odegrać.

Kiedyś przyszło mi do głowy, że był to chichot leverkühnowski - dla unaocznienia parę linijek z „Faustusa”: „Gdy jednak przypominę sobie śmiech Adriana, stwierdzam dziś, że miał on w sobie coś z wiedzy i szyderczego wtajemniczenia. Śmiech ten pozostał mu na zawsze i później często go słyszałem, gdy u boku Adriana siadywałem na koncertach lub w teatrze i uderzał go jakiś trick artystyczny, jakieś pomysłowe, uwagi tłumy uchodzące zjawisko w wewnętrznej strukturze muzycznej, jakaś cienka intelektualna aluzja w dialogu dramatu. Podówczas śmiech ten wcale jeszcze nie odpowiadał jego wiekowi, był już jednak zupełnie ten sam, co później u dorosłego. Składało się na niego lekkie wychnienie powietrza przez nos i usta przy jednoczesnym odrzuceniu głowy w tył, krótko, chłodno, ba, wzgardliwie, lub najwyżej jakby chciał powiedzieć: Dobre to, dowcipne, interesujące, zabawne! - Lecz oczy jego nabierały wówczas dziwnie uważnego wyrazu, szukając czegoś w dali, a ich metalicznie cętkowana mroczność osnuwała się głębszym jeszcze cieniem”.

Swoją drogą, długo żyję, ale że żyję tak długo, by zacząć dostrzegać u Tomasza Manna rozwiązania z lekka - jak w końcówce o mroczniejących oczach jenuśza - grafo-mańskie, nigdy bym nie pomyślał. Daj, Panie, pożyć jeszcze trochę, może paru innych bogów literatury da mi się przejrzeć. Tak czy tak i nadto nie demonizując szczegółów - chichot Adriana Leverkühna wypisz wymaluj:

Jan Błoński, też - niepodobna przy okazji nie zauważyć - Józef Tischner, też - choć jemu do zaświatów daleka droga - Marian Stala. O zaświatach wspominam, bo obaj, i Błoński, i Tischner, nie tylko śmiech mieli leverkühnowski, ale też na tamtą stronę trochę w leverkühnowskim stylu przechodzili. Osobne opowieści. Osobne obrazy i osobne rozważania. O żadne tanie analogie mi nie idzie, dlaczego zresztą miałyby być tanie?

Przeczytawszy całość z najwyższą żarłocznością i pewien, że właściwie co chwila wiele w rozmaitych pasmach wymowne akapity odkrywam, teraz jednak ich nie komentuję. Czy kilkustronicowy sen zaczęty na 108. stronie jest proroczym chorobą? Czy skargi na pamięć („Na pamięć bardzo się uskarżam. Ale i tu dziwne można zaobserwować fenomeny”) w tym samym kodzie się mieszczą? Czy właśnie ci, którzy „naprawdę byli kiedyś marksistami”, intelektualnie najmniej stracili? Wszystkie te i parę jeszcze innych kwestii zostawiam na razie na boku. By na nie odpowiedzieć, a może tylko dokładniej je przemyśleć, potrzeba - że powiem coś od siebie - dystansu.

8 LUTEGO

14 stycznia 1962 roku Błoński w swym „Dzienniku” taki zapis daje: „Wracając z Paryża do Polski niesłychanie mocno, do łez prawie reagowałem na widoki obce i ojczyste, byle jakie nawet; budziły się skojarzenia, pomysły, czemuś głębszemu odpowiadające, jak ten apokaliptyczny neon Bayera w Leverkusen (Leverkühn...), towarzyszący w bezbrzędnej płataninie szyn i dróg, nocnej jeździe pociągu: symbol antynatury, mocy, potęgi człowieka (brednie, bo potęgi reklamy) i jej przeraźliwości - coś z końca świata jednak, bo neon »wyobcowany« grozi komuś, wyzywa w tej pustej nocy, coś zapowiada, życie przyszłe ludzkości zapewne, ale w jego kruchości i nostalgii; przy tym barwa apokaliptyczna, bo właśnie zaczynały się awantury berlińskie i drżałem przed atomem. Jeszcze to głębiej siedziało - co właściwie - trudno mi teraz dostrzec”.

9 LUTEGO

W dzisiejszej „Gazecie Wyborczej” rozważania, kogo czy czego patronem po beatyfikacji powinien zostać JP II. Niepłodnych małżeństw? Praw człowieka? Sportowców? Wolności? Rodziny? Narciarzy? Całej Polski? Autorka tekstu Katarzyna Wiśniewska cytuje franciszkanina ojca Jana Marię Szewła. Podpowiada on, „by obrać Jana Pawła II patronem takiej grupy lub sprawy, która będzie natychmiast go przypominała - gdyby Papież został patronem sportowców, trzeba by niektórym tłumaczyć cały jego życiorys. Co innego demokracja, wolność. To wielki przełom, który dotyczył wielu ludzi i narodów i jest powszechnie znany. Ale ze świętymi patronami bywało różnie. Bo kto skojarzyłby żyjącą w XIII wieku świętą Klarę z mediami elektronicznymi? A jednak w 1956 roku Pius XII ogłosił ją patronką telewizji. Święta Klara - wyjaśnia ojciec Szewek - chciała uczestniczyć w pasterce, ale schorowana leżała w łóżku. Siostry obiecały jej, że po powrocie opowiedzą wszystko ze szczegółami. Ale Klara otrzymała od Boga wizję, widziała, co się działo w kościele. Siostry niczego nie musiały jej opowiadać. Uznano więc, że święta Klara, mimo że żyła w średniowieczu, miała dar pierwszej transmisji telewizyjnej”.

Dla protestanta jest to oczywiście czarna magia, dla sporej liczby polskich katolików - nieokreślone nienasytzenie. Od pychy stan taki cienka granica dzieli. Niedawno na tych samych łamach w arcyważnym wyznaniu „Nie modlę się do papieża” Halina Bortnowska dotknęła istoty i objawów zjawiska; tekst przeszedł kompletnie niezauważony. - Nie dziwota - za trudny, powiedziałbym: wielorako za trudny.

10 LUTEGO

Wszystko w naszym kontekście i wszystko w obliczu JP II za mało. Toteż gdy niebawem pojawią się wyżej, a nawet najwyżej idące propozycje, nie będzie to ani dziwne, ani niestosowne, ani bluźniercze - takie kategorie dotychczasowy, miejscami dziki, miejscami nieobliczalny kult papieża Wojtyły dawno unieważnił. Gdy więc na przykład przyjdzie propozycja, by został on patronem Trójcy Świętej, należy to przyjąć z wewnętrzną pogodą. W końcu ani Panu Jezusowi, ani Panu Bogu, ani Duchowi Świętemu nie zaszkodzi, gdy w potrzebie, gdy choćby naszymi wybrykami znękan i pomodłą się od czasu do czasu do swojego patrona. Korony z głów im nie pospada, gdy go niekiedy o jaką łaskę poproszą. •



Niebo nad Kerczem

Historia o tym, jak Dmitri Baltermants ze zwykłego reporterskiego zdjęcia zrobił ikonę II wojny światowej

KUBA DĄBROWSKI

S Styczeń 1942 roku, Krym. Wycofując się z Ukrainy, Niemcy wspierani przez Rumunów zostawiają po sobie spaloną ziemię. Niszczą fabryki, drogi... Wyzwalająca kolejne miasta Armia Czerwona co chwila dokonuje makabrycznych odkryć. W wykopanych na przedmieściach miasta Kercz głębokim na dwa metry, szerokim na cztery i długim aż na kilometr rowie przeciwczołgowym naziści upchnęli zwieziona z miasta martwe ciała. Około siedmiu tysięcy trupów, w tym kobiet i dzieci – efekt urzędzonej bezpośrednio przed wycofaniem masakry. „Po okolicy rozrzucone są pourywane kończyny i strzepy ubrań. Dookoła rowu stworzyły się i zamarzyły kałuże krwi” – raportują żołnierze.

Razem z wojskiem do Kerczu dociera fotograf Dmitri Baltermants, frontowy korespondent dziennika „Izwestia”. O fotografii marzył od dziecka. Kiedy wybuchła wojna, w końcu dostał swoją szansę. Wcześniej zgodnie z wykształceniem pracował jako nauczyciel matematyki w Akademii Wojskowej w Moskwie – redakcja uznała więc, że musi się znać na wojsku, i wysłała go na front.

Baltermants dostarcza bardzo wysmakowane kadry: fotografuje pod światło, z dołu, szuka nowych perspektyw. W Kerczu robi zdjęcia zrozpaczonych cywilów rozpoznających ciała bliskich. Wie, że obrazy ludzkiej tragedii nie mają szans, żeby przejść przez sito cenzury – publikowane są wyłącznie kadry przedsta-



wiające radzieckie triumfy i przyjemne strony wojaczki, ale mimo wszystko nadal fotografuje. Negatywy z Kerczu lądują w szufladzie – tych lepiej nikomu nie pokazywać.

Do klisz z Ukrainy Baltermants wraca dopiero w latach 60. Pracuje w tygodniku „Ogoniok” i na fali chruszczowskiej odwilży przegląda swoje przepastne frontowe archiwum. Zapomniany kadr z Krymu idealnie pasuje do nowego, „szczerzego” sposobu opowiadania o wojnie i rozliczania

się z przeszłością. Żeby dodać zdjęciu dramaturgii, Baltermants w ciemni wkomponowuje w odbitkę burzowe niebo z innej fotografii. Dla „Ogonioka” często wykonuje kolaże i fotomontaże, nie zastanawia się nad etywną stroną tego zabiegu. Po wymianie nieba zdjęcie ma taką plastykę, że oddziałuje bardziej jak historyczny obraz niż reporterska fotografia. Publikuje je „Ogoniok”, a za nim inne czasopisma na całym (nie tylko socjalistycznym) świecie. W przeciwieństwie do większo-

ści produkcji rodem z ZSRR kadr nie pachnie propagandą.

Odbitka jest wysyłana na zagraniczne wystawy. Baltermants dostaje paszport i podróżuje razem z nią, między innymi do Londynu i Nowego Jorku. Staje się międzynarodową gwiazdą. Jako jedyny radziecki fotograf zaczyna funkcjonować w światowym obiegu, o jego zdjęciach z uznaniem wypowiada się sam Henri Cartier-Bresson. Na Zachodzie Baltermants nie opowiada o zabiegu w ciemni.

MOCARTY

RMF CLASSIC

2010

WIELKI PLEBISCYT

Wejdź na www.rmfflclassic.pl i oddaj głos w jednej z czterech kategorii:

- CZŁOWIEK ROKU 2010
- WYDARZENIE ROKU 2010
- MUZYKA FILMOWA ROKU 2010
- PRODUKT ROKU 2010

Do wygrania unikatowy iPOD APPLE 160 GB, wyjątkowe zaproszenia na uroczystość wręczenia nagród i wiele innych cennych nagród!

RMF

Classic

muzyka z klasą

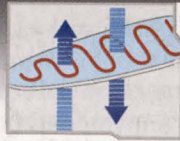
MOCARTY
RMF CLASSIC
2010

monster
household appliances

Czy możliwe jest
PRASOWANIE
ZA POMOCĄ DŁONI



- KOMPAKTOWA
- LEKKA
- ŁATWA W OBSŁUDZE
- PODGRZEWANA POWIERZCHNIA
- WYTWORNICA PARY
- FUNKCJA BALONA
- WYRZUT PARY
- FUNKCJA ODSYSANIA



www.monster-poland.com.pl